TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Lud i elity: nie dzieli nas nic
Tydzień pracy: cztery dni i wolne
Kraj, który został kopalnią kryptowalut
Katarzyna Groniec śpiewa godzinki
EKSTRA STRONY: **MAGAZYN LITERACKI**

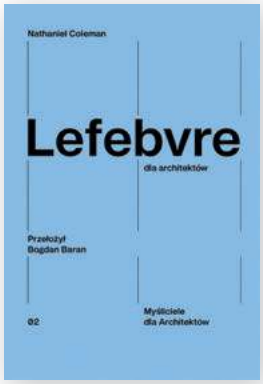
Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 10 – 16 grudnia 2025 nr 50 (3988)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

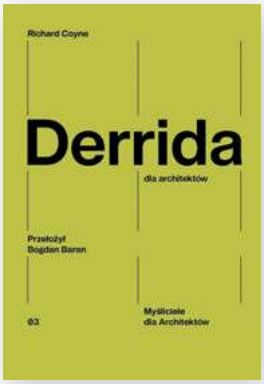
JAK BYĆ MĘŻCZYZNĄ

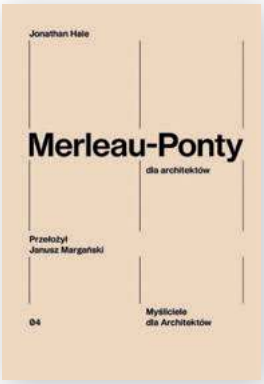
NOWE WZORCE, STARY STRES. RAPORT NA STRONACH 12–16



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

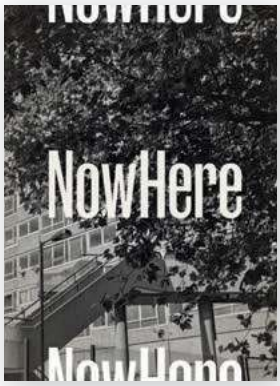


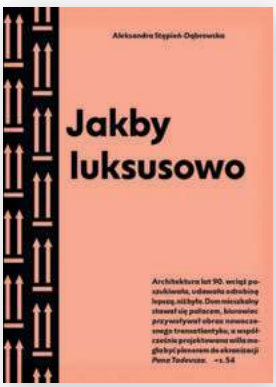




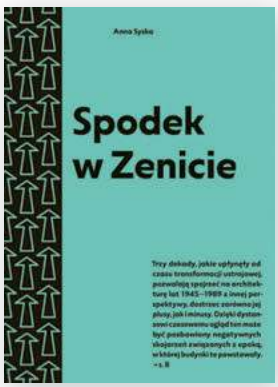


Architektura w najlepszym wydaniu









REKLAMA

niaiu.pl





KS. ADAM

Boniecki: *Ministranci na nowe czasy*

Tak, też byłem ministrantem. Z początku niezbyt typowym. Nauczyłem się ministrantury, oczywiście po łacinie. Służyliśmy do mszy św. z bratem, w ładnych, uszytych w domu komżach – ale służyliśmy tylko jednemu księdzu, który wtedy był także moim domowym nauczycielem. To był czas okupacji, „nasz" ksiądz z diecezji włocławskiej chował się przed okupantami w rodzinnym domu, na wsi. My byliśmy mieszkańcami pałacu.

Mój ojciec umiał służyć do mszy, raz byłem tego świadkiem. Pamiętam, jak wyszedł z kolatorskiej ławki, z rzymskim mszałem (po łacinie i po polsku), bez komży. Z tym grubym mszałem miał sporo chodzenia, przenosił go, podawał ampułki, odpowiadał po łacinie na wezwania księdza. Byłem poruszony. Jedyny raz widziałem tatę jako ministranta. Wkrótce potem zginął rozstrzelany przez Niemców. Ostatnia msza, do której z bratem służyliśmy, odprawiana była w domu. Duży pokój dziecinny przerobiono na kaplicę, a za oknem, w ciemnościach, miała się zacząć ostatnia bitwa Niemców z armią radziecką. Była to jedyna msza św. w naszym domu. Niegdyś mieściła się w nim wprawdzie domowa kaplica, ale już nie za naszych czasów.

Potem nowa epoka, zamiast pałacu bardzo małe mieszkanko w niewielkim miasteczku. Sympatyczny ksiądz, ministranci... Wspomnienia się zatarły. Wracają dopiero te z okresu, kiedy minęła zima i przenieśliśmy się na przepisową odległość od naszego dawnego domu. Kościół był ważnym miejscem, a ks. Eugeniusz Żelazowski, wikary miejscowej parafii, stał się przyjacielem naszej rodziny. Cotygodniowe zbiórki ministrantów poświęcał na zabawy. Miały one głęboki sens wychowawczy – to był czas zaraz po wojnie i ten sposób prowadzenia kółka ministrantów był dobry i ważny dla nas, na różne sposoby przez wojnę dotkniętych.



GRAŻYNA MAKARA

O ministrantach pisze w tym numerze Stanisław Zasada, pytając, co młodych ludzi – dziś coraz częściej także dziewczęta – ciągnie do ołtarza. Mnie bycie ministrantem dawało poczucie przynależności do czegoś bardzo konkretnego. Gdzieś w głębi miałem zamiar zostać księdzem, ale nie było to decyzją ani nawet pewnością. Dziś nikogo bym do bycia ministrantem nie namawiał (mnie też nikt nie namawiał), ale ministrantami bym się zajmował tak jak nasz ks. Żelazowski. Ani więcej, ani też mniej. Jedno jest dla mnie pewne: prowadzenie koła ministrantów nie powinno służyć łowieniu kandydatów do stanu duchownego. Dobrze, by było to miejsce wychowujące człowieka, ale bez przedwczesnego namaszczania go. W ogóle nie wiem, czy droga przez bycie ministrantem jest najlepszą drogą do kapłaństwa. Zresztą myślę dziś, że droga ta powinna prowadzić przez przynajmniej kawałek dorosłego życia.

Myślę o nowym pokoleniu księży. Niezależnie od tempa przemian w instytucji Kościoła, przewielebne duchowieństwo będzie inne niż dziś. Nie orzekam, czy lepsze, czy gorsze. Inne. Jeszcze kilka lat, a znikną awantaże materialne, zniknie – już zanika – odruchowy szacunek dla sukni duchownej. Księża będą świadkami wiary, wszyscy i wszędzie, nie przez kazania, ale przez swój sposób życia. Zawsze byli tacy, lecz nieliczni i uchodzący za dziwaków. Przyszłość będzie ich pełna. I Kościół dzięki nim znów się rozwinie.

Bo nadzieja przetrwania i rozwoju opiera się na wierze w Boga. Kościół będzie ulepszany ludzkimi metodami, ale w końcu Bóg straci cierpliwość, a przynajmniej uzna, że czas na taką ingerencję, byśmy ją wyraźnie poczuli. Przypomni o sobie. Bo chwilami zachowujemy się tak, jakbyśmy zapomnieli. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego".

TP ZA TYDZIEŃ W ŚWIĄTECZNYM WYDANIU „TYGODNIKA"

ELIZA KĄCKA
„Król wiewiórek": opowieść wigilijna

MARCIN MAJEWSKI
Z Babilonu do Betlejem – skąd się wzięli aniołowie i kim są dla nas dziś

RYSZARD KOZIOŁEK
„Krzyżacy" i Ratzinger: literatura ratuje teologię

GRZEGORZ TURNAU
Jak śpiewać piosenki miłosne po pięćdziesiątce



Filozofowie piszą o tym od kilku dekad: fundamenty naszego świata są coraz mniej pewne. Nadszedł czas roztapiania wzorców i negocjowania wzajemnych relacji. Nie wiemy, ku czemu zmierzamy, ale to, co zastaliśmy, nie bardzo nam się podoba.

Zerknijmy na badania, które przytacza w swoim tekście **MAREK RABIJ**. Pokazują one, że to, co robimy w pracy, nijak się ma do naszych pasji i zainteresowań. Więcej: prawie 80 proc. z nas nie widzi nawet sensu wykonywanych codziennie obowiązków. Tak nam to daje w kość, że prawie połowa z nas w weekendy nie ma siły na nic poza odpoczynkiem. Wszystko to sprawia, że nie boimy się już utraty pracy – po prostu nie wiemy, jakie miejsce powinna mieć w naszym życiu. Czy czterodniowy tydzień pracy byłby remedium na ten stan rzeczy? A może po prostu uwierzyliśmy, że to, co robimy „od 8 do 16", ma ostatecznie definiować to, kim jesteśmy?

Wątpliwości mnoży „krajowy" reportaż **MARTYNY PIETRZAK-SIKORSKIEJ**, pokazujący, że podczas gdy jedni w pracy się nudzą, inni w ogóle nie mają szans na zajęcie, dzięki któremu mogliby się utrzymać. Mimo że mamy dziś najniższe bezrobocie w Unii, ludzie wchodzący na rynek pracy nie są zadowoleni z szans, które otrzymują. Kto obiecał im, że będzie inaczej? „Pamiętam, jak tuż przed wstąpieniem Polski do Unii Europejskiej nasz wykładowca przekonywał, że teraz decydujące znaczenie będzie miał poziom wykształcenia" – pisze **PAWEŁ MARCZEWSKI** w tekście otwierającym dział krajowy. Cóż, pamiętają to również rozmówcy Pietrzak-Sikorskiej. Może dlatego 70 proc. ludzi przed trzydziestką odczuwa stres przed obowiązkami dorosłości. Nie dlatego, że nie chcą ich podjąć, po prostu koszty życia, o którym marzą, stają się zbyt wysokie. „Ludzie miesiącami szukają pracy, czynsze za wynajem są absurdalne, perspektyw na własne mieszkanie brak" – mówi jedna z rozmówczyń dziennikarki.



Opowieść o negocjowaniu swojego miejsca w świecie jeszcze bardziej komplikuje tekst **MAKSA CEGIELSKIEGO**, który znajdą Państwo w „Książkach w Tygodniku". Autor pisze o tym, jak obiecywano nam, że upadek socjalizmu i neoliberalizm lat 90. zamkną wreszcie niechcianą przeszłość. Tymczasem ona wciąż się w naszych opowieściach odradza. Nie wynegocjujemy nowego porządku bez domknięcia tego, co za nami. ©℗

MONIKA OCHĘDOWSKA
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka działu Kultura, członkini kapituły Nagrody Conrada przyznawanej za najlepszy debiut prozatorski.



18 Gra w klasy po polsku
PAWEŁ MARCZEWSKI
Przynależność klasowa nie daje się dziś sprowadzić do jednego wymiaru. Umożliwia to politykom stylizowanie się na przedstawicieli ludu. Naszym kosztem.



60 Obsesja wybiera człowieka
BARBARA ZIEMBICKA, ARTYSTKA:
W życiorysie następują pewne fakty, od których się wszystko zaczyna. Dla mnie było to znalezienie glinianki pogórniczej. Kucnęłam, wygrzebałam glinę i zaczęłam lepić.



46 Plastr miodu Samsona
OPOWIADANIE KATARZYNY GRONIEC
Po Babce od razu widać, że nie jest stąd, nie musi się odzywać. Przyszłam z nią, bo jest stara i przygłucha, a spowiada się u jeszcze starszego i głuchego jak pień, bo u niego nie ma kolejek. U innych trzeba stać i godzinę, u niego zawsze puchy.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // RADEK PIETRUSZKA / PAP // ANNA STANKIEWICZ // BLANKA BIERNAT DLA „TP"

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Ameryka się oddala
JACEK STAWISKI

8-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Gra w klasy po polsku
PAWEŁ MARCZEWSKI

21 Gorące krzesła
ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ: *Na linii rząd–prezydent trwa otwarta wojna. Kiedy wybuchnie kolejna?*

24 Horyzont we mgle
MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA: *Dlaczego przedstawicielom pokolenia Y i Z dorosłość przyniosła rozczarowanie?*

■ ■ ŚWIAT

30 Drony nad Bejrutem
ZBIGNIEW ROKITA Z LIBANU: *Libańczycy są przekonani, że ich kraj czeka nowa wojna z Izraelem, gorsza od tej sprzed roku. Strefa Gazy to dla nich straszne memento.*

33 Kirgiski raj dla kryptowalut
AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA Z BISZKEKU: *W Kirgistanie działają liczne kopalnie kryptowalut, a roczne obroty nimi sięgają kilkunastu miliardów dolarów*

36 Estefanía, kobieta szczęśliwa
DOMA MATEJKO Z KOLUMBII: *Historia jak z filmu – dziewczyna ze wsi zostaje mistrzynią kolarską. Choć Estefanía Herrera doświadczyła wojny domowej, powtarza, że życie zawsze można zmienić na lepsze*

■ ■ WIARA

40 Komża do osiemnastki
STANISŁAW ZASADA: *Ministrantami byli znani aktorzy, politycy i piłkarze. Oraz tysiące zwykłych chłopców, a dziś coraz częściej także dziewczyn. Co ich ciągnie do ołtarza?*

TEMAT TYGODNIKA

12
Faceci od kuchni

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

W Polsce o męskości mówi się dużo i głośno. Doskonale wiadomo, jaka powinna być, surowo krytykuje się to, co do niej „nie pasuje". Tymczasem ona – podobnie jak społeczeństwo – ewoluuje.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

■ STRONY SPECJALNE ■

28 BLIKÓW NIE ZABRAKNIE

■ MAGAZYN LITERACKI ■

70-91 KSIĄŻKI W TYGODNIKU

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA **50** ZUZANNA RADZIK
96 PAWEŁ BRAVO
98 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

44 Towarzystwo teozofów
MACIEJ BIELAWSKI: *Nie da się zrozumieć popularności medytacji na Zachodzie, nie wspominając działającej w XIX w. grupki ludzi zafascynowanych duchowością Wschodu*

46 Plastr miodu Samsona
KATARZYNA GRONIEC

51 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

52 Rozważna romantyczka
PIOTR HAPANOWICZ: *Urodziła się 250 lat temu: Jane Austen, portrecistka XIX-wiecznej Anglii. Wciąż ma wiernych wielbicieli*

■ ■ NAUKA

56 Niedźwiedź po przejściach
ROZMOWA Z PIOTREM PARZYMIESEM, BIOLOGIEM: *Pandy wyewoluowały w Europie, Azję skolonizowały później. Mogło żyć ich nawet sto tysięcy*

■ ■ KULTURA

60 Obsesja wybiera człowieka
ROZMOWA Z BARBARĄ ZIEMBICKĄ

64 Kto się boi Wednesday Addams
PAWEŁ KICMAN: *Światy pełne grozy uczą akceptacji dla odmienności. Potworem, którego naprawdę mamy prawo się bać, jest w tym uniwersum ksenofobia*

67 Polecamy

68 Mleko i tusz
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Lynne Ramsay „Zgiń kochanie"*

69 Gra w przekład
LEKTOR *o książce „Trans, czyli transfer, transgresja, translacja" Jerzego Jarniewicza*

■ ■ PSYCHE

92 Cześć pracy
MAREK RABIJ *o pomyśle czterodniowego tygodnia pracy*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
SPRAWDŹ AKTUALNE PROMOCJE NA STRONIE 49

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA



AMERYKA SIĘ ODDALA

To, o czym dotąd czytaliśmy w postach Donalda Trumpa i jego ludzi w social mediach, przybrało kształt oficjalny. Nie jest to wcale izolacjonizm. Gorzej: to polityka zaawansowanego narodowego egoizmu.

JACEK STAWISKI

Według „Strategii" priorytetem Stanów jest dziś obszar Azji i Pacyfiku. Na zdjęciu powyżej: Trump w bazie USA w japońskim mieście Yokosuka, 28 października 2025 r.

Nowa „Strategia Bezpieczeństwa Narodowego USA" – wyczekiwana od miesięcy i zaprezentowana przez administrację Trumpa pod koniec minionego tygodnia – budzi wielkie obawy w Europie. Obawy o przyszłość zachodniego sojuszu w ogóle. Mają je zarówno kraje NATO i UE, jak też państwa aspirujące do obu organizacji, zwłaszcza broniąca się Ukraina.

Dokument jest też wykładnią polityki zagranicznej USA pod rządami Trumpa. Jeśli obóz rządzący dziś w Stanach utrzyma władzę po 2028 r., zostanie ona z nami na dłużej. Ze wszystkimi konsekwencjami dla Europy, w tym Polski.

RADOŚĆ KREMLA | Obawy w Europie są zrozumiałe. „Strategia" niemal otwarcie deklaruje, że ekipa Trumpa uważa UE za organizację nieprzyjazną, która szkodzi interesom nie tylko USA, ale – w mniemaniu trumpistów – także Europejczykom. Wolą oni widzieć w przyszłości Europę jako mozaikę pojedynczych państw narodowych, które podporządkowują się interesom handlowym i dominacji USA, także w sferze nowych technologii.

Trump i jego otoczenie nie wzywają do likwidacji NATO, ale wyraźnie sygnalizują, że jego wartość będą mierzyć poziomem wkładu finansowego państw europejskich do wspólnej obrony. Deklarują, że do NATO nie będą przyjmowane nowe kraje, co cieszy Moskwę. Kreml zdążył wyrazić już zadowolenie z kształtu „Strategii".

Zapis ten idzie więc dalej niż deklaracje ekipy Trumpa z początku roku. Wtedy mówiono, że Ameryka nie widzi Ukrainy w NATO, ale nie było mowy o zakazie przyjęcia innych państw. Blokada ze strony USA przesądza, że Sojusz się nie powiększy.

OFENSYWA TRUMPIZMU | W „Strategii" jest też dziwaczny zapis, że imigracja do Europy z krajów pozaeuropejskich, niezachodnich, może sprawić, iż część państw Europy nie



EUGENE HOSHIKO / AP / EAST NEWS

będzie już „zachodnia". Pobrzmiewa tu echo popularnego na radykalnej prawicy europejskiej i amerykańskiej mitu o forsowaniu przez jakieś „elity" tego, co określa się jako „wymianę ludności": zamiast „białej i chrześcijańskiej" ma w przyszłości dominować „niebiała i niechrześcijańska" ludność spoza kręgu cywilizacji Zachodu.

Dalej: ekipa Trumpa deklaruje, że chce dobierać sobie w Europie takich sojuszników, którzy mają podobną ideologiczną wizję świata. Nietrudno zgadnąć, że chodzi o partie prawicowe i radykalnie prawicowe – od Fideszu Orbána przez PiS, Partię Reform w Wielkiej Brytanii, formację Marine Le Pen czy niemiecką AfD. Ideologiczna ofensywa trumpizmu będzie, wedle „Strategii", wspierana przez rząd USA w Europie i świecie anglosaskim.

ROLA ROSJI | „Strategia" nie wskazuje Rosji jako głównego adwersarza USA, tę rolę zarezerwowano dla Chin. Rosja opisana jest jako kraj, z którym Europa powinna mieć normalne relacje, a Stany widzą siebie jako mediatora między Moskwą a Europą. Podobną wizję zawierał już 28-punktowy „plan pokojowy" Trumpa dla Ukrainy.

Waszyngton chce ponownie włączyć Rosję do polityki europejskiej i globalnej, i mieć w ten sposób wolną rękę na zajmowanie się rywalizacją z Chinami – i to na każdym polu: politycznym, ideowym, gospodarczym, technologicznym. Trudno, by zarówno Ukraińcy, jak też w ogóle Europejczycy byli uspokojeni zapisem, że USA będą dążyć do „strategicznej stabilności z Rosją" przy jednoczesnym zapewnieniu, że państwo ukraińskie będzie *viable state*, co można przełożyć jako państwo „żywotne" lub „funkcjonalne". Bardziej oczekiwane z naszej strony byłyby tu przymiotniki „niepodległe" i „demokratyczne".

DOKTRYNA EGOIZMU | Intrygująco brzmią te fragmenty „Strategii", które dotyczą polityki w szerszym sensie. „America First" ma oznaczać prymat interesu USA w skali globalnej, dominację Stanów na półkuli zachodniej i mierzenie potrzeby ich zaangażowania miarą korzyści ekonomicznych. Stany chcą wycofać się z promowania zachodniego modelu w krajach nienależących do Zachodu. Chcą też zwalczać organizacje światowe, które mają krępować ich interesy (np. ONZ).

Jeśli zaś nie uda się zapobiec wojnie lub wojnom, Stany będą gotowe bronić swych interesów przy użyciu maksymalnej siły, tak by każdy przyszły konflikt mogły rozstrzygnąć na swoją korzyść przy minimalnych stratach.

Podobne plany miała administracja George'a W. Busha, ale po 11 września 2001 r. uwikłała się w wyczerpujące wojny, w tym „budowanie społeczeństw" w świecie islamskim. Kontynuowano tę linię za Baracka Obamy, choć wygrał on w 2008 r. na fali wyraźnego już zmęczenia Amerykanów odległymi wojnami. Trumpiści czują nastroje, stąd tak radykalna definicja idei „America First". Nie jest to jednak tradycyjny izolacjonizm – to polityka zaawansowanego narodowego egoizmu.

SCENARIUSZE | Jak zatem może wyglądać bezpieczeństwo Europy, skoro Trump deklaruje taką nową formułę zaangażowania? Aby to sobie wyobrazić, warto sięgnąć po raport opublikowany właśnie przez francuski Instytut Montaigne'a. W opisie możliwej wojny, której początkiem byłby atak Rosji na Litwę, Łotwę i Estonię oraz przesmyk suwalski, rozważane są scenariusze reakcji NATO i USA. Pierwszy zakłada, że NATO przywoła 5. artykuł i pomoże; wtedy Rosja może zostać pokonana lub zdecyduje się na wielką wojnę z Zachodem.

Dalsze scenariusze są już inne. USA wahają się, czy dla Bałtów przywołać 5. artykuł, i rozmawiają z Rosją w nadziei, że można się dogadać. Niektóre kraje Europy też są niechętne aktywowaniu artykułu 5. W obronę Bałtów angażuje się europejska „koalicja chętnych", ale zostaje pokonana.

Kolejny wariant: USA deklarują wsparcie i dają wolną rękę amerykańskiemu głównodowodzącemu wojsk NATO. Ten jednak musi rozważyć, jakiego wsparcia udzielić wschodniej flance, skoro w innych teatrach (Azja, Bliski Wschód) eskalują konflikty inspirowane przez Rosję, Iran i Chiny. Równocześnie opinia publiczna w Europie, poddana dezinformacji, polaryzuje się. Klęska „koalicji chętnych", przy absencji lub niezdecydowaniu USA, rozdziera Europę, a Litwa, Łotwa i Estonia wpadają pod kontrolę Rosji.

GROŹNE „OKNO" | Instytut Montaigne'a uważa okres 2028-30 za „okno niebezpieczeństwa wojennego". Dlaczego? W 2026 r. może dojść do przerwania wojny w Ukrainie. W 2028 r. kończy się kadencja Trumpa; USA pogrążą się w walce wyborczej o schedę po nim lub w kryzysie konstytucyjnym i społecznym, jeśli Trump zechce kandydować na trzecią kadencję. W 2029 r. przypada zaś 80. rocznica Chin Ludowych, co może pchnąć Pekin do rozpoczęcia konfliktu w Azji, w tym o Tajwan.

Zarazem do 2030 r. Rosja może odbudować potencjał militarny i być zdolna zagrozić Europie. Tymczasem w „oknie" lat 2028-30 europejskie zdolności mogą być niewystarczające dla odparcia ataku, przy jednoczesnym ograniczaniu zaangażowania USA.

Dodajmy tu oczywistą konkluzję: pomoc Ukrainie, by mogła dalej się bronić, to egzystencjalny interes Europy.

NA EKRANIE | Polscy widzowie telewizji Canal+ mogą właśnie oglądać fiński serial pt. „Konflikt". To wizja, w której jedna z wysp Finlandii zostaje zaatakowana przez tajemniczych najemników, a faktycznie rzecz jasna przez Rosję. Finowie stawiają opór, ale wyspa zostaje zajęta. USA wahają się, czy o jedną wyspę warto włączać się do wojny z Rosją; utrzymują zresztą, że nie jest oczywiste, co się dzieje. Część polityków fińskich chce kompromisu z Kremlem, inni chcą walczyć.

Serial ten to poniekąd filmowa wersja raportu Instytutu Montaigne'a. Choć oczywiście twórcy jednego i drugiego nie mieli o tym pojęcia. ©℗



PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

KS. PIOTR STUDNICKI, KOORDYNATOR DS. OCHRONY MAŁOLETNICH:

Zmiany w projekcie komisji mogą uniemożliwić dotarcie do prawdy

ANNA GOC: Nad projektem komisji ds. wykorzystania seksualnego w Kościele pracował zespół prymasa Wojciecha Polaka. Kilka miesięcy temu, gdy prace były już zaawansowane, nagle i z niezrozumiałych powodów przekazano je bp. Sławomirowi Oderowi. Czy po zmianach, które wprowadził jego zespół, to nadal projekt niezależnej komisji?

KS. PIOTR STUDNICKI: Kluczowe jest pytanie o faktyczną, a nie deklaratywną niezależność. Ks. Grzegorz Strzelczyk i inne osoby, które zajmują się osobami skrzywdzonymi w Kościele, przeanalizowali oba dokumenty i wskazali na ryzyka wynikające z wprowadzonych zmian. Mam zaufanie do tej analizy, gdyż znam ks. Strzelczyka jako rzetelnego teologa, zaangażowanego w sprawy ochrony małoletnich i bezbronnych.

Zgodnie z nowymi zasadami komisja nie będzie miała zapewnionego dostępu do archiwów tajnych, gdzie są informacje o sprawach dotyczących wykorzystania seksualnego. Jeśli ich nie dostanie, trudno mówić o niezależnej komisji.

Wśród ryzyk wskazywane jest także to, że w nowym projekcie przełożeni będą mogli ingerować w badania komisji. W jaki sposób?

Jeśli w nowym projekcie pojawił się zapis, że kiedy osoba skrzywdzona zgłosi sprawę komisji, jej członkowie powiadamiają natychmiast przełożonego kościelnego, to daje biskupom możliwość ingerencji w prace komisji. Zapis ten mocno osłabia jej niezależność.

Tym bardziej że wydaje się zbędny, gdyż – zgodnie z prawem karnym i kościelnym – członkowie komisji i tak są zobowiązani do powiadomienia odpowiednich organów o możliwości popełnienia przestępstwa.

„Komisja nie ma prawa wzywania... Nikt nie może zostać zobowiązany do stawiennictwa ani do udzielania pisemnej odpowiedzi” – to kolejne zmiany w projekcie. Biskupi nie będą zobowiązani do odpowiadania na pytania członków komisji?

Komisja otrzyma jasno określone zadania, ale biskupi nie będą zobowiązani do konkretnej współpracy. Członkowie komisji nie będą mogli wezwać biskupa ani wymagać, by przekazał komisji potrzebne informacje. Przecież właśnie po to ma być powołana komisja – by przeanalizować, co się działo w każdej z diecezji, a swój raport oprzeć na wszechstronnych informacjach.

Zgodnie z nowym projektem komisja będzie mogła współpracować tylko z podmiotami, „których zasady działania nie stoją w sprzeczności z ideami chrześcijańskimi”.

Kryterium to jest niemerytoryczne, jest duże niebezpieczeństwo arbitralnego wykluczania fachowych podmiotów ze współpracy.

Analiza, którą przygotowali ks. Strzelczyk i inni specjaliści, ma wskazać biskupom na ryzyka, które wynikają ze zmian w projekcie. To nie są zmiany kosmetyczne, ale poważne. Mogą one sprawić, że dotarcie do prawdy nie będzie możliwe. Chcę mieć nadzieję, że księża biskupi dostrzegą te ryzyka i postarają się je wyeliminować na ostatnim etapie prac nad tym projektem.

KS. DR PIOTR STUDNICKI
jest pracownikiem dydaktyczno-naukowym UPJPII w Krakowie, w latach 2019-2024 kierował biurem Delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży.



Wetomat

MAREK KĘSKRAWIEC

Karol Nawrocki nie przejmuje się kompetencjami, jakie daje mu polska konstytucja, i właśnie instaluje w Pałacu coś na kształt nadrządu. Obecny prezydent w cztery miesiące zawetował już prawie dwa razy więcej ustaw niż Andrzej Duda przez półtora roku kohabitacji z gabinetem Donalda Tuska i widać wyraźnie, że uznał się nie tylko za recenzenta jego prac, ale też aktywnego współtwórcę obowiązującego w Polsce prawa, który na dodatek uważa, iż zawsze ma ostatnie słowo.

Dotychczas było tak, że prezydenci wetowali ustawy w wyjątkowych sytuacjach, a niektóre z tych podpisanych słali ewentualnie w ramach tzw. kontroli następczej do Trybunału Konstytucyjnego.

Obecna głowa państwa uznała się najwidoczniej również za jego mózg i właściwie wszystko, co jej się nie podoba, uznaje za powód do weta.

Nawrocki zrobił tak nawet z tzw. ustawą łańcuchową, przegłosowaną przecież także głosami posłów i posłanek PiS. Można oczywiście dyskutować nad wymiarami kojców, ale trudno sobie jednocześnie wyobrazić sprawne zarządzanie państwem, jeśli prezydent utrąca ustawy za każdy pojedynczy zapis, który mu się nie podoba – zawsze bowiem taki znajdzie. Ale przecież nie o detale tu chodzi, tylko o to, by jak najszybciej doprowadzić do sytuacji, w której trawiona wewnętrznym kryzysem koalicja po prostu się rozpadnie albo do wyborów za dwa lata dotrwa w kondycji SLD po aferze Rywina.

Ustawienie się Nawrockiego w roli „wetomatu” może okazać się błędem. Rząd Tuska nie miał w ostatnim czasie jakichś spektakularnych sukcesów na swoim koncie, raczej zmaga się, i to nieskutecznie, z rosnącym kryzysem wokół ochrony zdrowia i stanu finansów NFZ. A jednak ostatnie sondaże pokazują, że notowania całego rządu, jak i samego premiera, odbiły się od dna i wyraźnie poszły w górę. Jest w tym spora zasługa samego Nawrockiego, który uwikłał się w wewnętrzne rozgrywki na prawicy, a to oznacza lawirowanie między Kaczyńskim, różnymi frakcjami w PiS i oboma liderami Konfederacji, wymuszając przy okazji zaangażowanie choćby w sprawy kontrowersyjnego rynku kryptowalut.

Ostatecznie wyborcy, gdy już się nasycą tymi widowiskami, nie muszą wcale swojego rozczarowania Tuskiem przełożyć na głosowanie za środowiskiem, które paraliżuje dziś państwo. A na dodatek samo może rządzić wyłącznie wtedy, gdy dogada się z Grzegorzem Braunem. ©℗

NA PUNKTY

RYDZYK
„Czy gniewam się na nich? Nie. Ja współczuję tej biednej prokurator. Cieszę się, że w Rzeszowie, bo tam są bardzo porządni ludzie" – skomentował o. Tadeusz Rydzyk czekające go przesłuchanie w sprawie niekorzystnej umowy zawartej przez jego fundację „Lux Vertiatis" z zakładanym przezeń muzeum „Pamięć i Tożsamość". Termin przesłuchania przełożono, by nie kolidował z rocznicą Radia Maryja.

ŻUREK I ZIOBRO
„Naprawdę, jak byśmy chcieli, to byśmy go w bagażniku przywieźli" – powiedział obecny minister sprawiedliwości Waldemar Żurek o byłym ministrze Zbigniewie Ziobrze, podejrzanym o popełnienie 26 przestępstw związanych z wydatkowaniem środków Funduszu Sprawiedliwości i kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą.

PAWŁOWICZ
Brutalności frazy o bagażniku nie powstydziłaby się Krystyna Pawłowicz, która skądinąd – po orzeczeniu lekarza ZUS o niezdolności do pełnienia obowiązków – przeszła właśnie w Trybunale Konstytucyjnym na emeryturę. ©℗



Czego brakuje do diakonatu kobiet

ZUZANNA RADZIK

Musiałam przerwać czytanie tej wiadomości, żeby iść głosić Słowo i udzielić komunii w dwóch domach opieki. W parafii są dwaj księża i trzech diakonów, ale żadnego z nich nie widziałam posługujących w tych instytucjach" – napisała jedna z amerykańskich katoliczek, która formalnie i nieformalnie służy w Kościele od pół wieku. To najbardziej adekwatny komentarz do raportu watykańskiej komisji, która uznała, że nie ma możliwości diakonatu kobiet, ale zachęca do dalszych studiów i poszerzenia ich dostępu do innych posług. Powołana przez papieża Franciszka w 2020 r. komisja, której przewodniczył kard. Giuseppe Petrocchi (na zdjęciu) zakończyła prace w lutym. We wrześniu przesłała nowemu papieżowi siedmiostronicowy raport, który Leon XIV upublicznił pod koniec ubiegłego tygodnia.



Profesjonalna watykańska biurokracja od ćwierć wieku zamraża skutecznie ten temat w komisjach. Ta najnowsza miała kontynuować pracę wcześniejszej, z 2016 r., która zajmowała się posługą diakonatu w starożytności i której wniosków nie poznaliśmy. Jeszcze wcześniej tematem diakonatu stałego, w tym kobiet, zajmowała się Międzynarodowa Komisja Teologiczna, która swoje badanie – chyba najbardziej kompetentne – podsumowała w dokumencie z 2002 roku.

Przywrócenie diakonatu stałego po Soborze Watykańskim II było eksperymentem z tezą, że na nowe potrzeby Kościoła odpowiedzą tylko mężczyźni. W praktyce stało się inaczej. W dyskusji o włączeniu kobiet do diakonatu zderzają się dyscyplina Kościoła, jego uprawiana na patriarchalnych założeniach teologia i praktyka, bo w wielu miejscach świata praca duszpasterska Kościoła jest oparta na nienazwanej, niedocenionej i często nieodpłatnej pracy kobiet.

Kolejne wezwania do dalszych studiów i poszerzania dostępu do innych posług to świadectwo tchórzostwa i niedostatków duszpasterskiej wyobraźni. W przypadku diakonatu nie chodzi o brak wiedzy historycznej czy teologicznej. Ale o brak odważnego przywództwa. ©

TIZIANA FABI / AFP / EAST NEWS



Amerykańska walka z wiatrakami

MARTA ZDZIEBORSKA

Władze San Francisco pozwały producentów wysoko przetworzonej żywności za rujnowanie zdrowia konsumentom. To jeden z nielicznych tematów, w których to liberalne miasto zgadza się z administracją Trumpa. Na liście pozwanych jest 10 korporacji, w tym producenci słodyczy Oreo i KitKat, napojów Coca-Cola i Pepsi oraz wszelkiej maści płatków. Według władz San Francisco koncerny wiedzą, że ich produkty szkodzą, ale dalej je sprzedają, by maksymalizować zyski.

Pozew przywołuje badania, z których wynika, że wysoko przetworzona żywność przyczynia się do rozwoju cukrzycy typu 2 oraz nowotworów. To palący problem, bo aż 70 proc. żywności dostępnej w USA można uznać za ultraprzetworzoną. W sklepach w Stanach roi się od mrożonych dań i produktów o nienaturalnie intensywnych kolorach.

Autorzy pozwu nie domagają się zakazu sprzedaży takiej żywności, ale chcą rekompensaty za koszty leczenia chorych konsumentów ponoszone przez lokalne władze. San Francisco chce też zakazu nieuczciwych praktyk marketingowych skierowanych do dzieci, a zwłaszcza do Latynosów i Afroamerykanów (oni częściej niż biali chorują na cukrzycę typu 2, co związane jest m.in. z mniej zdrową, tańszą dietą).

Pozew z San Francisco – pierwszy tego rodzaju złożony przez lokalne władze – wpisuje się w politykę ekipy Trumpa. Ta naciska na producentów żywności, by przestali używać szkodliwych barwników wytwarzanych z ropy. Restrykcje narzucają też władze stanów, także tych konserwatywnych, w myśl popularnego w ruchu MAGA hasła *Make America Healthy Again* (Uczyńmy Amerykę na powrót zdrową).

„Wiele poglądów administracji Trumpa nie ma podstaw w nauce, jednak akurat w tym przypadku jest inaczej" – mówił prawnik David Chiu, stojący za pozwem z San Francisco.

Aby jednak batalia z producentami żywności przyniosła zmiany, potrzeba pokonania innej choroby trawiącej Stany: lobby wielkiego przemysłu, które od lat blokuje reformy. Producenci już torpedują wymierzone w nich restrykcje stanowe. To nierówna walka. ©

Autorka jest dziennikarką „Press".



Trudno się nie zdenerwować

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

10 grudnia w Australii weszły w życie przepisy zakazujące korzystania z mediów społecznościowych osobom poniżej 16. roku życia. Wyjątków nie przewidziano: zgoda rodziców nie uprawnia nastolatka do posiadania konta. Platformy muszą uniemożliwić dostęp młodszym użytkownikom, stosując „rozsądne kroki" weryfikacji wieku – albo narażą się na wielomilionowe kary.



LARYSA / ADOBE STOCK

To wszystko z obaw o zdrowie psychiczne młodych ludzi. Zlecone przez rząd badania pokazały, że 96 proc. dzieci w wieku 10-15 lat korzystało z social mediów, a ponad połowa doświadczyła cyberprzemocy. Minister komunikacji Anika Wells nazwała media społecznościowe „behawioralną kokainą". Większość obywateli chyba się z nią zgadza. 77 proc. Australijczyków uznaje, że ograniczenia są potrzebne, choć jednocześnie dwie trzecie badanych wątpi, że będą skuteczne.

Z kolei UNICEF Australia podkreśla, że „opóźnienie dostępu do mediów społecznościowych nie rozwiąże problemów", bo platformy są równie niszczycielskie w odniesieniu do młodzieży, co do dorosłych. Dlaczego? Bo to się opłaca. Jad, złość, oburzenie sprzedają się w mediach społecznościowych doskonale, bo sprawiają, że wkurzeni ludzie przeglądają treści i klikają dłużej.

Dlatego jedynym powodem, dla którego kogokolwiek powinno dziwić, że słowem roku Oxford University Press zostało wybrane hasło „rage bait", jest to, że stało się to tak późno. Termin ten oznacza treści online celowo projektowane po to, by wywołać złość lub oburzenie, zwykle w celu zwiększenia ruchu i liczby reakcji. Czyli – w sumie – niemal wszystko, co dzisiaj trafia do nas w mediach społecznościowych.

Redakcja OUP stwierdziła, że w ciągu roku częstotliwość użycia tego zwrotu wzrosła ponad trzykrotnie. „Fakt, że słowo *rage bait* w ogóle istnieje i że jego użycie dramatycznie wzrosło, pokazuje, że coraz lepiej dostrzegamy taktyki manipulacji, w które możemy zostać wciągnięci *online*" – komentował Casper Grathwohl, prezes Oxford Languages. Dostrzegamy? Fajnie. Ale czy wyciągamy z tego jakiekolwiek wnioski?

Co na to Polacy? Nowe dane GUS pokazują, że z nosami w sieci siedzimy bez przerwy. W 2025 r. 96,2 proc. gospodarstw domowych miało dostęp do internetu, a prawie 85 proc. osób w wieku 16-74 lat korzystało z niego codziennie. W praktyce smartfon jest naszym oknem na świat. A to znaczy, że kto zarządza tym, co widzimy i jakie emocje to w nas wzbudza, może wpływać na to, co dzieje się w naszym kraju.

Dane wyszukiwarek internetowych uzupełniają ten obraz. W corocznym zestawieniu Google „Rok w wyszukiwarce" najczęściej pojawiały się hasła związane z polityką (wybory prezydenckie, wyniki wyborów, papież), ale i popkulturą („Labubu", serial „Heweliusz"), pytania praktyczne („jak zmienić miejsce głosowania") i ciekawostki biologiczne („ile kolan ma koń", „czy zaskroniec mruga").

Dyskusja dotyczy dziś nie tylko tego, czy internet nas kształtuje, ale przede wszystkim kto i jak powinien ograniczać wpływ, jaki wywierają na nas rządzące nim wielkie platformy: państwo, użytkownicy czy amerykańscy miliarderzy. A koń ma cztery kolana. Nie ma za co. ©

Szczepionka na fentanyl

ZDROWIE ▪ Szczepionki kojarzymy przede wszystkim z chorobami zakaźnymi. To dzięki powszechnym szczepieniom udało się praktycznie wyeliminować niektóre choroby infekcyjne. Współcześnie jednak epidemie i pandemie wywołują nie tylko wirusy i bakterie. W USA od trzech dekad narasta problem nadużywania opioidów, który w ostatnich latach przybrał rozmiary epidemii. Od 2021 r. z powodu przedawkowania fentanylu, oksykodonu i innych opiatów w USA umiera co roku ponad 100 tys. osób. I tu szczepionki mogą okazać się użyteczne.

Jak informuje portal wired.com, amerykańska firma biotechnologiczna ARMR Sciences w przyszłym roku rozpocznie pierwszą fazę badań klinicznych szczepionki przeciwko fentanylowi. Ten syntetyczny opioid, podobnie jak pozostałe, jest silnym lekiem analgetycznym, którego cząsteczki przechodzą barierę krew-mózg i działają na receptory opioidowe, wywołując pożądane efekty – działanie przeciwbólowe i przeciwlękowe oraz euforyzujące, na które liczą osoby uzależnione. Skutkiem ubocznym jest hamowanie ośrodka oddechowego obecnego w pniu mózgu. To w ten sposób lek może doprowadzić do śmierci przy przedawkowaniu.

Substancją, która jest w stanie odwrócić działanie opioidów w ciągu kilku chwil, jest nalokson. Ale trzeba mieć do niego dostęp i zastosować go w porę. Szczepionka ma w ogóle nie dopuszczać do depresji oddechowej i wystąpienia działania euforyzującego. Z jej stworzeniem wiąże się jednak kilka problemów technicznych.

Cząsteczka fentanylu jest na tyle mała, że bez problemu przekracza barierę krew-mózg, a jednocześnie układ odpornościowy jej nie zauważa i nie tworzy przeciw niej przeciwciał. Testowana wkrótce szczepionka to połączenie cząsteczki podobnej do fentanylu z toksyną błoniczą, która dodatkowo zwiększa reakcję układu odpornościowego. Kiedy prawdziwy fentanyl dostaje się do krwi, obecne przeciwciała wiążą go i uniemożliwiają przejście opioidu do tkanki mózgu. U szczurów szczepionka hamowała nawet 98 proc. fentanylu. W pierwszym etapie testów preparat otrzyma 40 zdrowych ochotników, a jeśli bezpieczeństwo szczepionki zostanie potwierdzone, kolejnym krokiem będzie podawanie uczestnikom kontrolowanych dawek opioidu.

Fentanyl odpowiada za ok. 70 proc. zgonów spowodowanych przez opioidy. Szczepionka może znacząco ograniczyć tę liczbę, ale do rozwiązania opioidowej czy szerzej patrząc: narkotykowej epidemii w USA to nie wystarczy.

© BARTOSZ KABAŁA



ABACA PRESS / FORUM

Al-Mayassa bint Hamad bin Khalifa Al-Thani podczas ceremonii otwarcia Muzeum Narodowego Kataru. Doha, 27 marca 2019 r.

Półwysep Arabski coraz ważniejszym miejscem dla sztuki

KULTURA I RYNEK ▪ Prestiżowy magazyn „ArtReview" opublikował doroczną listę stu najbardziej wpływowych postaci w sztuce. Nie ma ona odzwierciedlać preferencji ekonomicznych – jest próbą znalezienia „prawdy w dziedzinie, w której często rządzą subiektywne opinie, upodobania i niechęci". Dlatego też do jej przygotowania zaprasza ok. 30 osób z całego świata.

Na pierwszym miejscu listy znalazł się w tym roku 38-letni artysta z Ghany, Ibrahim Mahama, wykorzystujący w swojej twórczości stare, zużyte rzeczy, z których powstają zaskakujące instalacje – jedną z nich można właśnie oglądać w warszawskiej Zachęcie. Mahama jest też współtwórcą kilku instytucji kultury i to właśnie połączenie aktywizmu z pracą twórczą sprawiło, że znalazł się na czele rankingu. Kolejne dwa miejsca zajęły Al-Mayassa bint Hamad bin Khalifa Al-Thani, przewodnicząca Qatar Museums (organizacji skupiającej ponad tuzin instytucji i obiektów dziedzictwa kulturowego w tym kraju) oraz Hoor Al Qasimi, kuratorka i założycielka Szardża Biennale w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Ich wybór pokazuje, jak dużą rolę w obiegu artystycznym zajmują dziś monarchie Półwyspu Arabskiego.

W pierwszej dziesiątce znalazł się Niemiec Wolfgang Tillmans, fotograf, także aktywista. Jest on zresztą jedyną osobą związaną z Europą w ścisłej czołówce listy, poza członkami kolektywu Forensic Architecture, zajmującego się badaniami nt. łamania praw człowieka. W podsumowaniu „ArtReview" znajdziemy 30 Europejczyków, w tym ukraińskiego artystę Nikitę Kadana (94. miejsce), jedynego, poza Mariną Abramović (28. miejsce), z naszej części kontynentu. 29 osób pochodzi z Azji, 28 z Ameryki Południowej, 8 z Afryki, a 5 z Ameryki Południowej. Pokazuje to, jak bardzo zmieniła się geografia artystyczna.

Świat sztuki staje się coraz bardziej zglobalizowany, ale też wielobiegunowy. W zestawieniu sprzed dwóch dekad w pierwszej dwudziestce były zaledwie dwie kobiety, w tym roku jest ich dziewięć. Wreszcie też mniej miejsca zajmują galerzyści i galerzystki. Dopiero na 53. pozycji znaleźli się José Kuri i Mónica Manzutto z założonej w Meksyku galerii kurimanzutto. Natomiast Larry Gagosian, twórca najbardziej globalnej galerii z 18 oddziałami na całym świecie i miliardowymi przychodami, wylądował na 79. miejscu, choć przez całe lata znajdował się w dziesiątce najpotężniejszych ludzi w sztuce. Czy to oznacza zmniejszenie roli rynku? Niekoniecznie, natomiast może pokazywać, jak zmienia się obieg sztuki.

© PIOTR KOSIEWSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

FACECI OD KUCHNI

W Polsce o męskości mówi się dużo i głośno. Doskonale wiadomo, jaka powinna być, surowo krytykuje się to, co do niej „nie pasuje". Tymczasem ona – podobnie jak społeczeństwo – ewoluuje.

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Dobiegający sześćdziesiątki Mariusz długo zbywał prośby o rozmowę, upierając się, że w temacie męskości nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Gdy się zgodził, zastrzegł, że to będzie krótka piłka. Finalnie rozmowa trwała prawie czterdzieści minut. Na pytanie o to, czym jest dla niego męskość, odpowiada po chwili namysłu: – Dla mnie męskość to odpowiedzialność, zaradność, zdolność utrzymania rodziny. Od zawsze kwestia finansowa spoczywa głównie na mnie, więc siłą rzeczy dużo pracuję. I żona, i ja wynieśliśmy z domu taki model rodziny – tłumaczy.

Miłosz, 34-letni świeżo upieczony tata, przyznaje, że dotychczas niespecjalnie zastanawiał się nad tym, czym jest dla niego męskość. – Może dlatego, że mam poczucie, że nie wpisuję się w jej stereotypowe ramy? – śmieje się i dodaje, że utarło się, iż mężczyzna powinien być zdecydowany, konkretny, rezolutny, przedsiębiorczy. – Ja jestem spokojny, mam łagodny charakter, nie lubię konfrontacji, a podejmowanie poważnych decyzji przychodzi mi z trudem – wyjaśnia. Bycie mężczyzną to dla niego bycie opiekuńczym. – Nie chodzi o to, żeby facet brał na siebie całą odpowiedzialność za utrzymanie rodziny, bo dziś kobiety też chcą robić karierę, realizować się, zarabiać. Chodzi o to, żeby dbał o bliskich, żeby przy nich był, wspierał, pomagał – mówi.

Jeszcze inaczej na męskość patrzy wychowany w latach dwutysięcznych 25-letni Gabriel. Dla niego i wielu przedstawicieli jego pokolenia nie jest ona już jedną sztywną definicją, zbiorem zasad czy listą cech, które trzeba spełnić, by „zasłużyć" na tytuł prawdziwego mężczyzny. – To raczej odwaga bycia sobą, mówienia wprost o tym, co się czuje i myśli, nawet jeśli komuś się to nie podoba. To również troska i dbanie o siebie samego – podsumowuje.

Z ojca na syna

Wzorce męskości – których przekrój prezentują bohaterowie tekstu będący przedstawicielami różnych pokoleń – nie rodzą się w próżni. Jak wyjaśnia prof. Natasza Kosakowska-Berezecka, psycholożka społeczna z Zakładu Psychologii Międzykulturowej i Psychologii Rodzaju Uniwersytetu Gdańskiego specjalizująca się w badaniach nad równością płci, jednym z kluczowych kształtujących je czynników jest kapitał społeczno-kulturowy wyniesiony z domu. – Poglądy dzieci, zwłaszcza we wczesnych latach, są kształtowane przez mentalność i poglądy rodziców, a w przypadku chłopców szczególnie ważną rolę odgrywa ojciec – tłumaczy badaczka.

Wojciech Śmieja, literaturoznawca i reporter, w swojej głośnej książce „Po męstwie" przyglądającej się dziejom męskości w Polsce widzi problem w szerszej perspektywie. Otóż męskość nie jest kategorią historycznie niezmienną, jej znaczenia podlegają ciągłym negocjacjom. Siłą rzeczy jest więc kształtowana przez epokę i premiowane w niej wartości.

Po odzyskaniu niepodległości oraz w dwudziestoleciu międzywojennym dominowała według Śmiei tzw. męskość honorowa – oparta na etosie rycerskim (a może raczej ułańskim), na poświęceniu, odwadze, gotowości do walki. W czasach powojennych oraz w PRL-u męskość uosabiały praca i dążenie do awansu społecznego, a cechami pożądanymi były zaradność i odpowiedzialność. W latach 90., czyli w czasach tuż po transformacji ustrojowej, najsilniejszym męskim „ideałem" stał się sukces, rozumiany jako przedsiębiorczość, samodzielność, „radzenie sobie" oraz często – nieustanna pogoń za osiągnięciami.

I choć omawiane wzorce męskości na pierwszy rzut oka wydają się różne, mają punkt styku: wszystkie premiowały emocjonalną powściągliwość. Obraz zamkniętego w sobie, mało wylewnego, „dającego radę" mężczyzny ma więc w Polsce długą, ↦



naznaczoną różnymi pokoleniowymi bagażami i doświadczeniami tradycję. Urodzony pod koniec lat 60. Mariusz przyznaje, że z perspektywy czasu widzi, iż przekazywane w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie wartości rzutowały na jego podejście do męskości:

– Ojciec trzymał w domu dyscyplinę, był zdystansowany. Urodził się jeszcze przed wojną i sam odebrał surowe wychowanie od swojego ojca, który służył w ułanach. Z opowieści wiem, że dziadek był chłodny, a w domu panował wojskowy rygor – opowiada i dodaje, że nikt nie nauczył go mówienia o emocjach, więc sam nigdy nie przywiązywał do nich wagi. – Przez całe życie miałem poczucie, że tak trzeba. Nadal to we mnie pokutuje – czasem przytłacza mnie presja i odpowiedzialność, mam dni, kiedy czuję się zły albo zmęczony, ale zostawiam to dla siebie, bo facet o takich rzeczach po prostu nie gada – mówi.

Kuba Malenta, psycholog pracujący na co dzień z mężczyznami, zauważa, że wieloletnie milczenie i dystansowanie odbijają się na współczesnych mężczyznach, którzy – choć mają w sobie masę emocji – nie wiedzą, jak sobie z nimi radzić.

– Chłopców latami uczono ograniczania języka emocji, mówiono im, że powinni być zachowawczy, opanowani. Dlatego dziś wielu dorosłych mężczyzn zna tylko trzy główne emocje: złość, smutek i radość – tłumaczy Malenta.

W efekcie, gdy pojawia się napięcie, próbują regulować je poprzez złość, gniew czy przemoc, często też uciekają w pracę lub sięgają po używki. Zdarza się również, że latami kumulują emocje. To jednak nie sprawia, że one znikają.

Trudno zdobyć, łatwo stracić

Na to, jak postrzega się męskość, wpływa też – a może przede wszystkim – szerszy kontekst kulturowy. Szczegółowo omawiają go badania prowadzone w ramach międzynarodowego projektu badawczego „Towards Gender Harmony", którymi kierowała prof. Kosakowska-Berezecka. Zostały one przeprowadzone w 62 krajach na dużej próbie ponad 30 tys. respondentów i respondentek i wykazały, że w zdecydowanej większości kultur – w tym także w polskiej – męskość wiąże się z założeniem, że można jej zagrozić i że trzeba na nią zasłużyć.

> Panowie po latach milczenia czują potrzebę rozmowy i nawiązywania relacji. Aż 65 proc. mężczyzn chciałoby mieć z kim porozmawiać o swoich emocjach, a wśród grupy wiekowej w wieku 18-25 lat ten odsetek wzrasta nawet do 79 proc.

– Nie jest „przyznawana" z urodzenia, ale trzeba ją udowadniać poprzez spełnianie określonych w danym kraju „standardów męskości" – wyjaśnia badaczka. Zwraca również uwagę na to, że w większości współczesnych społeczeństw cechy mieszczące się w stereotypowej definicji męskości (sprawczość, pewność siebie, umiejętność sprawowania władzy, zaradność finansowa) nadal są cenione i pożądane.

– To sprawia, że męskość ma z „góry" nadaną wyższą rangę – jest uznawana za bardziej wartościową i pożądaną, więc idąc tym tropem, trzeba troszczyć się o to, by utrzymać jej wysoki i cenny status – mówi prof. Kosakowska-Berezecka. W kontekście udowadniania męskości, psycholożka społeczna zwraca uwagę na wątek rytuałów przejścia, które w przeszłości były ważne i obecne w wielu kulturach (w Polsce za ich ostatni bastion można uznać obowiązkową służbę wojskową zniesioną w 2009 r.). Stanowiły one symboliczne wyjście z domu, uchodziły również za potwierdzenie tego, że jest się mężczyzną.

Współcześnie rytuały są w zaniku, więc wielu mężczyzn czuje presję ciągłego udowadniania swojego statusu, a gdy mają poczucie, że ich „męskość" jest zagrożona, podejmują działania, które w oczach innych im ją przywrócą. Mogą np. mieć skłonność do podejmowania ryzykownych zachowań lub manifestować status „trofeami" męskości – samochodem, drogimi gadżetami, muskulaturą. – A skoro nadanie tytułu „męskiego mężczyzny" pochodzi z zewnątrz, to nic dziwnego, że wielu mężczyzn nadal boi się mówić o swoich słabościach, niepowodzeniach czy przyznawać się do życiowych trudności – jest to dla nich tożsame z utratą męskości – podsumowuje badaczka.

W szklanej pułapce

Presja nieustannego udowadniania swojej męskości odbija się również na tym, jak Polacy podchodzą do swojego zdrowia – zarówno psychicznego, jak i seksualnego. W naszej kulturze złe samopoczucie, bezradność czy depresja są postrzegane jako słabość, czyli coś, co bezpośrednio uderza w męskość. Tymczasem statystyki dotyczące samobójstw każą bić na alarm.

Według raportu „Samobójstwa i próby samobójcze w Polsce w latach 2020-2024", opracowanego na podstawie danych Komendy Głównej Policji, mężczyźni odbierają sobie życie prawie pięć razy częściej niż kobiety (mimo że to one częściej podejmują próby samobójcze).

Kiedy mężczyźni sięgają po specjalistyczną pomoc? Jak wyjaśnia Malenta, rzadko kiedy proszą o nią „tak po prostu". – Zwykle musi pojawić się dodatkowy impuls: utrata kontroli, presja rodziny, świadomość, że coś się sypie – mówi psycholog. – Od dziecka są uczeni działania i sprawczości, więc kiedy one szwankują, pojawia się poczucie utraty kontroli i lęk. A wtedy największym aktem odwagi i odpowiedzialności jest zadbanie o siebie – dodaje.

Podobnie sprawy mają się z męskim zdrowiem seksualnym – zaburzenia erekcji, spadek libido czy problemy z prostatą i hormonami wciąż są tematem tabu, bo kulturowo wiąże się je z „niespełnieniem męskiej roli". Badania jasno pokazują, że mężczyźni rzadziej niż kobiety zgłaszają się po pomoc do specjalistów, długo zwlekają z diagnozą i częściej bagatelizują pierwsze niepokojące sygnały.

Opublikowany w lipcu 2024 r. raport „Zrozumieć męskość. Rzeczywistość polskiego mężczyzny", przygotowany na zlecenie firmy Gedeon Richter Polska, wskazuje, że panowie „męskie sprawy" traktują po macoszemu – do samodzielnego badania jąder przyznaje się co trzeci mężczyzna, u lekarza na tego typu badaniu było jedynie 14 proc., z kolei badania poziomu męskich hormonów ma na koncie tylko 8 proc. ankietowanych. Dla wielu mężczyzn przyznanie się do problemu – szczególnie dotyczącego zdrowia seksualnego – oznacza niejako symboliczną

„utratę" męskości. A to kolejny mechanizm, który napędza błędne koło milczenia, wstydu i izolacji.

To, co znane

To, że męskość uważa się za coś, co trzeba wciąż udowadniać, a nie coś, co się po prostu ma, odbija się na wzorcach męskości, które w danym społeczeństwie są „pożądane". Jak kształtują się one we współczesnej Polsce?

Badania wskazują na to, że nasz kraj nadal tradycyjną męskością stoi, oprócz tego mamy tendencję do tego, żeby dyskurs „prawdziwego" mężczyzny podtrzymywać. Polska także – jak tłumaczy prof. Kosakowska-Berezecka – jest krajem, w którym tradycyjne role męskie wciąż są utożsamiane z „naszym" mężczyzną.

Kiedy pytam ekspertkę o to, czym właściwie jest ta osławiona, prawdziwa, tradycyjna męskość, naukowczyni wyjaśnia, że w Polsce – podobnie jak w większości kultur na świecie – istotą męskości jest antykobiecość.

– Mężczyzna jest mężczyzną, o ile nie przejawia kobiecych cech i zachowań, nie zajmuje się kobiecymi rzeczami – wyjaśnia badaczka, zastrzegając jednocześnie, że ta norma, choć silnie zakorzeniona, nie zawsze jest widoczna w zachowaniach. Wielu mężczyzn niekoniecznie ją podziela i sięga po jej wzorce, ale doskonale zna oczekiwania, które stawia wobec nich kultura.

Tego typu normy nie są abstrakcją. Realnie regulują to, kogo uważa się za „normalnego". Gabriel doświadczył tego jako mały chłopiec. „Babochłop", „pedał", „ciota" – takie określenia na swój temat słyszał w podstawówce, bo lubił bawić się lalkami, a nie interesowały go klocki Lego i autka. – Rodzice nie mieli z tym problemu, w domu nikt nie kwestionował tego, kim jestem. Piekło zaczęło się w szkole – mówi. Wtedy pojawiły się wyzwiska, wyśmiewanie, dyskryminacja, a przemoc była bagatelizowana przez nauczycieli.

– Słyszałem, że jak będę normalny – czyli taki, jak inni chłopcy – to wszystko będzie dobrze, koledzy dadzą mi spokój. Wtedy bardzo mnie to bolało, dziś wiem, że to była próba osadzenia mnie w społecznych ramach – przyznaje.

Im więcej sytuacji potencjalnie zagrażających stereotypowej męskości, tym bardziej nasilają się tradycyjne poglądy. – Badania pokazują, że wówczas mężczyźni wierzący w to, że męskość należy udowadniać, bardziej konserwatywnie podchodzą do podziału obowiązków, są nakierowani na wsparcie działań wojennych, przejawiają też zachowania antyrównościowe i homofobiczne – tłumaczy prof. Kosakowska-Berezecka.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Im więcej sytuacji potencjalnie zagrażających stereotypowej męskości, tym bardziej nasilają się w społeczeństwie tradycyjne poglądy. Zwrot w stronę konserwatywnych wartości widać w całej Unii Europejskiej.

Jak się okazuje, zwrot w stronę konserwatywnych wartości widać nie tylko w Polsce, ale w całej Unii Europejskiej. Czarno na białym pokazują to opublikowane w ubiegłym roku badania Eurobarometru, wedle których we wszystkich krajach europejskich da się zaobserwować duże nasilenie stereotypów płci.

Psycholożka społeczna wyjaśnia, że jest to pokłosie kilku nakładających się na siebie czynników. – Żyjemy w trudnych czasach – od kilku lat za naszą wschodnią granicą trwa pełnoskalowa wojna, obserwujemy też sytuację w Gazie, dochodzą do nas sygnały, często podsycane przez media społecznościowe, że żyjemy w zagrożeniu z wielu stron: boimy się wojen, migracji, feministek, grup LGBT – mówi badaczka i zauważa, że takie społeczne i geopolityczne niepokoje oraz rosnące antagonizmy sprzyjają konserwatywnym i radykalnym poglądom.

– W momencie, gdy czujemy strach i niepewność, chcemy wrócić do czegoś, co jest nam znane, do czegoś, co w naszym poczuciu zawsze działało i zapewniało bezpieczeństwo – podsumowuje.

Chłopaki też płaczą

I choć może wydawać się, że dziś nastroje „nie sprzyjają", to zmiany w tym, jak zarówno społeczeństwo, jak i sami panowie podchodzą do kwestii męskości, są widoczne gołym okiem. Widać je na ulicach, w internecie, mediach oraz w liczbach i deklaracjach. Wspomniany już wcześniej raport „Zrozumieć męskość. Rzeczywistość polskiego mężczyzny" wskazuje, że mężczyźni doceniają wagę emocji, a coraz mniej z nich (34 proc.) uważa, iż powinni radzić sobie z nimi sami. W zdecydowanej mniejszości są również ci, którzy twierdzą, że nie powinni okazywać słabości i nie wypada im płakać (odpowiednio 33 proc. i 24 proc.).

Co istotne, zmienia się także sama definicja męskości: ankietowani w grupie 18-69 lat opowiadali, że męskość to dla nich dojrzałość (63 proc.), mądrość życiowa (56 proc.), spokój i opanowanie (54 proc.); oprócz tego ponad jedna trzecia badanych uważa, że następuje rozpad dotychczasowych wyobrażeń o mężczyźnie i jego roli (37 proc.).

Ewoluują także role płciowe – współcześni mężczyźni do kwestii rodzinnych częściej podchodzą w partnerski sposób, a według opublikowanego niedawno raportu GUS „Budżet czasu ludności" aż 40 proc. z nich chciałoby spędzać więcej czasu z dzieckiem. Panowie po latach milczenia czują także potrzebę rozmowy i nawiązywania relacji – wedle przytaczanego już raportu aż 65 proc. mężczyzn chciałoby mieć z kim porozmawiać o swoich emocjach, a wśród grupy wiekowej 18-25 lat ten odsetek wzrasta nawet do 79 proc.

Jak podkreśla psycholog – to bardzo ważne, bo mężczyźni do dobrego funkcjonowania potrzebują innych mężczyzn. – Badania potwierdzają, że każdemu, bez względu na płeć, potrzebna jest sieć wsparcia i relacje, które odpowiadają za dobrostan psychiczny. Człowiek jest stworzony do życia w grupie – wyjaśnia ↦

↦ Malenta i dodaje, że kobietom tworzenie wspólnot przychodzi łatwiej, bo ich komunikacja jest bardziej otwarta.

W przypadku mężczyzn jest to skomplikowane, bo wielu z nich nadal boi się stygmatyzacji, nieufnie podchodzi do bliskości męsko-męskiej i uważa, że nadmierne uzewnętrznianie się nie prowadzi do niczego dobrego. – Faceci, nawet jeżeli mają w sobie empatię, często nie wiedzą, jak się zachować, gdy rozmówca się otwiera. Nie wiedzą, co powinni powiedzieć, nie wiedzą, czy mogą pozwolić sobie na gesty wsparcia – mówi Sebastian Nowak, aktywista z działającego w Poznaniu Stowarzyszenia BoyHood, inspirowanego popularną wśród kobiet ideą siostrzeństwa.

Na początku października BoyHood zorganizowało pierwsze stacjonarne spotkanie, na którym pojawiło się kilkudziesięciu mężczyzn. – Byli w różnym wieku, pochodzili z różnych światów, ale problemy, z którymi przyszli, były takie same: brak umiejętności wyrażania emocji i mówienia o nich, problemy z komunikacją i pewnością siebie – opowiada Sebastian i zapowiada, że spotkania będą odbywały się co miesiąc, bo potrzeba rozmawiania o męskości, jej wyzwaniach i problemach jest ewidentna. Podobne inicjatywy pojawiają się także w innych miastach w Polsce.

Miłoszowi wsparcie kolegów pomogło przejść przez baby bluesa, który pojawił się u niego po narodzinach syna. Nowa rola

Czym dla mężczyzn jest męskość?
Dojrzałość – 63 proc.
Mądrość życiowa – 56 proc.
Spokój i opanowanie – 54 proc.

go przygniotła, czuł, że jest złym ojcem, że się do tego nie nadaje, wątpił w swoją męskość. Po rozmowach z innymi ojcami zrozumiał, że nie jest osamotniony w tym, co czuje. – Nie oceniali mnie, nie usłyszałem złego słowa. Wszyscy potwierdzili, że relacja ojca z dzieckiem nie rodzi się z dnia na dzień. Zrozumieli mnie, powiedzieli, że mam dać sobie czas, że będzie lepiej. Mieli rację – opowiada.

Oddychaj

Jeśli wierzyć clickbaitowym nagłówkom i wszechwiedzącym socialmediowym komentatorom rzeczywistości, w Polsce od dobrej dekady mamy kryzys męskości. Jednak specjalizujący się w zagadnieniu eksperci i ekspertki mają inne zdanie. Na to, co dzieje się w naszym kraju, patrzą przez pryzmat zmiany, ewolucji i przebudowy.

Jak podkreśla prof. Kosakowska-Berezecka, samo słowo „kryzys” ma negatywne konotacje i kojarzy się z czymś trudnym, podcinającym skrzydła, niszczącym. Naukowczyni, która bada poglądy wobec męskości także wśród nastolatków, zauważa, że młodzi ludzie są zmęczeni tym tematem, czują też niepewność co do wymagań stawianych im pod hasłem bycia mężczyzną.

Nie pomaga fakt, że social media zalewają młodych sprzecznymi wzorcami męskości (od ultrawrażliwca, przez romantyka i luzaka, po skrajnego radykała) oraz rozbuchanymi społecznymi oczekiwaniami często łączącymi w sobie sprzeczne wartości, potęgującymi poczucie zagubienia.

– Młodzi czują presję, bo wciąż muszą coś udowadniać, a jednocześnie wychodzić poza schematy, nowe standardy męskości zaś nie są jeszcze dla nich jasne. Brakuje pozytywnych wzorców do naśladowania, brakuje dialogu z kobietami, który torowałby drogę do empatii międzypłciowej – wyjaśnia badaczka i zauważa, że wszyscy – bez względu na płeć, potrzebujemy oddechu.

Tym oddechem – jak przekonuje – może być równość, która jest troską o relacje, wzajemnym zrozumieniem, życiową równowagą, bezpieczeństwem i komfortem. – Ona także ściąga z mężczyzn ciężar oczekiwań, które dziś bardzo ich przygniatają – podsumowuje. Może właśnie na tym powinna się opierać współczesna męskość?

© MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Jacek Stawiski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)

TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. transformacji: Michał Bagiński
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Karolina Biały, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Justyna Hernas (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

TYGODNIK POWSZECHNY



Lepsze strony życia

Zamów nowe
Wydanie Specjalne „Tygodnika Powszechnego”
na sklep.TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ

GRA W KLASY PO POLSKU



Przynależność klasowa
nie daje się dziś sprowadzić
do jednego wymiaru,
na przykład dochodowego.
Umożliwia to politykom należącym
do elity – lub kontrelity –
stylizowanie się na przedstawicieli ludu.
Naszym kosztem.

PAWEŁ MARCZEWSKI

Po 1989 roku mogło się wydawać, że nastąpił nie tylko koniec historii, ale też i koniec struktury klasowej, tak jak ją opisywała teoria marksistowska. Oba końce miały zresztą ze sobą wiele wspólnego. Skoro liberalna demokracja miała być jedynym systemem społeczno-politycznym, do którego po końcu zimnej wojny powinny aspirować wszystkie społeczeństwa pragnące cieszyć się dobrobytem i wolnością, to podziały klasowe również powinny odejść do lamusa. Nie dlatego, że różnice majątkowe czy statusowe zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w krajach, w których do niedawna wsadzano ludzi do więzień za przekonania polityczne. Podziały klasowe miały nie tyle zniknąć, co ludzie mieli przestać się przez nie definiować. To nie wykonywany zawód czy otrzymywane zarobki miały określać to, do jakiej grupy należy dana osoba i jak myśli o swoim miejscu w społeczeństwie. Determinować miały nas gusta, zainteresowania, aspiracje, to, co konsumujemy, z kim się spotykamy – a nie to, z czego utrzymujemy się w danym momencie.

Pamiętam, jak na zajęciach ze „stratyfikacji społecznej", tuż przed wstąpieniem Polski do Unii Europejskiej, nasz wykładowca przekonywał, że teraz decydujące znaczenie będzie miał poziom wykształcenia. Liczby oczywiście podtrzymywały tę narrację. Po 1989 r. zarobki osób, które ukończyły wyższe uczelnie, faktycznie były wyższe od dochodów ludzi gorzej wyedukowanych, a pensje zatrudnionych w przemyśle (kiedyś wyznaczającym prestiż i status społeczny) malały. Tyle że wyciągany z owych liczb wniosek, iż Polska stała się społeczeństwem merytokratycznym, w którym o sukcesie decydują talent i wiedza, a nie osobiste konekcje czy decyzje polityczne determinujące to, jaka branża będzie uznana za szczególnie istotną – oparty był na kilku błędnych założeniach.

Gdzie winda nie dociera

Po pierwsze, w narracji tej pomijano fakt, że okres transformacji politycznej i gospodarczej oznaczał dla wielu dobrze wykształconych ludzi zubożenie i utratę prestiżu. Jeśli pracowało się akurat w państwowej instytucji, w której nałożono limity wynagrodzeń w celu ograniczenia inflacji, to zwolnienie się z pracy, żeby handlować na bazarze ze stolika turystycznego – nie było wcale nieracjonalną decyzją.

Po drugie, początkowo wierzono, że karierę i awans społeczny zagwarantuje wyższe wykształcenie zdobyte na jakimkolwiek kierunku i na jakiejkolwiek uczelni. Dlatego trzeba było ukończyć



RADEK PIETRUSZKA / PAP

Minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski i prezydent RP Karol Nawrocki na Konkursie Chopinowskim. Warszawa, 21 października 2025 r.

liceum, a nie technikum czy tym bardziej szkołę zawodową, a potem zdobyć tytuł magistra „czegokolwiek". Szybko się jednak okazało, że ta prosta winda awansu społecznego do niektórych pięter w ogóle nie dociera.

Po trzecie wreszcie, definiowanie siebie przez wybory konsumpcyjne w społeczeństwie, które w ostatniej dekadzie przed zmianą systemu doświadczyło ogromnych braków i niedostatku, wydawało się szczególnie kuszące, ale było tak samo złudne jak wiara w to, że wzięcie kredytu chwilówki wyciągnie nas z kłopotów finansowych. Zapominano, że konsumowanie bez realnej zmiany poziomu dochodów to tylko gra w udawanie kogoś, kim się nie jest.

Dziś można by stwierdzić, że od początku transformacji upłynęło bardzo dużo czasu, a polskie społeczeństwo realnie się wzbogaciło, więc profesorowie wyższych uczelni mogą handlować na bazarach co najwyżej w ramach badań terenowych. Nie trzeba też bawić się we Włochy, gotując spaghetti z sosem z torebki, tylko można kupić bilet taniej linii i polecieć do Rzymu lub Bari. Wiemy również, że dyplom dyplomowi nierówny i zdecydowanie nie każde studia gwarantują zatrudnienie w zawodzie czy też pracę w ogóle.

Z jednej strony podnieśliśmy aspiracje, z drugiej – ponad trzy dekady doświadczeń z gospodarką rynkową nauczyły nas patrzeć na nią bardziej realistycznie. A jednak to zbiorowe wyparcie znaczenia struktury klasowej, jakiego polskie społeczeństwo doświadczyło po upadku komunizmu, wraca do nas w najróżniejszych momentach. Struktura ta stała się widmem, które nawiedza nas w momentach konfliktów społecznych, kształtuje nasze wybory polityczne, każe szukać korzeni, trajektorii awansu społecznego, a zarazem jest często wypierana, niezauważana lub bagatelizowana. Mit przezwyciężonych na dobre różnic klasowych ma się dobrze, choć tak naprawdę mało kto w niego wierzy. Gramy w klasy zupełnie na serio, ale udajemy, że to tylko zabawa.

Wieczna wojna elit z ludem

Tymczasem widmo tych podziałów wyłania się zza dowolnych biegunów, wokół których koncentrują się od lat dwie skonfliktowane połowy naszego spolaryzowanego kraju. Działo się tak wtedy, kiedy scenę polityczną organizował „ład postkomunistyczny", a tym bardziej później, kiedy wedle wielu polityków i publicystów ukształtował się podział na Polskę „liberalną" i „solidarną". Chociaż ta pierwsza linia graniczna teoretycznie dotyczyła stosunku do przeszłości i panującego wówczas autorytarnego ustroju, to jednak rozgraniczenie miało również silny aspekt klasowy. W przeszłość patrzyli z tęsknotą nie tylko dawni aktywiści PZPR, ale też ci, którzy nie do końca radzili sobie w teraźniejszości, nie potrafili odnaleźć się w gospodarce rynkowej, sprostać konkurencji. Odważnie przed siebie spoglądali zaś wykształceni ludzie sukcesu, którzy chcieli, by Polska szybko doszlusowała do zamożnego Zachodu.

Ład społeczny po upadku PRL oznaczał więc na samym początku podział na „wygranych i przegranych transformacji", ale zaczął erodować jeszcze przed aferą Rywina, kiedy postkomuniści postanowili stać się lewicą nowego czasu, której ton na Zachodzie nadawał Tony Blair. Jak mantrę powtarzano wtedy, że nie może być redystrybucji dóbr bez wcześniejszego wypracowania wzrostu gospodarczego.

Podział postkomunistyczny w końcu odszedł do przeszłości, ale nie oznaczał końca symbolicznego podziału na lud i elity. Teraz zagospodarowały go siły polityczne odwołujące się na różne sposoby do dziedzictwa Solidarności. Być może to ten wspólny rodowód sprawił, że tym silniej podkreślały różnice ↦

↦ światopoglądowe i to, jak różne są Polski, które reprezentują. PiS miał w tej narracji dawać głos i wspierać Polskę wspólnotową, szanującą tradycje narodowe, natomiast PO miała być głosem Polski indywidualistycznej, proeuropejskiej, czasem kosmopolitycznej. Ale tak jak w przypadku podziału postkomunistycznego, mówienie o Polsce liberalnej i solidarnej skrywało w gruncie rzeczy podziały klasowe, a przy okazji wyborów w 2015 r., po których do władzy wrócili samozwańczy reprezentanci Polski solidarnej, znowu mówiono o konflikcie między przegranymi i wygranymi transformacji – choć od zmiany ustroju minęło ponad ćwierć wieku.

Narracja o wojnie elit – zamożnych i indywidualistycznych – z gorzej wykształconym, biedniejszym i rzekomo wspólnotowym ludem powraca przy okazji każdych wyborów, w szczególności prezydenckich. Starcie w drugiej turze tylko dwóch kandydatów siłą rzeczy redukuje różnorodność poglądów i idei do konieczności opowiedzenia się za konkretną twarzą, konkretnym zestawem opinii, określoną osobowością. Ta redukcja sprzyja polaryzacji, ale też sprowadzaniu wszystkich różnic do jednej, za to zasadniczej: podziału na tych, którzy są „na górze", i tych, którzy pozostają „na dole". Na elitę i lud.

Kontrelity prawicy

Podczas ostatniej, brutalnej kampanii wyborczej ten symboliczny podział wrócił ze szczególną mocą. Nakręcił go z jednej strony szczególny moment – kandydat KO był szansą na dalsze rządy bez konieczności zmagania się z prezydenckim wetem. Dla głównej siły opozycyjnej jego wygrana oznaczałaby jednak „domknięcie systemu" i coraz mniejsze szanse na powrót do władzy.

Gdy opadł kurz po bitwie o Pałac Prezydencki, niektórzy analitycy i komentatorzy wskazywali, że przedstawianie starcia Rafała Trzaskowskiego z Karolem Nawrockim jako walki reprezentanta elity z trybunem ludowym jest nietrafione. W gruncie rzeczy mamy bowiem do czynienia z walką dwóch różnych elit. W tym tonie pisał na łamach „Tygodnika" Jakub Dymek, a myśl tę rozwijał na stronie Klubu Jagiellońskiego Rafał Gawlikowski, odwołując się do analiz Petera Turchina. Ich spostrzeżenia mówią coś ważnego o dynamice i charakterze walki o władzę w Polsce, nie unieważniając zarazem znaczenia i żywotności podziału na lud i elity w polskim życiu publicznym.

> Mit przezwyciężonych na dobre różnic klasowych ma się dobrze, choć tak naprawdę mało kto w niego wierzy. **Gramy w klasy zupełnie na serio, ale udajemy, że to tylko zabawa.**

To prawda, że po ośmiu latach sprawowania władzy i rozdzielania intratnych stanowisk publicznych trudno uznać PiS za partię ludową. Sam Karol Nawrocki – jako doktor historii i wieloletni dyrektor IPN – nie pasuje do stereotypowego wizerunku człowieka z ludu. Nie oznacza to jednak, że partia i politycy tworzący tę uprzywilejowaną „kontrelitę" nie mogą odgrywać dawnych ról.

Profesor Mikołaj Cześnik, badający od lat kolejne elekcje w ramach Polskiego Generalnego Studium Wyborczego, w ostatnim czasie śledzi również (na podstawie danych z tego projektu) wpływ podziałów klasowych na sposób głosowania obywateli. W analizie przygotowanej niedawno dla Fundacji Batorego prof. Cześnik wskazuje, że podziały te mają w Polsce charakter wielowymiarowy. Wyznaczają je nie tylko majątek i wykształcenie, ale też cały zestaw kryteriów symbolicznych – używany język, deklarowane wartości, uczestnictwo w określonych praktykach społecznych, na przykład religijnych.

Zgrubny podział na „elity" i „lud" zakrywa ten wielowymiarowy charakter polskich podziałów. Jednocześnie to, że przynależność klasowa nie daje się sprowadzić do jednego kryterium, na przykład ściśle dochodowego, umożliwia politykom należącym do elity lub kontrelity stylizowanie się na przedstawicieli ludu. Zarówno Andrzej Duda, jak i Karol Nawrocki potrafili robić to bardzo skutecznie, a niewygodne fakty z biografii tego drugiego, ujawnione podczas kampanii, paradoksalnie uwiarygodniły go w części elektoratu jako „człowieka z ludu".

Każdemu jego klasa średnia

Liberalna filozofia polityczna, ale też organizacje międzynarodowe (np. OECD) przypisują szczególne znaczenie klasie średniej. Wynika to z założenia, że jej stabilność i wysoka liczebność pozwalają nie tylko niwelować nierówności ekonomiczne, ale też rozładowywać napięcia między „elitą" i „ludem". Klasa średnia, nie na tyle bogata, by forsować oligarchiczne interesy polityczne, ale wystarczająco zamożna, by nie kierować się w wyborach chęcią zapewnienia sobie „transferów socjalnych" – ma być gwarantem zrównoważonego budżetu i racjonalnych wyborów politycznych, podyktowanych dobrem wspólnym, a nie grupowymi interesami.

Jeśli przyjąć definicję klasy średniej stosowaną przez OECD („dochód rozporządzalny na osobę w gospodarstwie domowym mieści się w przedziale od 75 proc. do 200 proc. mediany dla kraju"), to niektóre szacunki, na przykład kalkulacje Eurofund z 2024 r., zaliczają do klasy średniej 68 proc. Polek i Polaków. Powinniśmy być zatem krajem wyjątkowo stabilnym, egalitarnym i mało spolaryzowanym.

Niektórzy badacze wskazują, że taka definicja klasy średniej sprawia, iż w gruncie rzeczy należy do niej każdy poza osobami skrajnie ubogimi lub wyjątkowo zamożnymi. I rzeczywiście, szerokie widełki dochodowe ujmują w jednej kategorii osoby o bardzo różnym poziomie życia. Definicja ta ma jednak pewną zaletę – pozwala uchwycić poziom naszych aspiracji, a zarazem niepewność osiąganego przez nas statusu. Jest ona zarówno źródłem lęku przed deklasacją, jak też paliwem dla dążenia do lepszego życia i awansu społecznego.

Ten niedookreślony i niepewny status klasy średniej to kolejny, poza inscenizowaną walką pomiędzy elitami i ludem, wymiar polskiej gry w klasy. Różne ugrupowania polityczne – także te obiecujące przełamanie duopolu – wytwarzają sobie własną klasę średnią. W zależności od politycznej potrzeby jest ona stabilna, zamożna i niepokoi ją rozdawnictwo, innym razem boi się zubożenia i oczekuje państwowych gwarancji swojego

dobrobytu, a niekiedy jej głównym zmartwieniem jest to, że dwie największe partie zajmują się same sobą, a nie problemami „zwykłych Polaków". Tak jak różne obozy mają swoje elity i lud, tak tworzą na własny użytek swoją klasę średnią.

Wywrócić stolik

Polskie gry w klasy są skuteczne politycznie, bo z jednej strony odpowiadają na rzeczywiste lęki – przed deklasacją czy zablokowanym awansem społecznym – a z drugiej korzystają z zaciemnionego obrazu struktury klasowej. Jednak prawdziwa chęć zrozumienia własnego miejsca w strukturze społecznej oraz drogi, jaką przebyły kolejne pokolenia, by znaleźć się w tym konkretnym miejscu – jest paląca. Świadczy o niej popularność i szeroki rezonans książek opisujących doświadczenie osób wywodzących się z nizin społecznych i starających się wydobyć z biedy oraz zależności.

Nie przypadkiem to badaczki i reporterki, opisujące losy i zmiany w świadomości kobiet, szczególnie wyłamują się z prostych narracji o elitach i ludzie. Jednocześnie ich prace zataczają o wiele szersze kręgi czytelnicze niż akademickie lub publicystyczne analizy. Książki Joanny Kuciel-Frydryszak („Chłopki. Opowieść o naszych babkach") czy Antoniny Tosiek („Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet") rezonują o wiele silniej niż uniwersyteckie analizy (choć i tam powstają cenne prace, jak „Poruszeni" Magdy Szcześniak) struktur klasowych, bo odwołują się do konkretnych doświadczeń.

Dyskutując o tym, czym faktycznie jest klasowość w życiu społecznym i jak jest praktykowana na co dzień, można wywrócić stolik do gry, który ustawili dla nas politycy. Klasowość determinuje nasze wybory polityczne tym bardziej, im bardziej jest wypierana i zamazywana. Jeśli faktycznie chcemy ją przekroczyć, musimy o niej dyskutować i brać pod uwagę całą jej złożoność. Nie zrobimy tego ani zapisując się do wyimaginowanej klasy średniej, ani wpisując się w podział na lud i elity, który stworzyli nam politycy. © PAWEŁ MARCZEWSKI



FOT. OMAR MARQUES / GETTY IMAGES

Polska posiada 14 MiG-ów-29. Niektóre z nich już niedługo mogą służyć w siłach powietrznych Ukrainy. Na zdjęciu: ćwiczenia wojskowe w bazie w Łasku, 12 października 2022 r.

Gorące krzesła

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

POLITYKA | Na linii rząd–prezydent trwa otwarta wojna. Za chwilę możemy być świadkami jej kolejnego etapu, tym razem wokół sporu o przekazanie Ukrainie polskich myśliwców MiG-29.

Zanim gruchnęła wieść o planie Trumpa–Putina dla Ukrainy, pomiędzy Ministerstwem Spraw Zagranicznych i prezydenckim Biurem Polityki Międzynarodowej (BPM) już trwał ostry konflikt, a po atakach na polską kolej zrobiło się jeszcze gęściej. Szef dyplomacji i wicepremier Radosław Sikorski w wystąpieniu sejmowym mówił o aktach terroru państwowego ze strony Rosji, jednocześnie nie powstrzymując się od stwierdzenia, że Karol Nawrocki przygotowuje „psychologiczny i polityczny grunt pod polexit". Sikorski zakwestionował również prawo głowy państwa do prowadzenia polityki zagranicznej: „rola konstytucyjna, do jakiej naród pana wybrał, nie pozwala kształtować polskiej polityki zagranicznej wedle własnego widzimisię".

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Szef BPM, minister Marcin Przydacz od razu zwołał konferencję prasową: „Gdy dzisiaj Władimir Putin oglądał wystąpienie ministra spraw zagranicznych w Sejmie, myślę, że na jego twarzy pojawił się uśmiech, myślę, że pojawiły się oklaski" – mówił. W Kancelarii Prezydenta za kompromitację rządu uznano ucieczkę na Białoruś dwóch Ukraińców, którzy – jak się podejrzewa – na zlecenie Rosji podkładali ładunki wybuchowe na torach.

Nawet realne ryzyko śmiertelnych ataków nie zmniejszyło temperatury sporu na linii prezydent–rząd. Zwłaszcza że podsyca go festiwal wzajemnych oskarżeń, kto zawiódł w kwestii kreślonego przez Donalda Trumpa planu pokojowego, niekorzystnego nie tylko dla Ukrainy, ale też całej wschodniej flanki NATO.

Poza centrum decyzyjnym

Jak wynika z nieoficjalnych rozmów „Tygodnika" w Pałacu Prezydenckim, od kilku tygodni otoczenie Nawrockiego ↦

↦ próbuje ustalić przyczyny, dla których polskiego premiera konsekwentnie usuwa się z tzw. grupy E3, pracującej na rzecz rozejmu na Ukrainie. Składa się ona z Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec. Donald Tusk co prawda uczestniczył w rozmowach o przyszłości Ukrainy, ale była to dyskusja ogólnounijna, na marginesie szczytu UE–Unia Afrykańska. Szans na grupę E4 nie widać.

– Początkowo przekonywano nas, że to dlatego, iż Polska nie zdecydowała się na wysłanie wojsk na Ukrainę po zawieszeniu broni. No ale Niemcy też ich nie wyślą, a w grupie grają pierwsze skrzypce. Dużo energii idzie na walkę z prezydentem, a powinno się ją spożytkować w walce o pozycję Polski na świecie – przekonuje polityk z otoczenia Karola Nawrockiego. – Od kilku miesięcy dostajemy od rządu wybiórczy zestaw informacji o sytuacji międzynarodowej i zagrożeniach dla kraju. Liczba dokumentów ze służb specjalnych też jest minimalna; to celowe pozbawianie głowy państwa dostępu do danych – żali się.

Rząd również ma długą listę pretensji. W MSZ słyszymy, że dla pozującego na męża stanu Nawrockiego tak naprawdę ważniejsza jest szkodliwa dla przyszłości Polski antyunijna propaganda oraz blokowanie awansów w służbach specjalnych. A jedyną strategią, jaką udało się wygenerować w otoczeniu głowy państwa, jest blokowanie wszystkiego, co płynie z rządu. – Jeśli tak, to w porządku. Jesteśmy gotowi. Chcą wojny, będą ją mieli – przekonuje jeden z wiceministrów.

Oliwy do ognia doleje zapewne kolejna decyzja rządu. Jak wynika z informacji „Tygodnika", Donald Tusk zamierza niebawem przekazać Ukrainie polskie MiGi-29 (w sumie mamy ich 14). Chodzić ma o te myśliwce, którym w 2026 r. skończą się tzw. resursy techniczne i nie będą mogły już pełnić służby w naszych siłach powietrznych. To samo dotyczy przestarzałych, wycofanych z użytku szturmowych Su-22. – Kijów sam nalegał na ich przekazanie, a my zgodziliśmy się, bo nasi piloci i tak nie będą na nich latać. Tymczasem Ukraińcy zrobią z nich jeszcze użytek – przekonuje nas źródło w MON.

Decyzja rządu jest słuszna. Przekazanie maszyn – obok 100 mln dolarów, którymi Polska zasili program PURL (czyli unijne zakupy broni z USA dla Ukrainy) – to relatywnie niski koszt wzmocnienia naszej pozycji w stosunkach z Kijowem i w relacjach z grupą E3.

Otoczenia premiera i prezydenta zgadzają się co do jednego.
Im dłużej trwa wojna na Ukrainie, tym więcej czasu ma Polska na przygotowanie się do ewentualnej konfrontacji z Rosją.

Jest tylko jeden problem. Jak wynika z ustaleń „Tygodnika", Pałac nie został poinformowany o takim kroku. Formalnie rząd nie ma takiego obowiązku, niemniej pozostawienie Karola Nawrockiego na boku w tak ważnej sprawie nie pomoże w unormowaniu relacji w strategicznym momencie rozmów o rozejmie na Ukrainie.

Na tę samą nutę

W tym kontekście warto zauważyć, że prezydent – mocno konfrontacyjny wobec rządu w kwestii wetowania ustaw i w werbalnych oświadczeniach – jednocześnie próbuje zaznaczać obszary wspólnej polityki. Zdecydował się np. ograniczyć program wizyty na Węgrzech tylko do szczytu prezydentów Grupy Wyszehradzkiej w Ostrzyhomiu. Nie doszło więc do planowanego spotkania Nawrockiego w cztery oczy z Viktorem Orbánem, który wcześniej spotkał się z Władimirem Putinem w Moskwie, czego w żaden sposób nie koordynował z państwami UE.

Relacje z Orbánem od dawna są kością niezgody między PiS i rządem; w Budapeszcie ukrywa się przecież były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro i jego zastępca Marcin Romanowski. W tym przypadku jednak prezydent zdecydował się na solidarność z rządem w kwestionowaniu polityki Orbána i jasny, proeuropejski, a zarazem antyrosyjski gest – nawet kosztem strat wizerunkowych w prawicowym elektoracie.

Nawrocki podobnie zachował się wobec tzw. 28-punktowego planu Donalda Trumpa. W zawoalowanej formie zdystansował się od lansowanych przez Moskwę i Waszyngton tez. „Rosja jest państwem niedotrzymującym umów. Każdy plan pokojowy zmierzający do zakończenia wywołanej przez Federację Rosyjską wojny na Ukrainie musi zostać zaakceptowany w Kijowie" – napisał na X. – „To Ukraina padła ofiarą zbrodniczej agresji Putina i to Ukraińcy, przy wsparciu Stanów Zjednoczonych oraz krajów UE muszą mieć decydujący głos w rozmowach pokojowych" – dodał polityk, który jednego dnia żąda od Ukrainy podziękowań za polską pomoc, a innego zdaje się rozgraniczać konflikt wokół zbrodni wołyńskiej i lekceważącej postawy Kijowa wobec Warszawy, od spraw fundamentalnych dla międzynarodowych interesów i bezpieczeństwa Polski.

Chcąc nie chcąc, oba ośrodki władzy w Polsce grają czasem na tę samą nutę – ale raczej po cichu. Głośno Nawrocki pyta, gdzie jest potęga Tuska, którego koalicja przedstawia jako mocarza na unijnych salonach, a przecież nie ma nas w grupie E3, decydującej o przyszłości Ukrainy. Rząd zaś zarzuca głowie państwa, że nie wykorzystuje swoich rzekomo szerokich wpływów w Waszyngtonie, by modyfikować korzystne dla Rosji postępowanie Donalda Trumpa.

Nie chcemy rozbiorów

Zapytaliśmy w otoczeniu prezydenta, dlaczego nawet nie podjęto próby przekonania Trumpa do polskich argumentów. Usłyszeliśmy, że prezydent USA nie dopuszcza do siebie „adwokatów Ukrainy", również z grona własnej administracji. Spotkania z przywódcami europejskimi są rytualne i przebiegają w nerwowej atmosferze. Po drugie, Polska (mimo skomplikowanych ostatnio stosunków z Kijowem) nie ma zamiaru w żaden sposób żyrować porozumień, które mogą doprowadzić do rozbioru Ukrainy – bez kosztów po stronie Rosji.

Dokładnie tej samej argumentacji używa rząd. Wprost powiedział o tym w rozmowie z TVN Radosław Sikorski. „Polska nie będzie brała udziału w kupczeniu ukraińskimi ziemiami, my będziemy takie rzeczy recenzować, a nie je żyrować" – skomentował.

Podobny „spin" płynący i z Pałacu Prezydenckiego, i z rządu, pozwala do pewnego stopnia uniknąć trudnych pytań o to, dlaczego Polski nie ma przy



KPRM

Premier Donald Tusk na miejscu prawdopodobnej rosyjskiej dywersji pod Garwolinem, 17 listopada 2025 r.

głównym stole negocjacyjnym. Naiwnym jest założenie, że Tusk lub Nawrocki pryncypialnie nie skorzystaliby z okazji, gdyby albo Trump, albo przywódcy E3 takie zaproszenie do stołu przekazali. Nie sposób jednak odmówić pewnej racjonalności logice, którą zaprezentował Sikorski. Jeśli Trump zdoła złamać Zełenskiego jeszcze tej zimy, a Ukraina odda niezawojowany Donbas (dziś wydaje się to mało prawdopodobne) – porozumienie rozejmowe będzie ledwie pauzą przed kolejną wojną. Tym razem z otwartą autostradą z Donbasu aż pod niemal milionowe miasto Dniepr i niewiele mniejsze Zaporoże. Państwa, które poprą taki rozejm, opowiedzą się po stronie zalegalizowania rozbioru przy użyciu siły.

Nikt tego nie przyzna ani w KPRM, ani w Pałacu, ale otoczenia premiera i prezydenta zgadzają się co do jednego. Im dłużej trwa wojna na Ukrainie, tym więcej czasu ma Polska i wschodnia flanka NATO na przygotowanie się do ewentualnej konfrontacji z Rosją, uwiązaną dziś na zaporoskich stepach i w Zagłębiu Donieckim.

Pomysł na Hołownię

Kilka tygodni temu wydawało się, że nadzieja na lepszą atmosferę może wiązać się z zakończeniem sporu o ambasadorów. Za prezydentury Andrzeja Dudy, który teraz postrzegany jest jako postać kompromisowa, pojawił się zarys ścieżki wyjścia z tego kryzysu. Dziś to już przeszłość.

– Nie ma żadnego zawieszenia broni. Prezydent jest przekonany, że ma prawo wskazywać i namaszczać swoich kandydatów. Jest w błędzie. To rząd i MSZ są w prawie, jeśli chodzi o ambasadorów. Prezydent tylko zatwierdza te osoby, a wskazuje je premier – przekonuje mnie źródło w rządzie. W Pałacu słyszę z kolei, że prezydent nie jest tylko notariuszem, ale ma prawo reagować odmową podpisu, np. wtedy, gdy rząd pragnie powołać na ambasadora w USA „skompromitowanego" Bogdana Klicha.

Próbą porozumienia między dwoma ośrodkami władzy miało być rzekomo kompromisowe przekazanie fotela ambasadora w USA Szymonowi Hołowni – w razie jego porażki w walce o stanowisko Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców. Dziś to już tylko marzenia. – Nie będzie takich ustaleń. Szymon Hołownia stara się o stanowisko komisarza, a rząd go wspiera, gdyż jest na krótkiej liście składającej się z trzech nazwisk. Nie ma tematu – mówi „Tygodnikowi" wysoki urzędnik MSZ.

W efekcie rząd dużego europejskiego państwa nadal będzie próbował sterować placówkami za pomocą kierowników. A prezydent pozostanie na stanowisku, że prawomocnymi ambasadorami są ludzie, których szef MSZ ściągnął do kraju w marcu 2024 r. Nawrocki nadal będzie odcięty od wiedzy płynącej z dwóch strategicznych dla naszego bezpieczeństwa miejsc – Waszyngtonu, w którym placówką kieruje Bogdan Klich; i Kijowa, gdzie analogiczną funkcję pełni Piotr Łukasiewicz.

Sam Sikorski nie ma interesu w tym, by wygaszać wojnę z Nawrockim. Jego plany sięgają znacznie dalej niż centrala MSZ przy alei Szucha. Gmachem na co dzień trzęsą dwaj dyrektorzy – szef służby zagranicznej i dyrektor generalny Rafał Wiśniewski oraz dyrektor Biura Organizacji i Rozwoju Roman Kowalski – wicepremier nie wikła się w wewnętrzne wojny „o gumki i ołówki"; nie bierze na siebie nieprzyjemnych rozmów z odwoływanymi dyplomatami.

Mówimy o najdłużej panującym ministrze spraw zagranicznych w historii III RP. Na Szucha Sikorski widział już wszystko i drobnicowe wojenki go znudziły. Od tego ma ludzi. On sam robi politykę. Być może wierzy, że ma szansę zostać premierem, jeśli Tusk powtórzy manewr w stylu tego z Ewą Kopacz. Jego miejsce w MSZ miałby wówczas zająć Paweł Kowal, obecny pełnomocnik ds. Ukrainy w KPRM i szef komisji spraw zagranicznych Sejmu.

Plusy ujemne

Skonfliktowane strony przyjęły podobną taktykę. Chcą się prezentować jako siły sprawcze. I jeśli idzie np. o obecność wojsk USA w Polsce, trzeba przyznać, że deklaracje amerykańskiego prezydenta wygłoszone podczas ostatniej wizyty Nawrockiego w Waszyngtonie zostały na razie podtrzymane.

Trump pod koniec października zdecydował o wycofaniu tysiąca żołnierzy z Rumunii, m.in. z bazy w Konstancy, która miała być rozbudowana do rozmiarów Ramstein. Tyle że z naszych informacji wynika również, iż Polacy nie byli z wyprzedzeniem informowani o tych ruchach Amerykanów. Podobnie jak nie informowano nas o szczegółach 28-punktowego planu Trumpa dla Ukrainy, z czego co najmniej trzy bezpośrednio dotyczą Polski. Rozmowa telefoniczna Tuska i Zełenskiego na ten temat odbyła się dopiero po przeciekach do mediów, w niedzielę 23 listopada. Ukraińcy sami z siebie nie przekazali nam wcześniej, że rozmawiają z USA o takim planie. Początkowo grali nawet zaskoczonych tym, że on w ogóle istnieje. ↦

↦ Redukcję wojsk w Europie Pałac Prezydencki ograł jako swój sukces; co do zasady miał do tego chuligańskie prawo. To Nawrocki w Waszyngtonie wymusił na Trumpie deklarację, że wojska USA zostaną w Polsce, a jeśli dobrze pójdzie, to ich liczba zostanie zwiększona. Granie tą kartą w sporze z rządem ma jednak „plusy ujemne". To wspomniane już oczekiwanie, że Nawrocki wpłynie na Trumpa w kwestii Ukrainy, co stanowi raczej *mission impossible*. No i Trump zawsze może zmienić zdanie i zabrać swe oddziały znad Wisły.

Z drugiej strony, od przedstawicieli rządu słyszymy, że niektórzy ważni politycy koalicji uznali za problem zagalopowanie się w narracji wykluczającej prezydenta z polityki zagranicznej. Teraz trudno będzie obarczać Nawrockiego za ewentualne niepowodzenia. Po stronie „pałacowej" też słychać refleksję o konieczności opamiętania się polskiej klasy politycznej, ale tu również brakuje chęci trwałego porozumienia w najważniejszych kwestiach międzynarodowych.

Wojna rządu z prezydentem o dyplomację i bezpieczeństwo państwa wygląda dziś jak hałaśliwa studencka impreza. Uczestnicy robią szum, są nieuważni, kłócą się, potem mają kaca utrudniającego logiczne myślenie. Donald Trump, formułując swój plan, zgodził się na wprowadzenie do niego zapisów o zapoczątkowaniu między NATO i Rosją rozmów *de facto* o demilitaryzacji wschodniej flanki Sojuszu. Wpisał do draftu dokumentu w zawoalowanej formie to, do czego dążyła rosyjska dyplomacja już zimą 2021 r. Polska o tych zapisach nic nie wiedziała. „Decyzje dotyczące Polski podejmować będą Polacy. Nic o nas bez nas. W sprawie pokoju wszelkie negocjacje powinny być prowadzone z udziałem Ukrainy" – napisał Donald Tusk na portalu X.

Możliwe, że w gorącym sporze „o krzesło" zarówno rząd, jak i Pałac Prezydencki coś przegapili. Albo ktoś naprawdę ważny zapomniał nam o tym powiedzieć. Ewentualnie uznał, że nie ma takiej potrzeby.

© ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

Autor jest publicystą „Dziennika Gazety Prawnej"



Horyzont we mgle

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

POKOLENIA | Mieli być tymi, którym „będzie łatwiej". Tymczasem to właśnie oni coraz częściej mówią dziś o lęku i niepewności. Dlaczego tak wielu przedstawicielom pokoleń Y i Z wejście w dorosłość przyniosło rozczarowanie?

W pierwszej połowie dnia Hanię, studentkę czwartego roku biotechnologii, można spotkać na zajęciach lub w laboratorium. Popołudniami i w weekendy biały kitel zmienia na cukierniczy fartuch, a fiolki i probówki na wałek do ciasta, bo od ponad dwóch lat pracuje w gastronomii. Do wynajmowanego pokoju wraca późnym wieczorem. I tak w kółko. – Na razie trzymam się studenckiego życia, ale wiem, że konfrontacja z tym „prawdziwym" zbliża się wielkimi krokami, i bardzo mnie to stresuje – mówi dziewczyna. Z natury jest raczej optymistką, ale swoją przyszłość widzi szarą, zamgloną. – Ludzie miesiącami szukają pracy, czynsze za wynajem są absurdalne, perspektyw na własne mieszkanie brak, nawet na kredyt. Życie stało się drogie i pełne niepewności. To nie jest świat, jaki nam obiecywano – dodaje.

Według raportu „Stan młodych 2025", opublikowanego przez Fundację Ważne Sprawy, aż 70 proc. respondentów w wieku 18-29 lat wchodząc w dorosłość odczuwa stres, a 25 proc. – wręcz lęk. Tylko 37 proc. późnych millenialsów i osób z pokolenia Z uważa, że przyszłość jest pełna nadziei; ledwie 18 proc. spogląda przed siebie z entuzjazmem.



VIEW APART / SHUTTERSTOCK

A czego się spodziewaliście?

Zdaniem dr Moniki Kwiecińskiej-Zdrenki, socjolożki z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, rozczarowanie po zderzeniu z dorosłością u ludzi urodzonych pod koniec lat 90. i na początku nowego tysiąclecia jest efektem obietnic, które im składano, a które okazały się zdecydowanie na wyrost. – Słyszeli od rodziców, dziadków i nauczycieli, że świat na nich czeka, że sami są zmianą, że będzie im łatwiej i lepiej. Tymczasem trafili do skostniałego i nieprzyjaznego świata, który wcale nie jest aż tak gotowy na zmiany – wyjaśnia socjolożka, dodając, że młodzi ludzie stykają się z żądaniami poświęcenia prywatności na rzecz pracy, a tym samym zmuszani są do budowania życia w niestandardowy sposób.

– Moja przyjaciółka porównała kiedyś wchodzenie w dorosłość do rodzicielstwa. Najpierw wszyscy dookoła mówią ci, że posiadanie dziecka jest cudowne, a kiedy w życiu pojawia się mały człowiek i bywa trudno, nagle słyszysz: „a czego się spodziewałaś?" – mówi rozgoryczona 31-letnia Basia, która od kilku lat pracuje w Poznaniu w branży kreatywnej. – Gdy byliśmy mali, obiecywano nam wspaniały świat, który mieliśmy zawojować, a teraz słyszymy, że mamy wygórowane oczekiwania – dodaje kobieta.

Sytuacja ta w dużej mierze wzięła się stąd, że dorośli do spółki z popkulturą przez lata budowali w młodych ludziach przekonanie, że są świetni, że mają szerokie kompetencje, że mogą wszystko – mimo iż często nie było to prawdą. – Dziś ta narracja drastycznie się zmienia, a od starszych pokoleń, również od własnych rodziców, młodzi otrzymują sprzeczne sygnały – mówi dr Kwiecińska-Zdrenka. Z jednej strony słyszą, że mają nie bać się zmian, próbować, żyć inaczej, z drugiej zaś, gdy faktycznie to robią, są oceniani, krytykowani i pozbawiani wsparcia. Jednak prof. Konrad Piotrowski, psycholog rozwoju i wykładowca na Uniwersytecie SWPS, uważa, że młodzi dorośli doświadczają obecnie dokładnie tego samego, co wcześniejsze pokolenia – z tą różnicą, że oni mają niemal nieograniczoną liczbę życiowych ścieżek do wyboru. U części z nich potęguje to poczucie zagubienia i rozczarowania. – Jak świat światem, każdy młody człowiek tworzył wizję siebie w przyszłości. Tyle że dawniej nie było to zbyt spektakularne, bo perspektywy były ograniczone – mówi ekspert.

Jako że obraz własnej przyszłości buduje się nie tylko na wyznaczanych celach, ale też na wyobrażeniach i marzeniach, to w efekcie obraz ten nie zawsze jest racjonalny i często składają się na niego opcje, które w prawdziwym życiu nie mogą współistnieć. – A kiedy wizja zderza się z rzeczywistością, pojawia się rozczarowanie. Czasem bardzo bolesne, ale to naturalne – tłumaczy prof. Piotrowski.

Kryzys jako wartość

Studiująca biotechnologię Hania marzy o pracy naukowej. – To może być trudne, bo ofert jest mało, więc liczę się również z tym, że jedyną opcją będzie komercyjna firma – mówi. Przyznaje też, że ma znajomych, którzy zmienili zawodową ścieżkę, by dopasować się do oczekiwań rynku pracy. – Boję się, że ja też będę musiała schować ambicje do kieszeni. Na dodatek AI mocno się rozwija i nie wiadomo, czy będzie zapotrzebowanie na moje kompetencje. To przykre, że w dzisiejszym świecie młode osoby nie mogą robić tego, w czym są utalentowane i dobre, ale idą tam, gdzie są pieniądze – podsumowuje. Jak zauważa prof. Piotrowski, swoistym przełomem dorosłości jest tzw. kryzys ćwierćwiecza, czyli graniczny moment zakończenia edukacji, wyjścia ze studenckiej bańki i zderzenia z prawdziwym życiem. – Mimo tego, że dla wielu osób bywa to bolesnym doświadczeniem, ma ogromną wartość. Młody człowiek, który się z tym upora, potrafi potem integrować różne perspektywy. Z jednej strony umie zadbać o siebie, o swoje cele i plany, a z drugiej rozumie, jak działa świat – wyjaśnia.

W kryzysowym punkcie jest dziś Marcel, świeżo upieczony absolwent ASP w Łodzi. – We wrześniu skończyłem studia, dwa miesiące szukam pracy i to jest piekło – opowiada. Marcel zdawał sobie sprawę, że sytuacja na rynku pracy jest kiepska, ale nie spodziewał się aż takiej posuchy. – Najlepiej byłoby, gdybym wciąż miał status studenta, a przy tym doświadczenie i wiedzę 40-letniej osoby, gdybym nie miał szczególnie wygórowanych oczekiwań finansowych i gdybym chciał pracować na umowie śmieciowej lub B2B – ironizuje. Na razie utrzymuje się z resztek oszczędności, które udało mu się zgromadzić na studiach – głównie ze stypendiów, konkursów i „fuch"; rodzice nie są w stanie pomagać mu finansowo. Wystarcza mu to na opłacenie pokoju i skromne życie. – W szkole karmiono nas przekonaniem, że wykształcenie to podstawa, przepustka do lepszego życia. Dziś widzę, że studia nie dają bezpieczeństwa, bo na rynku pracy tułają się tysiące magistrów, inżynierów, architektów niemogących znaleźć sensownego zatrudnienia. Moi znajomi też się z tym mierzą, więc wspieramy się i staramy nie panikować – podsumowuje.

Marcel pracy szuka stosunkowo krótko, ale już kilka razy usłyszał, że powinien schować dumę do kieszeni, czyli „być odpowiedzialnym dorosłym i robić to, co trzeba".

Ta dzisiejsza młodzież

Dr Kwiecińska-Zdrenka zwraca uwagę, że młodzi dorośli patrzą na pracę z zupełnie innej perspektywy niż ich rodzice, którzy bardzo często podchodzili do niej wręcz nabożnie. Oni zaś traktują ją jak narzędzie do realizacji celów, a nie nadrzędną wartość. Nie chcą długo tkwić w miejscach, w których nie czują się dobrze, zwłaszcza że często mają poczucie ekonomicznego wykorzystania ↦

↦ i niewłaściwego traktowania. Jednak mimo tego, że w ostatnim czasie na rynku pracy faktycznie panuje kryzys, przedstawiciele pokoleń Y i Z mają wciąż dużo możliwości rozwoju i przestrzeni na eksperymenty.

– To pokolenia wychowane przez rodziców, którzy często pracowali ponad siły, a kwestiom zawodowym podporządkowywali niemal wszystko. Gdy młodzi na nich patrzą, widzą, że ten trwający kilkadziesiąt lat wysiłek skutkuje frustracją, zmęczeniem i problemami zdrowotnymi. Oni chcą żyć lepiej, chcą być traktowani z szacunkiem, mieć czas dla siebie, tym bardziej że mają zupełnie inne możliwości podróżowania oraz dostęp do wielu dóbr konsumpcyjnych. To absolutnie nie jest przejaw egoizmu czy niedojrzałości, to zmiana pokoleniowa – tłumaczy badaczka.

25-letni Marcel mówi, że nic nie irytuje go tak jak stereotypy dotyczące tego, jak bardzo „złe" jest jego pokolenie. – Ciągle słyszę, że młodzi są roszczeniowi i leniwi. Guzik prawda, ale ludzie i tak w to wierzą, choć nie są w naszej skórze! – mówi ze złością. Hania z kolei uważa, że tego typu opinie sprawiają, iż starsi ludzie patrzą na nich z niechęcią. – Są do nas uprzedzeni i bardzo źle nas oceniają, jeśli robimy coś inaczej niż oni, jeśli chcemy żyć po swojemu – twierdzi dziewczyna. – Chcemy godziwych warunków w pracy – to jesteśmy roszczeniowi. Godzimy się na niskie stawki i śmieciowe umowy – psujemy rynek. I tak ze wszystkim. Już przestałam się przejmować – mówi Basia.

A może tak było zawsze? Prof. Konrad Piotrowski jest zdania, że obserwowany powszechnie brak międzypokoleniowego porozumienia jest pokłosiem tego, iż rzeczywistość nigdy wcześniej nie zmieniała się tak szybko i tak dynamicznie. – Młodzi żyją dziś w zupełnie innym świecie niż ich rodzice; on nigdy nie był tak rozpędzony i nieprzewidywalny – mówi psycholog. Niestety, przedstawiciele starszych pokoleń widzą głównie to, że w ciągu ostatnich 30 lat powstało wiele nowych technologii, które ułatwiają młodzieży życie, przez co codzienność jest dziś rzekomo prosta i przyjemna. Tyle że dostęp do zmywarki czy smartfona to nie jest podanie „życia na tacy". – Starszym pokoleniom z pewnością nie było łatwo, ale dziś patrzą one na świat wybiórczo. Zauważają udogodnienia, ale ignorują fakt, że wiele spraw jest dużo trudniejszych i bardziej skomplikowanych niż za ich czasów. Nie chcą też poznać i zrozumieć świata młodych – uważa psycholog.

Najpierw wszyscy dookoła mówią ci, że posiadanie dziecka jest cudowne, a kiedy w życiu pojawia się mały człowiek i bywa trudno, **nagle słyszysz: „a czego się spodziewałaś?"**

Adres w bloku i mały fiat?

Na postrzeganie „igreków" (inaczej: millenialsów) i „zetek" mocno wpływa również sposób wychowania, który bardzo się zmienił. 50 czy 40 lat temu dzieci były często zdane przez większość dnia na siebie, więc siłą rzeczy musiały sobie radzić. – Nikt nie zajmował się ich emocjami, mało kto się z nimi liczył. Ostatnie 30 lat przyniosło ogromną zmianę w tej kwestii: wielu rodziców pielęgnuje wrażliwość dzieci, rozmawia z nimi, wspiera, jak potrafi. Młodzi nie są więc „hartowani", a to według niektórych świadczyć ma o ich rozpieszczeniu i życiowej niezaradności – tłumaczy prof. Piotrowski. Tymczasem badania naukowe ukazują, że dzieci wychowywane w emocjonalnej bliskości zdecydowanie lepiej radzą sobie w obecnym świecie, w którym dawne wzorce się zdezaktualizowały.

– Kiedy rodzice byli w moim wieku, mieli dwójkę dzieci, stałą pracę i pierwsze mieszkanie. Żyli bez wielkich luksusów, ale na wszystko im starczało – mówi 31-letnia Basia. Sama dziś coraz częściej zastanawia się, czy w przyszłości uda jej się osiągnąć choć namiastkę tego, co oni. Trochę zapomina, że jej rodzice żyli w systemie totalitarnym, a „starczało im" także dlatego, że po prostu niewiele w sklepach było. – Jako dziecko patrzyłam na nich i myślałam sobie, że w tym wieku będę poważną panią za biurkiem, że będę miała wszystko poukładane. Pocieszające jest to, że nie jestem w tym sama – śmieje się Basia. Działa w branży kreatywnej, pracuje na umowach cywilnoprawnych, mieszka z partnerem w niewielkim wynajętym mieszkaniu, które pochłania więcej niż trzecią część ich dochodów. – Z jednej strony jestem sfrustrowana i czasem myślę, że stałam się życiowym „przegrywem", z drugiej wiem, że obecne okoliczności są mało sprzyjające. Stosunkowo niedawno skończyłam studia, więc daję sobie czas. Może będzie lepiej – mówi.

Wątek postrzegania czasu jest w kontekście rozważań o współczesnych młodych dorosłych kluczowy. Popularne powiedzonko: „trzydziestka to dziś nowa dwudziestka" może wyglądać na efektowny, lecz pusty frazes, jednak prof. Piotrowski uważa, iż z perspektywy psychologii rozwoju jest w nim sporo prawdy. Ważna jest tu zwłaszcza struktura społeczeństwa, która w Polsce na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci mocno ewoluowała. W przeszłości mało kto decydował się na studia (u kresu PRL tylko 6,5 proc. miało wykształcenie wyższe), więc większość osób kończyła edukację w wieku 18 lub 19 lat i płynnie wchodziła w pracę zawodową, która często trwała w niemal niezmienionej formie do emerytury.

Damy radę

Dziś tzw. markery dorosłości, czyli koniec edukacji, znalezienie stałej pracy, wyprowadzka z domu rodzinnego, wejście w związek małżeński i powiększenie rodziny, znacząco przesunęły się w czasie – chociażby z tego względu, że studia kończy się dziś w wieku 25 lub 26 lat, a w dodatku połowa młodych studiuje. Siłą rzeczy kolejne „kamienie milowe" realizowane są więc później lub wręcz pomijane. Dorosłość nie jest już jedną określoną ścieżką, ale zbiorem możliwych scenariuszy. – Rodzice i dziadkowie w wieku dwudziestu kilku lat byli już obiema nogami w dorosłym życiu. To, że dziś jej etapy realizowane są później lub w innej kolejności, nie oznacza braku dojrzałości młodego pokolenia. Matryca dorosłości z lat 70. czy 80. nie przystaje do współczesnego świata – wyjaśnia prof. Piotrowski.

Marcel na sam koniec rozmowy przyznaje, że nie chce, by miała ona zbyt pesymistyczny wydźwięk. – Bo wyjdzie na to, że tylko marudzimy i się użalamy – mówi. – Jest kiepsko, ale mimo wszystko znam swoją wartość i wiem, że sporo umiem. Może znajdę swoje miejsce za rok, może dopiero za pięć, ale naprawdę wierzę, że dam radę.

OLGA

Drenda:
Dzieje pewnego labubu



Mam taką cechę, z którą prawdopodobnie nic już nie zrobię, więc po prostu ją zaakceptowałam: przywiązanie czy wręcz empatię wobec przedmiotów nieożywionych, również takich, z którymi nie mam żadnych osobistych wspomnień. A może szczególnie właśnie takich. Zawsze mi szkoda, gdy ktoś uznaje coś za zbędne, i odczuwam odruch obronny (choć nie zmieniłam się, o dziwo, w nałogowego zbieracza – nie muszę mieć wszystkiego, chętniej robię zdjęcia, a jeszcze chętniej rzeczy wręczam w darze). Być może ktoś nazwałby to tanim melodramatyzmem i niechże ma tę satysfakcję z chwili zbeształania za dziecinadę, z której nie zamierzam rezygnować. Ale wspomniany odruch wydaje mi się może nawet ważniejszy, bo zawsze ciekawe jest, co w człowieku krzyczy „nie": a to moja mała krucjata przeciwko wszechwładzy użyteczności.

Muszę też wyznać, że nigdy nie kupiłam popfilozofii minimalizmu i nieprzywiązywania się do rzeczy (porządek w ogóle budzi moją głęboką nieufność). W pewnym sensie wdrożyłam w życie zasadę celebrytki porządkowania, Marie Kondo, by pozbywać się tego, co nie przynosi nam radości. Po prostu zastosowałam ją do tego typu rad i wyrzuciłam je bez żalu daleko poza obręb mojej uwagi.

Zaprzysięgłe kierowanie się praktycznymi względami i umiłowanie porządku leży dla mnie niebezpiecznie blisko zimnej bezwzględności i jeśli ktoś nie uważa, grozi zlodowaceniem serca. Dzieci ludzi owładniętych potrzebą porządku, takich, którzy wyrzucali im bez pytania ukochane patyczki czy papierki, czasami kompensują to sobie gromadzeniem błahych drobiazgów w wieku dorosłym, hodują w swojej duszy chomika – i jestem ostatnią osobą, która by ich za to ganiła. Coś okrutnego jest w samej kategorii „niepotrzebnego", „zbędnego", a przede wszystkim zbyt łatwa jest pokusa wyeksportowania takiej perspektywy na drugiego człowieka.



OLGA DRENDA

Przodkowie Labubu

Gdy jakiś czas temu doznałam poważnego wypadku, z pomocą przybyła do mnie siostra. Przy pewnej okazji wręczyła mi już powoli zapominany przebój lata, czyli pluszaka o złowrogim wyrazie twarzy – labubu. Był to trochę żarcik, bo czasem, w chwili skupienia, zdarza mi się robić nieco podobną do niego minę. Ale też pojawił się w specyficznym momencie, to znaczy w szczycie natężenia wrogości wobec tego stworka. To chyba przekornie skłoniło nas, by zaprosić go do domu. Pojawiały się legendy stylizowane na folklor amerykańskich telekaznodziejów, jakoby labubu miały być nawiedzone przez złego ducha. Inni uważali, że jest to wyrób perfidny i podły, bo manipulujący odruchem kolekcjonerstwa, a przede wszystkim oddziałujący na niegodną człowieka nowoczesnego potrzebę konsumpcji dóbr (choć osobiście uważam, że mało który Polak urodzony w latach 80. nie będzie takiej potrzeby miał i co więcej: niechże wreszcie ma to Lego czy co innego). To sprawiło, że wcześniej obojętny mi stworek wzbudził pozytywne uczucia jako pluszak o tysiącu wrogów.

Gdy u nas zawitał, zrozumiałam, że chodzi o coś jeszcze. W chwili powstania, a może wypromowania, miał już zaprogramowany los. Choć wesoły, błahy i konsumpcyjny, stał się dla mnie symbolem czegoś innego: trwania przedmiotu krótkiego jak los muszki owocówki, pożądanego przez coraz krótszą chwilę. Do mnie trafił już w chwili powolnego sturliwania się ze szczytu. Cały poczet poprzedników przesuwa się nam przed oczami: świeżaki, słodziaki, pokemony. A przecież ktoś to wymyślił, zaprojektował, wyprodukował, ktoś narysował ręcznie szyld w swoim sklepie: w każdym takim nieważnym przedmiocie kumuluje się nie tylko jego krótki moment sławy, nie tylko mgnienie codziennej historii i dzieje „wirusów umysłu", ale też ludzki wysiłek.

To jest być może najbardziej poruszające w takich niby zbędnych rzeczach, że od początku jest w nich zaszyta melancholia straty i to, że tyle mignięć, było nie było, ludzkiej kultury (przedmioty, które odkopują dzisiaj archeolodzy, to być może także sumeryjskie labubu; nigdy nie wiemy, co się po wiekach zachowa) przemija niczym opakowanie po lodach Ekipy w kałuży. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

Blików nie zabraknie

Dariusz Mazurkiewicz, prezes Polskiego Standardu Płatności, operatora systemu BLIK: To wcale nie takie powszechne, że kraj wielkości Polski ma własny standard płatności bezgotówkowych. Wiele krajów próbowało go zbudować, ale chcieć to jedno, a móc to drugie.

Mamy w Polsce niemało produktów i usług, które za wszelką cenę próbują ukryć polskie pochodzenie. Z BLIK-iem jest na odwrót: to chyba jedyny rdzennie polski koncept, który musi wręcz udowadniać klientom, że nie przyszedł do nas z zagranicy.

DARIUSZ MAZURKIEWICZ: Muszę przyznać, że się już do tego przyzwyczailiśmy, choć nie będę też ukrywać, że taki odbiór był początkowo dla nas sporym zaskoczeniem. Okazało się, że trafiliśmy z BLIK-iem w pewne spektrum branżowych wyobrażeń, a raczej przedzałożeń, zgodnie z którymi tak innowacyjny produkt nie może pochodzić z Polski. A już na pewno nie osiągnąłby takiego sukcesu, gdyby powstał tutaj. W tym roku obchodzimy 10. rocznicę działalności, dlatego jednym z celów, które sobie z tej okazji postawiliśmy, jest silniejsze powiązanie BLIK-a z Polską. A raczej – jeszcze silniejsze, bo my się nigdy od takich korzeni nie odżegnywaliśmy. Chcemy podkreślić, że to usługa opracowana z myślą o potrzebach polskich klientów, że ich rozumiemy i umiemy dla nich pracować. No i że BLIK niemal od zera opracowali i zbudowali Polacy.

Niemal od zera?

Nie będę udawać, że nie mieliśmy pewnych branżowych inspiracji. W Azji w tamtym czasie dużą popularnością cieszyły się kody QR do wypłaty gotówki i zakupów. Ogólna idea była podobna: realizacja transakcji bez podawania kontrahentowi wrażliwych danych, takich jak numer karty płatniczej czy konta. Pamiętam też warszawski fintech SkyCash, który pozwalał wypłacić pieniądze z bankomatu za pomocą kodu. Najwięcej zawdzięczaliśmy jednak doświadczeniom twórców aplikacji iKO, stworzonej dla klientów przez jednego z naszych udziałowców, bank PKO BP. Od nich pożyczyliśmy architekturę opartą na sześciocyfrowym kodzie, który jest ważny dwie minuty. Cieszę się, że nam to wyszło, bo to wcale nie takie powszechne, że kraj wielkości Polski ma swój standard płatności bezgotówkowych. Wiele krajów próbowało go zbudować, ale udało się to niewielu. Jeszcze mniej zdołało wyjść ze swoim produktem poza ojczyznę. Tymczasem my zrobiliśmy to najlepiej w całej Europie i uważam, że także dlatego podkreślanie polskości BLIK-a jest teraz jednym z naszych kluczowych zadań.

Chce Pan powiedzieć, że plan już na starcie nie zakładał ekspansji zagranicznej?

Mam szczęście być w BLIK-u od początku komercyjnej działalności tej usługi, czyli od lutego 2015 roku. Pamiętam wszystkie potknięcia, ale też wszystkie przełomowe momenty jej rozwoju. Wiem, że wielu spośród tych, którzy śledzili poczynania BLIK-a, nie spodziewało się tej skali sukcesu. Niektórym jeszcze kilka lat temu wydawało się, że usługa dobija do sufitu: że niezwykle trudno będzie poprawić ówczesne rekordy liczby użytkowników, transakcji i ich wartości. Padały pytania, czy jesteśmy jeszcze w stanie rozszerzyć portfolio funkcjonalności o coś, co nie stanie się biznesową sztuką dla sztuki, będzie odzwierciedlać realne potrzeby użytkowników. Nie mogę wykluczyć, że w gronie naszych udziałowców ktoś od początku myślał o ekspansji zagranicznej BLIK-a, ale rzeczywistość wymagała od nas stopniowych działań. Korzystaliśmy z regularnego dofinansowania, jak każde startujące przedsięwzięcie, które jeszcze nie osiągnęło skali zapewniającej finansową samodzielność. Zaczynaliśmy jednak z bardzo klarowną motywacją: zrobić coś własnego, zaistnieć na rynku usług finansowych z oryginalnym rozwiązaniem. I konsekwentne podążanie za tą motywacją sprawiło, że dziesięć lat później znaleźliśmy się w miejscu, w którym obsługujemy miliardy transakcji, nasze udziały w rynku sięgają 70 procent i skutecznie odbieramy pole renomowanym globalnym graczom. Graczom, którzy realizują w Polsce marże narzucone przez akcjonariuszy, bez uwzględnienia kontekstu regionalnego, choćby siły nabywczej. O transparentności takich podmiotów nawet nie wspomnę. Nie chciałbym, żeby zabrzmiało to nieskromnie, ale naprawdę uważam, że to sukces BLIK-a w pewniej mierze sprawił, że Polacy nie płacą dziś więcej za transakcje bezgotówkowe. Jestem przekonany, że gdyby nas nie było, marże naszych rywali byłyby w Polsce jeszcze wyższe.

Pamięta Pan pierwszą transakcję BLIK-iem?

To było 9 lutego 2015 roku. Nie jestem do końca pewny kwoty, ale bodaj 100 zł. Ktoś wypłacił je BLIK-iem z bankomatu w Nowym Sączu. Teraz to się może wydać dziwne, ale początki naszej usługi, obecnie kojarzonej przede wszystkim z transakcjami bezgotówkowymi, były mocno związane z obiegiem pieniężnym. Dla większości użytkowników najwygodniejszą, najmniej krępującą formą przetestowania tej nowości była właśnie wypłata z bankomatu. Proszę sobie wyobrazić, mamy rok 2015, ktoś wchodzi do sklepu i mówi: zapłacę BLIK-iem. Łatwo się domyśleć, jakie miny mieliby ludzie w kolejce.

MATERIAŁ PARTNERA

MAREK K. ZALEJSKI



Reakcja sprzedawcy też najpewniej nie byłaby entuzjastyczna, nawet gdyby wiedział, z czym się tego BLIK-a je. Płacenie kodem w 2015 roku naprawdę wymagało pewnej odwagi, a podczas zakupów większość z nas nie chce się przecież bawić w innowatorów. Pragniemy się z nimi szybko uwinąć.

Czy kody BLIK powinny być w takim razie krótsze?

Nie zetknąłem się jeszcze z kimś, komu sprawiło trudność wpisanie sześciu cyfr – zwłaszcza że można je po prostu skopiować z aplikacji bankowej. Dodatkowym ułatwieniem realizacji transakcji w internecie jest możliwość płatności bez kodu – w zaufanych, zapisanych w aplikacji bankowej sklepach. Ta szóstka wyszła nam po prostu w trakcie prac nad usługą. Chodziło o to, żeby w tym samym czasie móc obsłużyć możliwie najwięcej transakcji. Pojedynczy, 6-cyfrowy kod BLIK jest ważny przez 2 minuty. Nie ma możliwości, aby w tym samym czasie dwie różne osoby otrzymały identyczny kod – to podstawa działania naszego systemu. Dodatkowo, aby płatności BLIK były jeszcze bezpieczniejsze dla użytkowników, oraz by ograniczyć liczbę pomyłek, system ogranicza aktywowanie kodów podobnych do siebie, jak długo pozwala na to liczba dostępnych i nieaktywnych w danej chwili kombinacji.

Nie mogę nie zapytać, jak Wam daleko do progu pełnego obłożenia systemu.

Zapewniam, BLIK-ów nie zabraknie. Jesteśmy daleko do jednorazowej maksymalnej pojemności. W szczycie, na przykład w okresie przedświątecznych zakupów, obsługujemy po kilkaset operacji na sekundę. Są też momenty, jak choćby w noc wigilijną, kiedy handel właściwie zamiera i procesujemy pojedyncze transakcje. W 2027 roku chcemy obsłużyć łącznie pięć miliardów transakcji. Cały polski rynek e-commerce to obecnie około 12 miliardów transakcji. Nie mogę bezpośrednio odpowiedzieć na tak sformułowane pytanie, dlatego odpowiem pośrednio: musielibyśmy mieć sto procent udziałów w Polsce i znaczący udział w całym europejskim sektorze e-commerce, żeby martwić się, że nie wystarczy nam sześciocyfrowych kombinacji na kody. A gdyby do tego faktycznie doszło, mamy do dyspozycji jeszcze skrócenie czasu ich ważności.
Wielu użytkowników na zrealizowanie transakcji BLIK-iem potrzebuje najwyżej piętnastu sekund. Olbrzymia większość z dużym zapasem mieści się w jednej minucie. Myślę, że nikt by nie zaprotestował, gdybyśmy ważność kodu skrócili do 90 czy nawet 60 sekund. Na razie jednak nawet o tym nie myślimy. Dostrzegamy za to rosnące zainteresowanie wspomnianymi już transakcjami bez kodu – czyli tzw. *one click* – realizowanymi w zapamiętanej przeglądarce albo zaufanym sklepie, które potwierdza się bezpośrednio w aplikacji bankowej.

A czy nie myślicie o tym, żeby przekuć ten sukces w kolejny i wejść na rynek finansowy już nie tylko jako operator transakcji? Czyli stać się bankiem?

Tak.

Nie. I od raz chcę podkreślić, że nie chodzi o to, że wśród założycieli i udziałowców mamy sześć banków. Zbieranie depozytów, udzielanie kredytów to zdecydowanie nie nasza nisza operacyjna.

Ale wprowadzacie usługi, które można nazwać finansowymi. Na przykład odroczoną płatność BLIK-iem.

Owszem, robimy to jednak ze sprawdzonymi, doświadczonymi partnerami, czyli z bankami, które zapewniają zaplecze finansowe i biorą na siebie dalszą obsługę zobowiązań. My jesteśmy w tym tandemie jedynie operatorem transakcji i tego chcemy się trzymać. Wydaje mi się, że lepszym pomysłem na siebie jest dalsze rozwijanie tego, w czym jest się najlepszym i w czym ma się przewagę, choćby w postaci technologii. Niepotrzebna jest dywersyfikacja działalności dla samej dywersyfikacji.
BLIK skończył 10 lat, dojrzał jako rozwiązanie do tego, żeby zaoferować go bankom poza Polską.
To odważna, ale jednocześnie bezpieczna ścieżka rozwoju dla naszej firmy – a mówiąc o bezpieczeństwie, mam na myśli nie tylko interes udziałowców. Dysponujemy, jak już wspomniałem, unikatowym rozwiązaniem, czyli niezależnym systemem obrotu bezgotówkowego. Polska, która dziesięć lat temu zamykała stawkę krajów UE o największym udziale takich transakcji w gospodarce, dziś należy w tym gronie do liderów. Nie chodzi o to, żeby się ścigać na siłę o palmę pierwszeństwa. Lepsi od nas, czyli Skandynawia, muszą dziś wręcz podejmować wysiłek, żeby utrzymać obieg gotówkowy.
Mówię o tym po to, żeby podkreślić, że zdajemy sobie sprawę z ciążącej na nas odpowiedzialności za stabilność i suwerenność polskiej gospodarki. Będziemy odpowiedzialni i ostrożni, bo tego się od nas wymaga. ©

ŚWIAT

DRONY NAD BEJRUTEM

Libańczycy są przekonani, że ich kraj czeka nowa wojna z Izraelem, gorsza od tej sprzed roku. Strefa Gazy to dla nich straszne memento. Nasz autor rozmawiał z mieszkańcami libańskiej stolicy.

ZBIGNIEW ROKITA Z BEJRUTU



Z Omarem (zmienione imię) jedziemy przez Bejrut. Młody fotograf jest Palestyńczykiem, potomkiem uchodźców z terenów dzisiejszego Izraela urodzonym już w Libanie.

Omar pokazuje mi coś na telefonie: – Izraelczycy właśnie opublikowali mapę. Spójrz.

To mapa południowego Libanu. Zaznaczone są dwa punkty, wokół nich duży czerwony okrąg. – Zawsze ostrzegają, że za pięć minut będą bombardować takie a takie miejsca – tłumaczy Omar.

Pięć minut? – Czasem dają dziesięć, nigdy więcej. Na południu Libanu ludzie są przyklejeni do telefonów, a gdy okaże się, że leci na nich bomba, rzucają wszystko i uciekają. Gdy jest już po wszystkim, sprawdzają, czy coś zostało z ich życia.

Oczami Palestyńczyka

Życie na południu Libanu do tej pory nie wróciło do normalności. Rok temu, w październiku i listopadzie 2024 r., gdy Izrael prowadził kampanię nalotów, obejmującą właściwie cały Liban, a także ofensywę lądową na libańskim południu, w ciągu pierwszych dwóch tygodni swoje domy opuściło 1,2 mln ludzi – prawie co czwarty mieszkaniec Libanu.

Omar jest przekonany, że kilkaset tysięcy z nich nadal nie wróciło do domów.

W ubiegłorocznej dwumiesięcznej wojnie Izraela z Hezbollahem po stronie libańskiej zginęły cztery tysiące ludzi, w tym około tysiąca kobiet i dzieci. Pod koniec listopada 2024 r. zawarto zawieszenie broni. Ale na południu Libanu wciąż dochodzi do ostrzałów. Atakuje niemal wyłącznie Izrael, w sumie ataków różnego typu było już wiele tysięcy.

– Ale czy twoim zdaniem to naprawdę czarno-biała sytuacja, uważasz Hezbollah za bohaterów? – pytam Omara.

– Nam, libańskim Palestyńczykom, Hezbollah nigdy nie wyrządził żadnej krzywdy. Wręcz odwrotnie: wielu przyłączyło się do Hezbollahu, żeby walczyć z Izraelem.

– Hezbollah nie ma wyboru, broni Libanu?

– Tak, Hamas i Hezbollah to pierwsza linia obrony przed Izraelem.

Po izraelskim ataku na szefa sztabu Hezbollahu mieszkańcy Bejrutu opuszczają Dahiję, dzielnicę, gdzie miał miejsce ten atak. 23 listopada 2025 r.

ADRI SALIDO / GETTY IMAGES

Państwo w państwie

Hezbollah to libańska partia polityczna reprezentująca szyitów. W dwóch ostatnich wyborach parlamentarnych osiągnęła najwyższy wynik w Libanie, jej ministrowie współtworzą rząd, posłowie zasiadają w parlamencie.

Hezbollah to także organizacja, która na zdominowanym przez szyitów południu kraju przejęła od dysfunkcyjnego państwa wiele zadań, jak prowadzenie szkół, szpitali, pomoc rodzinom ofiar. Stworzyła państwo w państwie.

Hezbollah to wreszcie grupa terrorystyczna i kryminalna, która w przeszłości ostrzeliwała północny Izrael; w ostrzałach tych ginęli także cywile.

O to, czym jeszcze jest Hezbollah, pytam Emada Chidiaca, wpływowego libańskiego dziennikarza. – Hezbollah powstał jako libański ruch oporu, ale później stał się przedłużeniem armii Iranu i zagrożeniem dla samego Libanu – ocenia Chidiac. – W październiku 2023 r., dzień po ataku Hamasu na Izrael, Hezbollah ogłosił, że stoi po stronie Hamasu, i włączył się do wojny, z którą Liban nie miał nic wspólnego. Gdyby Hezbollah nie zaatakował 8 października Izraela, tej ubiegłorocznej wojny być może by nie było. Tego się już nie dowiemy.

Tymczasem każdy konflikt, w który wciągani są Libańczycy, to dla nich ciężki cios. Tylko w ostatnich kilku latach spadło na nich kilka. W 2019 r. załamała się gospodarka, Libańczycy stracili oszczędności życia, wartość waluty spadła o 95 proc. W pandemicznym 2020 r. w bejruckim porcie, przez który przechodziło 80 proc. eksportu, miała miejsce ogromna eksplozja.

W tym czasie Liban posiadał już najwyższą liczbę uchodźców *per capita* na świecie. A gdy pogrążony w kryzysie politycznym kraj od dwóch lat nie miał prezydenta, Hezbollah poszedł na wojnę z Izraelem.

Dziecko „czarnej fali"

Hezbollah powstał na początku lat 80. XX w. podczas libańskiej wojny domowej. Jego pojawienie się było częścią szerszego procesu w regionie.

Libańska reporterka Kim Ghattas w książce „Czarna fala" pisze: „Nic nie zmieniło świata arabskiego i muzułmańskiego tak głęboko jak wydarzenia roku 1979". Ghattas ma na myśli trzy kwestie: rewolucję w Iranie (i powstanie tam republiki islamskiej); sowiecką interwencję w Afganistanie (i w efekcie, jak to określa, „pierwszą wojnę nowoczesnego dżihadu"); wreszcie zamach w głównym meczecie w Mekce (skutkujący umocnieniem się salafickiego radykalizmu w Arabii Saudyjskiej).

„Siły uwolnione w 1979 r. zmieniły to, kim jesteśmy, i przejęły kontrolę nad naszą zbiorową pamięcią" – twierdzi Ghattas, która jako jedno z dzieci tamtej „czarnej fali" wymienia Hezbollah, jej zdaniem najbardziej udaną próbę „eksportu" irańskiej rewolucji.

Po wkroczeniu armii izraelskiej do Libanu w 1982 r. i wypędzeniu z tego kraju Organizacji Wyzwolenia Palestyny Jasira Arafata, jej miejsce zajął właśnie Hezbollah. Ghattas twierdzi, że taka zamiana – organizacji świeckiej i nacjonalistycznej, jaką była OWP, na islamistyczną i transnarodową, jaką jest Hezbollah – była znakiem czasu.

Dahija, twierdza Hezbollahu

Jedziemy przez Dahiję, południową dzielnicę Bejrutu, która jest twierdzą Hezbollahu. Bejrut nie był bombardowany od kilku miesięcy, czuję się bezpiecznie. Jeszcze nie wiem, że za 72 godziny spadną tutaj izraelskie bomby: łamiąc rozejm, zabiją szefa sztabu Hezbollahu.

Wszędzie widać ślady ubiegłorocznej wojny. Jej preludium stanowiła przeprowadzona przez izraelski wywiad operacja wysadzenia pagerów używanych przez członków Hezbollahu do bezpiecznej, jak sądzili, komunikacji (kilkadziesiąt osób zginęło, kilka tysięcy odniosło rany). W trakcie tamtej kampanii Izraelczykom udało się zabić Hasana Nasrallaha, charyzmatycznego lidera, który przez ponad 30 lat kierował Hezbollahem. Zginął właśnie w Dahiji.

Mijamy kolejny wielki lej po bombie – w tym miejscu Izraelczycy zabili następcę Nasrallaha.

Izraelczycy atakowali wtedy osłabiony Hezbollah z powietrza i na lądzie. Wcześniej organizacja uchodziła za najsilniejszą niepaństwową armię na świecie. Nasrallah przechwalał się, że może zaatakować Cypr, amerykańskie okręty na Morzu Śródziemnym czy Galileę. Hezbollah był silniejszy niż Hamas czy nawet armia libańska.

Na ulicach Dahiji wszędzie wiszą plakaty z wizerunkami bojowników, którzy zginęli na wojnie z Izraelem: ↦

↦ brodacze w mundurach. Najwięcej jest jednak podobizn Nasrallaha i irańskich ajatollahów.

„Jestem wdzięczna Hezbollahowi"

Moi rozmówcy podkreślają, że podpisane w listopadzie 2024 r. zawieszenie broni zakończyło wojnę w Bejrucie, ale nie w całym Libanie, że wciąż trwa ona na południu.

Stamtąd pochodzi Fatima. Wykształcona kobieta w średnim wieku, pracuje w bejruckiej organizacji pozarządowej. Razem jedziemy przez Dahiję.

– Izraelczycy nie oszczędzają ludności cywilnej, wiele niewinnych i nieuzbrojonych osób cierpi, bo są atakowani pod pretekstem walki z Hezbollahem. Podobnie jak wiele rodzin z południa musieliśmy uciekać, nasz dom został uszkodzony – mówi Fatima (imię również zmienione).

– Dla ciebie to takie proste: zły Izrael i dobry Hezbollah? – pytam.

– Może w innych regionach znajdziesz ludzi, którzy krytykują Hezbollah, ale ja jestem mu wdzięczna. Hezbollah wobec słabości armii libańskiej chroni nasze południowe granice, pomaga zapobiec dalszym izraelskim atakom.

– To nieprawda, że terroryzują własnych ludzi?

– Nieprawda.

– I że chcą, żeby wszyscy żyli zgodnie z szariatem?

– Rozejrzyj się, jesteśmy w ich dzielnicy. Można tu pić alkohol, można chodzić bez chusty, można robić, co tylko się chce, i nikt ci nic nie powie.

Fatima pokazuje mi zdjęcia ojcowizny, którą musiała porzucić. Dla niej to jak wygnanie z raju.

To, co przeżywam podróżując po Libanie, można nazwać dysonansem. Z jednej strony Hezbollah sięga po metody terrorystyczne. Z drugiej libańscy rozmówcy zwracają uwagę, jak względnymi pojęciami operujemy. Pytają: „Kiedy ktoś przestaje być terrorystą, a staje się bojownikiem o wolność?". W historii to był przypadek Nelsona Mandeli, Jasera Arafata, Armii Wyzwolenia Kosowa i wielu innych.

Zagadka potencjału Hezbollahu

Jak silny jest dziś Hezbollah? – Mówi się, że stracił 80 proc. potencjału – ocenia Emad Chidiac. – Ale nie chodzi o uzbrojenie, lecz o ludzi. Operacja z pagerami była wielkim ciosem, jedni zginęli, inni stracili oczy i ręce.

Chidiac dodaje, że stratą dla Hezbollahu był też upadek proirańskiego reżimu Baszara al-Asada w Syrii w grudniu 2024 r. W ten sposób organizacja straciła lądowe połączenie z Iranem, którędy transportowano broń i gotówkę.

Chidiac uważa jednak, że Hezbollah sam może produkować broń i że dlatego ważniejsze od jego rozbrojenia jest przekonanie Hezbollahu, iż droga, którą dotąd szli, nie ma już sensu. Przekonanie ich, aby, jak określa to Chidiac, „byli Libańczykami, a nie Irańczykami".

– To ważne, bo wojna Izraela z Iranem nie jest zakończona – argumentuje. – Zbliżająca się wojna izraelsko-libańska to może być wstęp do większej rozgrywki z Iranem. Izraelczycy chcą się upewnić, że gdy zaatakują Iran, Hezbollah nie otworzy drugiego frontu na północy.

Podobnie uważa Wissam el-Lahham, politolog z bejruckiego Uniwersytetu Świętego Józefa. Na pytanie, co się stanie, jeśli Hezbollah nie rozbroi się do końca roku, jak zakłada zawieszenie broni, odpowiada: – Być może już są rozbrojeni, nie wiemy, czy mają nadal ciężkie uzbrojenie. W interesie Hezbollahu jest powtarzanie, że jest potężny, a w interesie Izraela jest mówienie, że Hezbollah nie oddał całej broni, bo to pretekst do atakowania Libanu.

Wissam el-Lahham uważa, że Hezbollah nie może dziś zagrozić Izraelowi. – Jednak co stanie się, gdy Hezbollahowi skończą się pieniądze? Co z jego żołnierzami? Staną się maruderami, będą służyć temu, kto zapłaci więcej. Słaby Hezbollah, niepotrafiący kontrolować swej armii, to problem. Mogą się zradykalizować, mogą wywołać nową wojnę domową.

Drony zabijają bezkarnie

Nad nami lata izraelski dron (innych tu nie ma). Wydaje przeciągły warkot, słychać go z daleka. W nocy przeszkadza spać. Na libańskim niebie wciąż grasuje kilka takich dronów. Nikt ich nie zestrzeliwuje, Libańczycy nie chcą drażnić Izraelczyków. Dron ma obserwować, ale też siać niepokój. Jest w tym skuteczny – boimy się.

– Słyszałeś, co izraelski dron zrobił w nocy? – pyta Omar. – Ostrzelał boisko w palestyńskim obozie dla uchodźców, na którym dzieci grały w piłkę.

Weryfikuję tę informację w komunikacie Biura Praw Człowieka ONZ. Tak, zginęło 14 osób, w tym 12 dzieci. Czytam: „To nie odosobniony incydent, a część niepokojącego ciągu śmiertelnych ostrzałów przez Izrael obszarów mieszkalnych oraz zupełnego lekceważenia zawieszenia broni i libańskich wysiłków na rzecz pokoju. Te powtarzające się ataki na cywilną ludność i obiekty stanowią zbrodnie wojenne". W komunikacie mowa jest też o zabiciu już 127 libańskich cywilów i atakach na żołnierzy misji pokojowej ONZ.

Skalę zbrodni izraelskich widać w raporcie brytyjskiego think tanku Action on Armed Violence. W 2024 r. na całym świecie zginęło lub było rannych w wyniku ostrzału co najmniej 61 tys. cywilów (wzrost o 70 proc. rok do roku). Za 55 proc. takich ofiar na świecie odpowiadał Izrael.

Libańczycy mają poczucie, że pod amerykańskim parasolem Izrael czuje się bezkarny. Jednocześnie nie jest tak, że Hezbollah nie odpowiada dziś na ataki Izraela, bo jest szlachetniejszy. Nie, nie odpowiada, bo jest osłabiony i nie może. Gdyby mógł – co pokazuje historia tego konfliktu – zapewne atakowałby równie bezlitośnie.

Czekając na ciąg dalszy

– Wiele świadczy, że wkrótce dojdzie do kolejnej wojny, a Izrael zmieni Dahiję w drugą Strefę Gazy – uważa Emad Chidiac.

– Prezydent Libanu Joseph Aoun, wybrany w styczniu 2025 r., nie chce rozbrojenia Hezbollahu? – dopytuję.

– Aoun mówi, że mogłoby to doprowadzić do nowej wojny domowej. Ale przecież Izrael atakuje nas z powodu Hezbollahu. Powiem to ostrożnie, ale powiem: myślę, że po rozbrojeniu Hezbollahu Izrael nas już nie zaatakuje.

Chidiac podkreśla, że Hezbollah nie jest częścią rozwiązania, lecz problemu: – Hezbollah pyta, dlaczego chcecie, żebyśmy się rozbroili i oddali broń słabej armii libańskiej? Ale ona jest słaba z jego powodu. Izrael mówi: „Skoro sami nie potraficie rozbroić Hezbollahu, my to zrobimy".

Emad Chidiac obawia się, że jeśli dojdzie do nowej wojny, Izrael nie będzie się ograniczać: poprowadzi ją przeciw Libanowi na pełną skalę. © ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest reporterem, stałym współpracownikiem „TP". Laureat literackiej Nagrody Nike, autor książek. Ostatnio wydał „Aglo. Banką po Śląsku".

Kirgiski raj dla kryptowalut

AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA Z BISZKEKU

AZJA CENTRALNA | W Kirgistanie działają liczne „kopalnie” kryptowalut, a roczne obroty nimi sięgają kilkunastu miliardów dolarów. Cena za to jest wysoka: brak prądu i zanieczyszczenie powietrza.

Na wylotówce z kirgiskiej stolicy, w oparach pyłu i kurzu, stoi Gulnur Dawletalijewa, a na twarzy ma ciasno zawiązaną maseczkę. Bez niej trudno byłoby oddychać.

Nie tylko z powodu pyłu. Stołeczny Biszkek od lat jest w czołówce najbardziej zanieczyszczonych miast świata. Według pomiarów IQAir (szwajcarskiej firmy, która prowadzi monitoring powietrza) we wtorek 2 grudnia miasto znalazło się na 5. miejscu w tym niechlubnym rankingu, a jakość powietrza została określona jako „bardzo niezdrowa”.

Gulnur twierdzi, że nic takiego nie zauważyła. W końcu jest bardzo ciepło jak na początek grudnia i ludzie jeszcze nie zaczęli palić w piecach. – Jak przyjdzie zima, to dopiero będzie ciężko oddychać – mówi Gulnur.

Cieszy się, że w tym roku pogoda dopisała, inaczej jej praca byłaby dużo cięższa. Bo Gulnur robi w „brudnym biznesie”: tak określa sprzedaż węgla, którą para się od początku października. To wtedy jej rodzina wynajęła blaszany kontener, w którym składuje równo poukładane worki z czarnym miałem. Twierdzi, że sprzedaje go tylko przedsiębiorstwom produkującym cegłę, wszystko zgodnie z prawem.

KRYZYS I RESTRYKCJE | Od niedawna palenie w piecu miałem węglowym jest w Kirgistanie surowo zabronione. Po latach ignorowania problemu, rząd i władze lokalne Biszkeku zaczęły walkę ze smogiem i z mało prestiżowym tytułem jednego z najbardziej zanieczyszczonych miast świata. Tyle że walka ta, choć słuszna, może okazać się mało skuteczna. Kirgistan jest w głębokim kryzysie energetycznym. Tak głębokim, że doraźne rozwiązania mogą nie wystarczyć.

Choć więc zima jeszcze nie przyszła, władze już zapowiedziały, że obywatele powinni przygotować się na przerwy w dostawie prądu. W listopadzie wprowadzono tymczasowe zaostrzenia. Według nowych zasad, budynki administracji publicznej, w tym szkoły i teatry, aż do marca będą gasić światła już o godzinie 18.

Właścicielom kawiarni, barów i restauracji polecono zamykać lokale o 22. Choć decyzję tę zmieniono szybko ↦

Stolica Kirgistanu należy do najbardziej zanieczyszczonych miast na świecie. Na zdjęciu: smog nad Biszkekiem, luty 2025 r.



VYACHESLAV OSELEDKO / AFP / EAST NEWS

↦ po tym, jak służby zbyt wzięły sobie do serca nowe zasady i brutalnie wkroczyły do paru miejsc, przy protestach klientów i przedsiębiorców.

Na tym jednak restrykcje się nie skończyły. W godzinach między 18 a 22 lokale i domy mieszkalne mogą wykorzystywać maksymalnie 3 kW energii w danym momencie. Oznacza to, że jednoczesne korzystanie z pralki i kuchenki elektrycznej może prowadzić do zwarcia.

RAJ DLA KRYPTO | Kolejna zmiana dotyczy zakazu prac „kopalń" kryptowalut aż do marca, tj. do końca okresu grzewczego.

Już w 2022 r. Kirgistan uregulował pracę „kopalń", którym rząd wydaje licencje. Dziś funkcjonuje ich jedenaście. Prócz tego w kraju działa prawie 200 firm związanych ze sprzedażą i wymianą kryptowalut. Jak informował minister gospodarki Bakyt Sydykow, ich obroty – na specjalnych platformach zarejestrowanych w kraju – przekroczyły w ciągu pierwszych siedmiu miesięcy 2025 r. sumę 11 mld dolarów.

W tym czasie wpływy do budżetu pochodzące od firm związanych z kryptowalutami wyniosły prawie miliard kirgiskich somów (10-11 mln dolarów).

Od 2026 r. Kirgistan planuje własne, państwowe inwestycje w „kopalnie" i tworzenie rezerw kryptowalutowych. W listopadzie tego roku kraj wprowadził też własne kryptowaluty: KGST (stablecoin powiązany w stosunku 1:1 z kirgiskim somem) oraz USDKG (stablecoin powiązany z dolarem amerykańskim, zabezpieczony złotem).

W sierpniu Wielka Brytania nałożyła sankcje na kilka kirgiskich firm z rynku krypto, twierdząc, że są wykorzystywane przez Rosję, najbliższego sojusznika Kirgistanu, do obchodzenia zachodnich sankcji.

KWESTIA CENY | Problem w tym, że generowanie kryptowalut pochłania ogromną ilość energii. Według Cambridge Bitcoin Electricity Consumption Index do „wydobycia" jednego bitcoina potrzeba między 500 tys. a 900 tys. kWh.

Wprawdzie „kopalnie" płacą wyższą stawkę za prąd – i pochodzi on głównie z małych, często prywatnych hydroelektrowni, tj. z innego źródła niż te, z których korzystają kirgiskie rodziny. Ale nie da się zaprzeczyć, że „kopalnie" wywierają ogromną presję na system energetyczny, już będący w kryzysie.



BERMET BORUBAJEWA *jest miejską aktywistką, założycielką ruchu antysmogowego. Organizuje protesty i dyskusje, spotyka się z władzami. Chce, aby Biszkek stał się czystym miastem.*

Do tego dochodzi szybki rozwój infrastruktury, wielkie państwowe inwestycje (drogi, lotniska) i budowa mieszkań. Kirgistan to dziś wielki plac budowy, a władze stawiają na nowy wizerunek kraju pod szyldem „Nowego Kirgistanu". Gospodarka rośnie: między styczniem a wrześniem 2025 r. wartość PKB wzrosła o 10 proc. w stosunku do 2024 r.

NA SWOIM | Gulnur mówi, że mimo zakazu sprzedaży jej niskiej jakości węgla do użytku domowego, jest zadowolona z prezydenta Sadyra Dżaparowa, który doszedł do władzy na fali rewolucji w 2020 r.

– Prezydent robi świetną robotę. Mamy wreszcie działające prawo, nikt nie bierze łapówek, w urzędach już nie proszą o czekoladę. Wszystko się zmienia. Budują nowe drogi, otworzyli połączenie lotnicze z Dżalalabadem i wreszcie w ciągu 45 minut mogę polecieć do rodziców – wylicza. – Młodzi mają teraz szanse na własne mieszkanie dzięki tanim kredytom – dodaje.

– Obaliliśmy trzech prezydentów i wreszcie mamy godną administrację – przekonuje Gulnur, wspominając rewolucje z roku 2005, 2010 i 2020, które zniosły ówczesne rządy.

Dzięki temu, że w kraju dobrze się dzieje, Gulnur woli mieszkać w Kirgistanie, zamiast z mężem i dwójką dorosłych już dzieci w Moskwie. Tam, jak twierdzi, Kirgiz nie ma szans na pracę zgodną z kwalifikacjami. Ona ma wykształcenie wyższe, jest inżynierem i do 2006 r. pracowała w państwowej firmie energetycznej – gdy w Moskwie mogłaby liczyć na posadę sprzątaczki. Potem zajęła się biznesem, jak jej ojciec, który zaszczepił w niej pasję do handlu.

Dziś jej praca jest trudna i brudna. Większość czasu spędza na zewnątrz, wśród pyłu i smogu. Na jednym worku miału zarabia równowartość niecałej złotówki. Ale jest na swoim, u siebie, i ma tu własny dom. No i to w Kirgistanie są najlepsze pomidory.

Odkąd Dżaparow objął władzę, mówi Gulnur, więcej Kirgizów wraca z Rosji. Choć to proces powolny, a transfery pieniężne od emigrantów nadal stanowią kilkanaście procent kirgiskiego PKB.

PROBLEM PRĄDU | Ale rozwój kosztuje i wymaga sporo energii, tej zaś brakuje. Przyczyn jest kilka.

– To systemowy problem całej Azji Centralnej, u jego podłoża leży starzejąca się sowiecka infrastruktura grzewcza, wodna i energetyczna. Przez ostatnie 30 lat nie było wielu prób jej renowacji – uważa Asel Doolotkeldiewa, politolożka z Uniwersytetu Poczdamskiego. – Ponadto przez przestarzałą infrastrukturę, brak przejrzystości i korupcję sporo energii tracimy. Nie wiadomo, dokąd uchodzi.



AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA X2

GULNUR DAWLETALIJEWA *woli mieszkać w Kirgistanie, zamiast z mężem i dwójką dorosłych już dzieci w Moskwie. Sprzedaje miał węglowy, którym mieszkańcy wsi ogrzewają swoje domy.*

Zmiany klimatu pogarszają kryzys. W Kirgistanie 40 proc. prądu pochodzi z hydroelektrowni, głównie tej największej – Toktogul. Górski kraj dzięki lodowcom zawsze miał dostęp do wody, inaczej niż Uzbekistan i Kazachstan, położone niżej. W czasach sowieckich Kirgistan zaopatrywał sąsiadów w wodę, a sąsiedzi oddawali mu swój prąd.

Po upadku Związku Sowieckiego kraje regionu zaczęły grać na siebie. Póki sezonowe topnienie lodowców zaopatrywało elektrownię Toktogul w wodę, problemy z dostawą prądu dotyczyły głównie złego nim zarządzania. W ostatnich latach doszły jednak zmiany klimatu.

– Lodowce zostały zniszczone zwłaszcza przez rozwój kopalń na dużych wysokościach, szczególnie Kumtoru – Doolotkeldiewa nawiązuje do słynnej kopalni złota, kanadyjskiej inwestycji, przeciw której przed laty protestował obecny prezydent.

POWRÓT WĘGLA | To podczas incydentu przy okazji jednego z protestów Dżaparow został oskarżony o porwanie urzędnika i w atmosferze męczeństwa trafił za kraty. Z więzienia wyszedł na fali rewolucji roku 2020. Już w pierwszym roku rządów znacjonalizował Kumtor. Kanadyjscy inwestorzy twierdzą, że wbrew prawu.

Kopalnia działa jednak nadal, a według naukowców do 2050 r. powierzchnia lodowców Kirgistanu zmniejszy się o połowę. Ich topnienie zaburzyło sezonowy spływ wody do rezerwuaru Toktogul i dziś jego poziom jest krytycznie niski. Tymczasem bez wody zagrożone są dostawy prądu.

– Stąd widzimy tak drastyczne ograniczenia w podaży prądu – mówi Doolotkeldiewa.

Politolożka przyznaje, że odkąd Dżaparow doszedł do władzy, pojawiły się inwestycje w odnawialne źródła energii: małe hydroelektrownie, panele słoneczne. Jednak to wszystko odbywa się za późno i w mało przejrzysty sposób.

Tymczasem kryzys hydroenergii skutkuje powrotem tanich i niekoniecznie lepszych rozwiązań. O czym doskonale wie Gulnur, która od dwóch miesięcy codziennie stoi na wylotówce ze swoim węglowym biznesem.

Sama w domu ma ogrzewanie gazowe, ale ludzie na wsi często nie mogą sobie pozwolić na taki luksus. To jej klienci. Kupują tani węgiel z kirgiskich kopalń zamiast drogiego gazu od Gazpromu, monopolisty na rynku, który trzyma wysokie ceny.

Spora część aut jest tu na gaz, ale tylko co bardziej wytrwali mieszkańcy Biszkeku decydują się jechać 16 km do kazachskiej granicy, gdzie gaz i benzyna są dużo tańsze.

STOŁECZNA NIECKA | Bermet Borubajewa jest analityczką i miejską aktywistką, założycielką ruchu antysmogowego w stolicy.

– Smog to nie jest naturalne zjawisko ani kataklizm. To problem w zarządzaniu – uważa Bermet. – Poziom zużycia brudnej energii powinien zostać zmniejszony, ale to się nie dzieje. Także dlatego, że magnaci węglowi związani z kopalnią Kara-Kecze dostarczającą brudny węgiel, który dawno powinien zostać zakazany, mają silne lobby i swoich posłów w parlamencie.

– Biszkek leży w niecce, jest otoczony górami. Powietrze tu stoi, bo nie ma wiatru. Kisimy się w tym smogu – mówi Bermet.

Borubajewa studiowała w Moskwie, gdzie badała temat ekologii miejskiej. Gdy wróciła do Biszkeku na wakacje, uderzyło ją, jak bardzo zwiększyło się zanieczyszczenie powietrza. Zamiast wracać do Moskwy, postanowiła zostać. Zimą 2019 r. zorganizowała pierwszy protest. – To był pierwszy raz, gdy temat smogu został wyniesiony z konferencji i akademickich debat na ulice i do polityki – wspomina.

Wkrótce potem zarejestrowała Biszkek Smog: ruch społeczny, który zajmuje się walką z zanieczyszczeniem powietrza. Organizuje protesty i dyskusje, monitoruje sytuację, spotyka się w władzami. Wszystko po to, by Biszkek stał się czystym miastem.

ZIELONE PODCHODY | Wprawdzie rząd zaczął interesować się tematem smogu, ale Borubajewa wątpi w efektywność tych działań.

– Stworzono „mapę drogową", by zredukować poziom zanieczyszczeń i to dobry krok, bo przez lata władze zdawały się nie zauważać problemu. Dziś przyjęły zieloną retorykę – wylicza. – Na walkę ze smogiem władze dostały 50 mln dolarów od Banku Światowego, wprowadzono program wymiany pieców węglowych na gazowe w państwowych budynkach. Ale to jest korzystne głównie dla Gazpromu i Rosji, a gaz nie jest przecież czystą energią.

– Dobrym rozwiązaniem byłoby ocieplanie budynków mieszkalnych, budowa nowych z uwzględnieniem kąta padania światła czy inwestycje w transport publiczny, bo 30-40 proc. zanieczyszczeń pochodzi od aut. Tymczasem nie wiadomo dlaczego władze zamknęły ruch trolejbusów – ocenia Bermet.

Na wszystkie swoje argumenty Borubajewa ma dowody, jej praca polega na analizie dostępnych danych. ↦

↦ **PIERŚCIEŃ WĘGLOWY** | Odkąd władzę objął prezydent Dżaparow, który rządzi w tandemie z potężnym szefem służb specjalnych Kamczybekiem Taszijewem, na cenzurowanym są dziennikarze, opozycyjni politycy i aktywiści. Wielu trafiło do więzień z drakońskimi wyrokami, rzekomo za podburzanie nastrojów społecznych i zachęcanie do protestów. Choć, jak na ironię, to one wyniosły Dżaparowa z więzienia na szczyt władzy.

W przypadku większości procesów aktywistów i dziennikarzy prokuratura nie przedstawiła dowodów. Nie musiała. Sądy w dużej mierze są sterowane ręcznie.

Borubajewa nie przestaje jednak walczyć. – Wokół Biszkeku mieliśmy kiedyś pierścień zieleni. Jej celem była lepsza wentylacja miasta – mówi. – Dziś wokół mojego kochanego miasta unosi się czarny pierścień węglowy.

PORÓWNANIA | Politolożka Doolotkeldiewa uważa, że problemem jest też cena prądu, utrzymywana od lat na niskim poziomie. Jej zdaniem i zdaniem wielu innych ekspertów – za niskim.

Tymczasem żeby wprowadzić systemowe reformy infrastruktury energetycznej, potrzeba pieniędzy. Choć Dżaparow co rok wprowadza drobne podwyżki cen energii, boi się przeszarżować.

– Kwestia cen prądu to upolityczniony temat w Kirgistanie, od którego w dużej mierze zależy legitymacja kolejnych władz. Dlatego ten kryzys trwa od lat i ciężko jest coś zmienić – ocenia Doolotkeldiewa. – W 2010 r. to między innymi kryzys energetyczny i podniesienie cen prądu doprowadziły do rewolucji i obalenia reżimu Kurmanbeka Bakijewa. Minęło 15 lat, a problem jest ten sam.

Dziś wielu porównuje reżim Dżaparowa właśnie do reżimu Bakijewa, gdy represje przeciw dziennikarzom i aktywistom były podobne. Żeby jednak nie skończyć jak jego poprzednik, Dżaparow będzie potrzebować czegoś więcej niż rozbudowanego aparatu represji – i wzrostu gospodarczego pompowanego inwestycjami.

© AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA



DOMA MATEJKO

Estefanía Herrera – jedna z najlepszych kolarek w Kolumbii. Listopad 2025 r.

Estefanía, kobieta szczęśliwa

DOMA MATEJKO Z MIASTA GUARNE (DEPARTAMENT ANTIOQUIA, KOLUMBIA)

KOLUMBIA | To historia jak z filmu: dziewczyna ze wsi zostaje mistrzynią kolarską. Choć Estefanía Herrera doświadczyła wojny domowej, powtarza, że życie zawsze można zmienić na lepsze, a jej kraj to nie tylko narcos. To opowieść o niej.

Czterech mężczyzn i dwie kobiety z tej samej rodziny zostało zamordowanych wczoraj nad ranem przez grupę uzbrojonych napastników we wsi El Oro w gminie Argelia, na południowym wschodzie Antioquii – taką informację 27 lutego 2004 r. podała kolumbijska gazeta „El Tiempo". Z całej rodziny przeżyli tylko siedmioletni chłopiec (zabójcy go oszczędzili) i siedemnastoletnia dziewczyna.

Z jej relacji wiadomo, że partyzanci FARC – lewicowych organizacji Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii – związali ją i innych członków rodziny, a potem kolejno do nich strzelali. Ona dostała postrzał w szczękę i udawała, że nie żyje. Gdy partyzanci odeszli, dotarła do centrum gminy.

Rodzina z El Oro zginęła, gdyż FARC – największa kolumbijska partyzantka, działająca między rokiem 1964 a 2017 – podejrzewała ojca o współpracę z władzami. Jak się okazało, ta tragedia była zapowiedzią wielu kolejnych śmierci w Argelii.

Choć historia tego miasteczka, podobnie jak wielu miejsc w Kolumbii, jest tragiczna, to są tacy, którzy nie tylko ocaleli, ale odnieśli później sukces. Wśród nich jest Estefanía Herrera, rocznik 1994. Dziś jedna z najlepszych kolarek w kraju.

WIECZORY | Estefanía ma mało dobrych wspomnień z dzieciństwa. Za to pamięta chwile, gdy w drodze do szkoły musiała padać na ziemię i czołgać się do najbliższego rowu. Miała 10 lat, gdy na początku XXI w. Argelia stała się areną walk między FARC z jednej strony a wojskiem i grupami paramilitarnymi z drugiej.

Rząd, przy wsparciu grup paramilitarnych, chciał wyeliminować partyzantów z regionu Argelii – nieważne, ilu cywilów mogło przy tym zginąć. Naloty wojska miały miejsce prawie codziennie, bombardowania przerywały lekcje. Wtedy Estefanía i inne dzieci wchodziły pod ławki, zatykały uszy.

Wiedziała, że w drodze powrotnej zobaczy zmarłych: w rowach, na ulicy. Przechodziła obok szybko, nie patrząc. Nie chciała wiedzieć, kim byli. Zwłaszcza że możliwość, iż to sąsiad lub znajomy, było duże. Zabitych zbierano dopiero po zmroku. Ludzie bali się wpaść w ręce partyzantów, którzy ciała traktowali jak przynętę.

Estefanía mówi, że z dzieciństwa pamięta dwa rodzaje wieczorów. Takie, gdy ukradkiem patrzyła przez okno, jak sąsiedzi wynoszą zabitych zawiniętych w prześcieradła. Zwykle byli to ci, obok których przeszła tego dnia. Były też inne wieczory: gdy zaciskała powieki, prosząc Dzieciątko Jezus o rower.

W KLESZCZACH | – Pewnej nocy partyzanci otoczyli miasteczko. Powiedzieli, że nikt, ani cywil, ani paramilitarny, żywy z niego nie wyjdzie – opowiada Estefanía. Mieszkańcy nie mogli liczyć na pomoc władz. W tamtym czasie Álvaro Uribe, prezydent w latach 2002-2010, próbował „oczyścić" cały departament Antioquia z FARC.

– Helikoptery latały nam nad głowami, strzelały tak, by zabić wszystkich. Ale przecież byli tam też zwykli, dobrzy ludzie. Codziennie ginęło mnóstwo osób. To przypominało filmy o II wojnie światowej. Gdy je oglądam, mam wrażenie, że doświadczaliśmy tego samego – opowiada Estefanía.

Jej rodzina przeżyła. Ale to nie oznaczało końca dramatu mieszkańców. Większość została zmuszona do opuszczenia miasteczka. Estefanía pamięta ten moment. Była noc, gdy zjawili się partyzanci. Powiedzieli im, że muszą się wynieść. Ona wraz z rodziną opuszczali Argelię z tym, co mieli na sobie. Przynajmniej żywi.

W tamtym czasie czuli się jak w kleszczach. Zarówno partyzanci, jak też członkowie grup paramilitarnych wchodzili do gospodarstw jak do siebie. Zabierali bydło, kury, jedzenie. Kwaterowali w zajętych domach. Wcześniej zwykle dawali 48 godzin na spakowanie się i opuszczenie domu. Były jednak przypadki, jak ten Estefaníi, gdy dali tylko kilka minut. I ostrzegli, by nigdy nie wracać.

WYGNAŃCY | Lata 1990-2002 to był w Kolumbii straszny czas: wtedy nastąpił gwałtowny wzrost wysiedleń. Komisja Prawdy – instytucja, której celem jest zmierzenie się ze spuścizną wojny domowej – ocenia, że w latach 1990-2016 przesiedlono przymusowo ponad 1,1 mln ludzi.

Raporty Komisji wskazują, że znaczną część przymusowych wysiedleń w latach 90. XX w. i na początku wieku XXI albo spowodowały grupy paramilitarne (Autodefensas Unidas de Colombia, w skrócie AUC), albo były one skutkiem walk między tymi grupami a partyzantami FARC i ELN (Armii Wyzwolenia Narodowego, innej lewicowej organizacji). Antioquia była wśród departamentów najbardziej dotkniętych wysiedleniami.

Co prawda w czasie rządów ultrakonserwatywnego Álvara Uribe rozpoczęto proces demobilizacji grup paramilitarnych. Porozumienia z połowy pierwszej dekady XXI w. miały teoretycznie zakończyć działalność tych formacji. W praktyce sytuacja się nie poprawiła. Po latach wychodzą na jaw dowody, iż grupy paramilitarne współpracowały z Uribe.

Gdy wreszcie w 2017 r. podpisano porozumienie pokojowe między rządem a FARC, powroty do domów były trudne. Raporty z tamtych lat podkreślają, że choć demobilizacje były ważnym krokiem politycznym, to nie zmniejszyły od razu skali humanitarnego kryzysu, który dotykał setki tysięcy wysiedlonych.

MAŁE DOROSŁE | Wygnana z Argelii, Estefanía wraz z siostrą zamieszkały u ciotki w mieście Medellín. Ich dziadkowie i matka wrócili, mimo ryzyka, na wieś – one się bały.

Im dłużej dziewczynki przebywały u ciotki, tym bardziej czuły, że są dla niej ciężarem, kolejnymi osobami do wykarmienia. Zamieszkały więc same. Estefanía miała 11 lat, jej siostra – 14 lat. Wynajęły mieszkanie za 150 tys. pesos (ok. 150 zł); wtedy była to dla nich fortuna. Aby zarobić na wynajem, sprzedawały kadzidełka i herbatę w autobusach. – Gdy przybyłam do Medellín, miałam jedno pragnienie: chciałam mieć rower – wspomina Estefanía. – Udało mi się zdobyć używany rower szosowy.

Znalazła serwis rowerowy i z pomocą właściciela odremontowała rower. Na nim pojechała na miejscowy stadion, gdzie ćwiczył zespół kolarski pod okiem znanego trenera Benjamína Laverde. Na tym rowerze robiła okrążenia po wewnętrznej stronie welodromu, z nadzieją, że jeśli będzie jeździć tak szybko, jak podopieczni Laverdego, ten zaprosi ją na trening. Udało się: z dnia na dzień trafiła do reprezentacji Antioqui w kolarstwie torowym.

MŁODA MATKA | Gdy Estefanía była pewna, że już nic nie stanie na przeszkodzie do spełnienia marzeń o karierze sportowej, dowiedziała się, że jest w ciąży. Miała 15 lat, a jej partner o 18 lat więcej.

Minęło kilka miesięcy, zanim komukolwiek powiedziała o ciąży. Do siódmego miesiąca nic nie było po niej widać, brzuch miała płaski jak zawsze. Była tak niedożywiona, że dziecko nie rozwijało się dość szybko. A ona sama była w tym wszystkim osamotniona.

– Wtedy nie patrzyłam na mojego partnera jak na kogoś, kto chce mnie ↦



ANDERSON BONILLA

Estefanía Herrera z nagrodą Tour Femenino de Colombia 2024

↦ wykorzystać. Myślałam, że da mi miłość i poczucie bezpieczeństwa. Ale zostałam sama – wspomina.

Z początku myślała, że ciąża położy kres jej marzeniu, by zostać najlepszą kolarką w kraju – lub kolarką w ogóle. Ale gdy jej syn Julio Cézar był jeszcze mały, za namową trenera wróciła do ćwiczeń. Przez jakiś czas mieszkała w Villa Deportiva, ośrodku dla sportowców. W tym czasie synem opiekowała się jego babcia ze strony ojca.

MISTRZYNI | Na początku Estefanía nie zarabiała pieniędzy na jeździe. Nie mogła liczyć na niczyje wsparcie, finansowe czy emocjonalne. Z ojcem dziecka rozstała się po tym, jak dowiedziała się, że zażywa narkotyki. Znała to z domu, jej matka z tym walczyła. Estefanía marzyła o zdrowej i kochającej się rodzinie. Uznała, że jedyną nadzieją na dobry dom dla syna będzie to, że wychowa go sama.

Po roku, dzięki osiągnięciom, zaczęła otrzymywać wynagrodzenie z ministerstwa sportu. – Pamiętam, jak dostałam pierwszą pensję. Od razu podjęłam decyzję, że chcę znów być z synem. To był mój cel: być przy nim, dać mu to, co najlepsze. Dla matki dziecko jest najważniejsze na świecie – mówi.

Dziś Estefanía należy do grona utytułowanych kolumbijskich kolarek. W 2023 r. odniosła jedno z najważniejszych zwycięstw w karierze, triumfując w Tour Femenino de Colombia. Rok wcześniej zapisała na swoim koncie efektowną wygraną na piątym etapie Vuelta a Colombia Femenina. W 2024 r. potwierdziła swą dominację w kobiecym kolarstwie w Kolumbii, zwyciężając w etapach Tour Femenino oraz w indywidualnej jeździe na czas.

SPORT NARODOWY | Co często dziwi postronnych, to fakt, że narodowym sportem Kolumbii nie jest piłka nożna, jak w większości krajów Ameryki Łacińskiej, lecz kolarstwo. Można odnieść wrażenie, że tutaj każdy jeździ na rowerze niemal profesjonalnie.

W niedzielne przedpołudnia pobocza dróg są zdominowane przez amatorów kolarstwa szosowego. W największych miastach co niedziela, między siódmą a czternastą, główne ulice są zamykane dla aut i zamieniają się w jedną wielką ścieżkę rowerową.

Pomysłodawcą tzw. tymczasowej ścieżki rowerowej, zwanej ciclvía, był Jaime Ortiz Mariño. To on w grudniu 1974 r. przekonał władze stołecznej Bogoty, by przez kilka godzin oddać ulice mieszkańcom. W tamtych czasach, gdy trwały zacięte walki między FARC i ELN a siłami rządowymi, a strach towarzyszył ludziom codziennie, udało się wygospodarować czas i przestrzeń, gdzie mogli zapomnieć na chwilę o codzienności.

Dziś Bogota posiada – prócz tymczasowej ciclvíi – 600 km stałych ścieżek rowerowych. Czyli więcej niż Amsterdam.

ETAPY GÓRSKIE | Kolumbijczycy kochają kolarstwo także dlatego, że mogą szczycić się tu sukcesami. Zwłaszcza w porównaniu do innych państw regionu.

Kolumbia jest jednym z nielicznych państw, które zdobyły tytuły we wszystkich trzech wielkich wyścigach: Tour de France, Giro d'Italia i Vuelta a España. Kolumbijczycy przodują zwłaszcza na etapach górskich, a to dzięki temu, że na co dzień trenują na dużych wysokościach – jak 2150 m n.p.m. (to okolice Medellín) czy 2650 m n.p.m. (na tej wysokości leży Bogota).

Jeśli zaś idzie o kolumbijską elitę kolarską, to Nairo Quintana, Egan Bernal i Rigoberto Urán należą do światowej czołówki. Mariana Pajón jest dwukrotną mistrzynią olimpijską w jeździe na rowerach typu BMX. Paula Patańo, zawodniczka World Tour i uczestniczka Tour de France Femmes, jest najbardziej rozpoznawalną kolarką szosową z Kolumbii na świecie.

NADZIEJA | Jednak dla Kolumbijczyków kolarstwo to coś więcej niż narodowy sport i narodowe hobby. To również nadzieja, że ich kraj zacznie się kojarzyć nie tylko z kartelami narkotykowymi, lecz właśnie z wybitnymi kolarzami i kolarkami oraz ze sportem w ogóle.

To ważne zwłaszcza teraz, gdy Kolumbia zmaga się na nowo z partyzantką ELN i „rekordową" produkcją kokainy. To też moment, gdy Kolumbijczycy starają się mierzyć z przeszłością i wyciągać wnioski z konfliktu z FARC, który trwał przez ponad 50 lat. Wiele ofiar tego konfliktu współpracuje dziś, z pomocą organizacji pozarządowych, z byłymi partyzantami, by wyjaśnić przeszłe zbrodnie. Wszystko po to, aby historia się nie powtórzyła.

Estefanía Herrera jest zaś przykładem tych Kolumbijczyków, którzy mają odwagę, by poradzić sobie z traumami i zacząć życie na nowo. Prócz rozwijania kariery sportowej, Estefanía chce pomagać ludziom, którzy jak ona przeszli piekło wojny domowej.

Mówi, że wierzy, iż jej historia może stać się inspiracją dla następnych pokoleń sportowców. Oraz dla wszystkich tych, którzy chcą uwierzyć, że dobre zakończenia nawet najokrutniejszych historii są możliwe. ©DOMA MATEJKO

Tekst zrealizowano w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Polska nauka z napędem AI

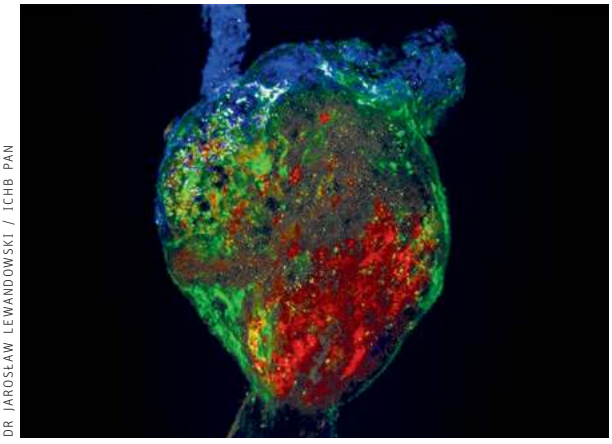
Sztuczna inteligencja stała się siłą napędową zmian w polskiej nauce – wyznacza kierunki rozwoju dużych infrastruktur badawczych i przyspiesza przełomowe prace nad danymi.

Są to strategiczne infrastruktury cyfrowe, które opierają się na przetwarzaniu danych. Ich budowę naukowcy rozpoczęli w poprzedniej dekadzie i już wtedy zawierały one elementy sztucznej inteligencji (AI). Obecny dynamiczny rozwój AI spowodował jednak skok jakościowy i ilościowy, który skierował badania i rozwój na nowe ścieżki.

Skala tych infrastruktur badawczych wartych po kilkadziesiąt lub kilkaset milionów złotych wymagała dofinansowania unijnego. Otrzymały one dotacje w poprzednich perspektywach finansowych Unii Europejskiej oraz w obecnej, na lata 2021–2027.

Cyfrowe bliźniaki

Europejskie Centrum Bioinformatyki i Genomiki (ECBiG) w Poznaniu, które zajmuje się rozwojem technologii wspierających m.in. diagnostykę i terapię medyczną, kładzie obecnie nacisk na wykorzystanie mocy obliczeniowej sztucznej inteligencji do badań z użyciem spersonalizowanych modeli biologicznych. Modele te pozwalają na testowanie np. leków na komórkach wyhodowanych z próbek pobranych od konkretnego pacjenta. Gdy wkracza AI, możliwe staje się tworzenie cyfrowych bliźniaków (ang. *digital twins*), czyli wirtualnych modeli tkanek, narządów (na zdjęciu), a nawet całych organizmów, które odwzorowują funkcje i reakcje układów żywych w czasie rzeczywistym. Dzięki temu naukowcy mogą testować wiele próbek i scenariuszy jednocześnie, przewidywać reakcje komórek na leki, symulować rozwój chorób i oceniać skuteczność terapii. W tradycyjnych badaniach laboratoryjnych osiągnięcie takiej skali byłoby czasochłonne i bardzo kosztowne. Cyfrowe bliźniaki będą więc pomostem między biologią eksperymentalną a medycyną spersonalizowaną. Projekt ECBiG – MOSAIC 3D realizuje zespół Instytutu Chemii Bioorganicznej Polskiej Akademii Nauk oraz afiliowanego przy nim Poznańskiego Centrum Superkomputerowo-Sieciowego (PCSS).



DR JAROSŁAW LEWANDOWSKI / ICHB PAN

Obraz mikroskopowy organoidu sercowego

Trenowanie modeli AI

PCSS wraz z 11 innymi instytucjami badawczymi z całej Polski firmuje też wieloletni projekt informatyczny o nazwie Krajowy Magazyn Danych. Obejmuje on budowę infrastruktury danych oraz udostępnianie jej naukowcom i przedsiębiorcom wraz z usługami i aplikacjami do składowania i przetwarzania danych. W obecnej edycji projektu o nazwie KMD4EOSC infrastruktura ma być udostępniona głównie dla obliczeń w modelach AI, zasilania modeli AI oraz wsparcia ich procesów uczenia się. Intuicyjna platforma dostępowa pozwoli użytkownikom na przechowywanie swoich danych oraz wykorzystanie centrów obliczeniowych, by rozwijać własne modele AI lub korzystać z narzędzi i modeli dostępnych w katalogu. Największy akcent kładzie się na rozwiązania generatywne, w tym na duże modele językowe (LLM-y). Klienci będą mogli zastosować te modele do dogłębnej analizy i zaawansowanego pozyskiwania wiedzy ze zbiorów danych badawczych – zarówno publicznych, jak i prywatnych.

Analiza języka i emocji

Duże modele językowe – w tym modele rozwijane dla polszczyzny – są też bazą dla usług, które wkrótce pojawią się na rynku dzięki kolejnej edycji projektu CLARIN-PL. CLARIN-PL to ogólnopolska infrastruktura do przetwarzania języka naturalnego. Nowa warstwa usług będzie szybciej wydobywać wiedzę z tekstów, personalizować treści i ułatwiać komunikację człowieka z maszyną. LLM-y pełnią rolę „katalizatora" dla całego systemu: podnoszą jakość analiz językowych, spinają istniejące komponenty w spójne potoki i udostępniają je przez interfejs czatowy, w którym użytkownik formułuje zadanie w języku naturalnym. Szczególny nacisk jest położony na wiarygodność generowanych odpowiedzi: system automatycznie wskazuje źródła i fragmenty, na podstawie których wnioskuje, wykrywa halucynacje, ogranicza dezinformację i jest testowany pod kątem odporności na nadużycia. Dla nauki oznacza to m.in. szybsze przeszukiwanie i streszczanie dużych korpusów tekstów oraz narzędzia do analiz emocji i polaryzacji. Dla gospodarki i instytucji publicznych – precyzyjną analizę opinii klientów, moderację mowy nienawiści oraz wprowadzenie bezpiecznego asystenta badacza działającego po polsku. Projekt realizuje pięć instytucji badawczych pod przewodnictwem Politechniki Wrocławskiej. ©

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | OŚRODEK PRZETWARZANIA INFORMACJI

WIARA

KOMŻA DO OSIEMNASTKI

Ministrantami byli znani aktorzy, politycy i piłkarze. Oraz tysiące zwykłych chłopców, a dziś coraz częściej także dziewczyn. Co ich ciągnie do ołtarza?

STANISŁAW ZASADA



Zdałem maturę, szykowałem się na studia. Wikary namawiał, żebym czytał na mszy Pismo Święte. Tak oto zostałem lektorem w małej kujawskiej parafii. Bez kursów, bez egzaminu. Byłem nim przez całe studia. Ministrantury nigdy się nie nauczyłem.

Bo koledzy patrzą

– Też nie byłem ministrantem – przyznaje ks. Grzegorz Perzyna, duszpasterz służby liturgicznej archidiecezji warszawskiej. – Ani w podstawówce, ani w gimnazjum, ani w liceum.

Kończył studia w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, gdy proboszcz jego rodzinnej parafii na Mazowszu zaproponował mu, żeby zaczął służyć do mszy świętej. – A że zbiegło się to z początkami powołania kapłańskiego, znalazłem się bliżej ołtarza – wspomina. Wiosną abp Adrian Galbas powierzył księdzu Perzynie odpowiedzialność za ministrantów w całej diecezji. Jako wikariusz opiekuje się też ministrantami w parafii Matki Bożej Wspomożycielki Wiernych na warszawskich Bielanach.

Pytam, jakie cechy powinien mieć ministrant? Odpowiada, że na pewno przydają się: zdecydowanie, uporządkowanie, roztropność oraz śmiałość. – Nie jest łatwo stanąć publicznie przy ołtarzu, gdy patrzy na ciebie rodzina, znajomi, a szczególnie koleżanki i koledzy – mówi ks. Perzyna. – Do tego trzeba pewnej odwagi, zwłaszcza gdy wyrasta się z wieku dziecięcego i wkracza w nastoletni.

Mówi, że bardzo dobrze widać to w czasie szkolnych rekolekcji, gdy ministrant ma założyć komżę i być przy księdzu przed całą szkołą. – Dla niejednego chłopaka to spora odwaga – uważa.

Pytam, co daje ministrantura. – Jest szansą na dobrą formację religijną – odpowiada z przekonaniem.

– Jest bardzo ważna społecznie – uważa prof. Jarosław Załęcki, socjolog z Uniwersytetu Gdańskiego. – Bo to także szansa na odciągnięcie młodych ludzi od kultury masowej, a zwłaszcza od cyberprzestrzeni. I ważna inicjatywa wychowawcza, bo otwiera możliwości na bycie z rówieśnikami.

Kogo gorszą ministrantki

Na YouTubie oglądam transmisję mszy świętej z kościoła Świętego Jana w Gdańsku, gdzie zbierają się środowiska twórcze. Rektor ks. Krzysztof Niedałtowski skończył kazanie, zaczyna się liturgia eucharystyczna. Dwie dziewczyny w albach podają kapłanowi kielich, patenę, ampułki z winem i wodą.

Jednak w Polsce dziewczynom trudno przebić się do ministrantury – ministrantki są tylko w połowie diecezji. Nie tolerują ich niektórzy biskupi i księża. Także część wiernych krzywi się, gdy kręcą się przy ołtarzu.

– U mnie nikt nie ma o to pretensji – zapewnia ks. Krzysztof Prus, proboszcz parafii św. Stanisława Biskupa i Męczennika w maleńkim Żydowie koło Gniezna. – Ludzie odbierają to naturalnie – dodaje. Na parafialnym Facebooku oglądam zdjęcia z procesji Bożego Ciała w Żydowie. Jedna dziewczyna w albie niesie dzwonki przed księdzem z monstrancją, następne dwie lampki oliwne.



KAROL PORWICH / EAST NEWS

Ministranci i lektorzy na Ogólnopolskim Spotkaniu Młodych w Lednicy, czerwiec 2024 r.

Gdy ks. Prus przyszedł dziesięć lat temu do Żydowa, ministrantek nie było, chociaż dziewczynki służyły tutaj do mszy pod koniec zeszłego wieku. Ale starsi ministranci narzekali, że panowała wtedy niezdrowa rywalizacja. Dlatego na początku nie dopuścił dziewczynek do ministrantury, chociaż co jakiś czas się zgłaszały. Ale gdy papież Franciszek zezwolił, by kobiety były nadzwyczajnymi szafarkami Eucharystii, zmienił zdanie. – Uznałem, że skoro kobietom wolno udzielać komunii, to dziewczynki mogą też podawać księdzu ampułki z wodą i winem – mówi.

W Żydowie na 30 ministrantów połowę stanowią chłopcy, połowę dziewczyny. – Nie widzę niezdrowej atmosfery między nimi – mówi proboszcz. W tym roku po raz pierwszy zabrał ministrantki na kolędę. Nie zauważył, żeby parafianie mieli coś przeciwko.

– To my byliśmy jedną z pierwszych parafii w Polsce, która dopuściła dziewczynki do służby przy ołtarzu – mówi ks. Erwin Mateja, proboszcz parafii Trójcy Świętej w Boguszycach pod Opolem.

Była połowa lat 90., gdy jego poprzednik zezwolił młodym parafiankom usługiwać w czasie mszy. – To był bardzo postępowy kapłan – proboszcz Mateja chwali ks. Józefa Mikołajca, wykładowcę teologii pastoralnej na Uniwersytecie Opolskim. Na Opolszczyźnie przykład szedł z Niemiec: w tamtejszych parafiach kobiety nie tylko są ministrantkami, ale rozdają również komunię. No i biskupem opolskim był Alfons Nossol.

– Nie wydał oficjalnego dekretu, ale aprobował ministrantki – mówi ks. Mateja. Pamięta, jak w Wielki Czwartek na Mszy Krzyżma Świętego w opolskiej katedrze witał zawsze ministrantów i ministrantki. – Jakby chciał podkreślić ich obecność w Kościele – dodaje ks. Erwin.

W boguszyckiej parafii na trzydzieścioro ministrantów jest dwudziestu chłopaków i dziesięć dziewczyn. – Dziewczyny piękniej i staranniej ↦



SŁAWOMIR MIELNIK DLA „TP"

Ministrantki przed niedzielną mszą. Prószków w woj. opolskim, październik 2014 r.

↦ czytają Pismo Święte – chwali ministrantki proboszcz.

Dwa dni przed naszą rozmową po mszy do proboszcza podeszły dwie czwartoklasistki. – Proszę księdza, czy my też możemy być ministrantkami? – spytały. Zgodził się.

Z ligi polskiej do włoskiej

Sześć razy byli mistrzami Polski. Mowa o ministrantach z parafii św. Jadwigi z Janowa Lubelskiego, którzy tyleż razy wygrywali krajowe mistrzostwa Liturgicznej Służby Ołtarza w halowej piłce nożnej – od dwudziestu lat organizuje je miesięcznik „Króluj nam Chryste". Jedyne ogólnopolskie pismo dla ministrantów założył dwadzieścia lat temu w Poznaniu bp Grzegorz Balcerek. Tytuł wzięto od pierwszych słów ministranckiego hymnu. Na dwudziestu stronach można znaleźć głównie teksty o świętych, liturgii, wywiady, konkursy.

Ale wracamy do piłkarskich rozgrywek ministrantów, które mają łączyć walory sportowe z duchowymi. Mistrzostwa zaczynają się zawsze mszą: ponad tysiąc uczestników turnieju staje wtedy w komżach i albach. Zawody odbywają się w trzech kategoriach wiekowych: ministrantów, lektorów młodszych i lektorów starszych. Żeby zakwalifikować się do finałów, trzeba przejść przez rozgrywki diecezjalne. Impreza angażuje tysiące ministrantów.

Reprezentacyjny pomocnik Jakub Piotrowski (na co dzień gra we włoskim Udinese) też brał udział w zawodach o Puchar „KnC": jako dwunastolatek zdobył brązowy medal. Był kapitanem ekipy ministrantów z parafii św. Michała Archanioła w maleńkim Grzybnie pod Toruniem.

– Był też dobrym ministrantem – wspomina Kubę kanonik Piotr Adam Kociniewski, proboszcz. Gdy kilkanaście lat temu przyszedł do Grzybna, od razu zrobił boisko do gry w piłkę. – Bo sport przyciąga – mówi. – W parafii, która liczy tysiąc dwieście dusz, miałem prawie czterdziestu ministrantów – dodaje.

Łapanie much

– Stefciu, co z ciebie wyrośnie? – młody ksiądz ciągnie w zakrystii za ucho dziesięciolatka. To sam początek lat 50. XX wieku. Ksiądz nazywa się Karol Wojtyła, jest wikarym w kościele św. Floriana w Krakowie. Stefciu to Stefan Friedmann, przyszły aktor i satyryk.

Jakiś czas temu w jednej z gazet wspominał czasy ministranckie (do ministrantury namówiła go babcia; chciała mieć wnuka kapłana). Friedmann opowiadał, jak za klęczącym w kościele księdzem Wojtyłą robił gesty, jakby łapał muchy. Ludzie śmiali się w głos. Aktor żartował, że był to jego pierwszy performance. To po tamtych wygłupach ks. Wojtyła miał go wytargać za ucho.

Ministrantami byli też inni znani aktorzy: Jerzy Stuhr, Marek Kondrat i Michał Żebrowski oraz prezenter Krzysztof Ibisz. Tancerz Agustin Marek Egurrola jako nastolatek służył często do mszy ks. Jerzemu Popiełuszce na warszawskim Żoliborzu – rodzice chcieli, żeby został księdzem. Przy ołtarzu w komży stawali też politycy od lewa do prawa: Leszek Miller i Grzegorz Napieralski z SLD, Paweł Kowal z Koalicji Obywatelskiej oraz Szymon Hołownia z Polski 2050.

W Strzelnie na Kujawach (rodzinne miasto abp. Stanisława Gądeckiego) jego koledzy wspominają, jak za szkolnych czasów służyli z nim do mszy. Staś Gądecki ze wszystkich ministrantów najlepiej opanował łacinę (były lata 60., nie sprawowano jeszcze liturgii w językach narodowych). W kościelnej zakrystii odpytywał kolegów z łacińskich modlitw. Mówią, że nie byli zaskoczeni, gdy po liceum poszedł do seminarium.

Ortopeda i księgowy

Charakterystyczny bas dobrze znają parafianie u św. Jana Vianneya w Poznaniu. Dobiegający osiemdziesiątki Włodzimierz Pięta czyta w tutejszym kościele Pismo Święte, modlitwę wiernych. Wezwanie: „Ciebie prosimy..." często śpiewa, czasem służy do mszy.

Emerytowany chirurg-ortopeda ministrantem został 70 lat temu: przez rok uczył się łacińskich modlitw i poznawał zasady ministrantury, a gdy zdał ministrancki egzamin, zaczął usługiwać kapłanom przy ołtarzu.

Opowiada, że wśród ministrantów była rywalizacja: kto będzie dzwonił, kto podawał trybularz, a kto rozkładał mszał. – Ważne było, żeby coś robić, a nie stać bezczynnie całą mszę – mówi.

Ministrantem w parafialnym kościele był w podstawówce i w liceum. Jako student służył do mszy u poznańskich dominikanów na mszach akademickich. Gdy został lekarzem, był ministrantem w szpitalnej kaplicy. A gdy nie miał dyżurów, stawał przy ołtarzu w rodzinnej parafii na poznańskim Sołaczu. I tak zostało.

Włodzimierz Pięta nie zakłada już komży do mszy – służy w garniturze. Ma to od czasów studenckich. Ale jest dumny z bycia ministrantem. – Najlepiej czuję się przy ołtarzu – wyznaje. Tak się przyzwyczaił do miejsca w prezbiterium, że gdy w obcym kościele siada w ławkach, czuje się nieswojo.

Bycie ministrantem przyrównuje do harcerstwa. – Tu i tam są zbiórki, spotkania, trzeba być punktualnym i obowiązkowym – mówi. Czasem spotyka kolegów z dzieciństwa albo wczesnej młodo-

ści. Też mają po przeszło 70 lat jak on. Niektórzy wciąż są ministrantami. Jeden został kościelnym.

Panu Włodzimierzowi daleko do rekordu. Kilka lat temu w Poznaniu zmarł sędziwy Zygmunt Rypiński, księgowy i bodaj najstarszy polski ministrant – do mszy zaczął służyć w 1940 r. Niemal do końca życia stał w komży przy ołtarzu w kościołach na Starym Mieście: Farze, Świętym Marcinie, kaplicy Świętej Rodziny. Mawiał, że ministranturę „ma we krwi".

Sam papież

Ks. Eugeniusz Makulski nie klęczy już przed Janem Pawłem II. Pomnik sprzed licheńskiej bazyliki marianie kazali przerobić: odcięto postać kapłana z rysami Makulskiego, został sam papież.

Wszystko odbyło się po emisji filmu „Tylko nie mów nikomu". Jednym z negatywnych bohaterów dokumentu Marka i Tomasza Sekielskich był kustosz i budowniczy największego w Polsce kościoła: były ministrant wyznał, że Makulski go molestował.

Przejmujący dokument ujawnił wiele innych przypadków wykorzystywania małoletnich ministrantów przez księży. Padły znane nazwiska. Wśród nich byłego kapelana prezydenta Lecha Wałęsy ks. Franciszka Cybuli.

– Czy nagłośnienie skandali pedofilskich wpłynęło na spadek liczby ministrantów? – pytam prof. Jarosława Załęckiego z Uniwersytetu Gdańskiego.

– Sądzę, że w niewielkim stopniu – odpowiada. Wskazuje na inną przyczynę braku ministrantów. – Żyjemy w laicyzującym się społeczeństwie. Jeśli mamy mniej powołań kapłańskich i zakonnych, to czemu nie mielibyśmy mieć mniej ministrantów? – zauważa.

– Na pewno kogoś mogło to zrazić – przyznaje ks. Grzegorz Perzyna z Warszawy. – Ważna jest tutaj postawa księży. Jeśli we własnych parafiach będziemy dawać przykład pobożności, zaangażowania i życzliwości, ludzie będą nam ufać.

Ks. Perzyna mówi, że jeszcze nigdy nie spotkał się z opinią, żeby ktoś powiedział: „Posłałbym dziecko na ministranta, ale mam pewne obawy z powodu ujawnionych skandali". Za to uważa, że ministrantem być dziś trudniej z jednego jeszcze powodu: „dzieci i młodzież mają dużo więcej bodźców i propozycji". Spotyka się z tym, gdy trzeba ustalić ministranckie dyżury w dni powszednie: trudno wtedy znaleźć chętnych. – Bo ten trenuje piłkę w klubie i ma akurat mecz, kto inny zbiórkę harcerską albo jeszcze co innego – mówi ks. Perzyna.

Prof. Załęcki uważa, że Kościół ma tutaj dużo do zrobienia. – Jeśli ministrantura sprowadza się do „inżynierii ołtarzowej", żeby wiedzieć, kiedy podać księdzu ampułki, to może być mało pociągające – mówi. – To musi być szersza oferta: wspólne spotkania, wyjazdy, dyskusje, najlepiej takie, gdy nie unika się polemiki.

Już nie wypada

Parafia w podgnieźnieńskim Żydowie liczy prawie trzy i pół tysiąca wiernych. Pytam proboszcza, skąd ma aż 30 ministrantów i ministrantek?

– Tu zawsze było dużo ministrantów i lektorów. Niestety, czas pandemii miał wpływ na to, że teraz jest mniej starszych ministrantów – odpowiada ksiądz Krzysztof Prus.

Dopytuję o inne motywacje.

– Zgłaszają się ci, którzy są na co dzień aktywni: działają w szkolnym wolontariacie albo w harcerstwie – wylicza. Jednak ks. Prus zauważa, że po bierzmowaniu, a najdalej po osiemnastych urodzinach prawie wszyscy rezygnują z ministrantury.

– Nigdy nie pytałem, czemu ktoś chce służyć do mszy – odpowiada ks. Perzyna. Wspomina, jak na poprzedniej parafii pod Warszawą do zakrystii przyszedł ojciec z małym chłopcem i powiedział, że chce, aby jego syn był ministrantem. „Ale czy on chce?" – zapytał ksiądz Grzegorz. „Na razie ja chcę, a potem zobaczymy, co z tego wyjdzie" – odparł ojciec chłopca.

– Widocznie uznał, że syn otrzyma dodatkową formację religijną, będzie w grupie – mówi ks. Perzyna. – Okazało się, że ten chłopiec był jednym z najgorliwszych ministrantów.

Nie dla każdego?

Przez pięć lat patrzyłem z podziwem na kilkuletnich chłopców, jak z wprawą podają księdzu wodę, wino, wiedzą, kiedy zadzwonić, a kiedy przyklęknąć. W czasie Triduum miałem wrażenie, że młodszy o kilka lat kolega wie więcej o obrzędach niż proboszcz.

Raz, bardziej z chęci spróbowania niż z przekonania, służyłem do mszy w jezuickim kościele akademickim w Toruniu. Zrozumiałem, że ministrantura nie jest dla każdego – trzeba ją lubić.

© STANISŁAW ZASADA

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **GRUDZIĄDZ,** sobota 13 grudnia godz. 20.00, wspólny wyjazd na koncert muzyki dawnej. Dojazd i zakup biletu we własnym zakresie. Dwór Artusa (Długi Targ 43-44, Gdańsk),
- **ZIELONA GÓRA,** środa 17 grudnia godz. 14.00, spotkanie przedświąteczne, Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13)
- **WARSZAWA,** czwartek 18 grudnia godz. 18.00, spotkanie przedświąteczne (otwarte – zapraszamy!), „Jest taki dzień", sala KIK (Freta 20/24A, II piętro)
- **SŁUPSK,** czwartek 18 grudnia godz. 17.00 przedświąteczne spotkanie klubowiczów przy herbacie, Herbaciarnia Richtera (Rynek Rybacki 1)
- **POZNAŃ,** niedziela 21 grudnia godz.12.00, msza święta w ramach Festiwalu Ducha oraz spotkanie przedświąteczne z o. Maciejem Biskupem oraz ks. proboszczem Januszem Grześkowiakiem, „Wcielenie, O Bogu...", kościół pw. Wszystkich Świętych (ul. Grobla 1)

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

Towarzystwo teozofów

MACIEJ BIELAWSKI

MEDYTACJA | Nie da się zrozumieć dziejów i obecnej popularności medytacji na Zachodzie, nie wspominając zasług działającej pod koniec XIX wieku grupki ludzi zafascynowanych duchowością Wschodu.

W 1893 roku w czasopiśmie „The Irish Theosophist" ukazał się artykuł „Meditation, Concentration, Will" („Medytacja, koncentracja, wola"), którego autorem był William Quan Judge (1851-1896), z pochodzenia dublińczyk, z wykształcenia prawnik, od lat mieszkający w Nowym Jorku (miał obywatelstwo Stanów Zjednoczonych). Jego tematem – jak i wielu innych tekstów Judge'a z tego okresu – była medytacja, ale traktowana nie jako rozważanie metafizyczne, w stylu „Medytacji o filozofii pierwszej" Kartezjusza (1641), ani też pobożne rozmyślanie, znane choćby z „Medytacji" średniowiecznego kartuza Guiga I (1083-1136), opublikowanych po raz pierwszy w Monako w 1685 r.

Judge pisał o medytacji jako o ćwiczeniu, któremu każdy powinien oddawać się codziennie przez dwadzieścia minut, rankiem i wieczorem, skupiając myśli na „wibrującym słowie" – czy też „świętej sylabie" – Om (Aum). Jego książki i artykuły zawierały obietnicę, że gorliwe i szczere powtarzanie tego ćwiczenia prowadzi do szczerości życia i wewnętrznego spokoju.

Medytacja od nowa

Była to bodaj pierwsza europejska publikacja ze słowem „medytacja" w tytule, która proponowała nie tyle rozwijanie myśli, co ich powstrzymywanie. I która do obiegu zachodniej kultury duchowej wprowadzała egzotyczne i sanskryckie słowo „Om", doskonale znane hinduistom i buddystom.

Można ją uznać za pierwszy zachodni podręcznik medytacji we współczesnym znaczeniu tego słowa, otwierający drogę licznym publikacjom napisanym w następnych dziesięcioleciach, dziś tworzących już pokaźną bibliotekę.

Nade wszystko jednak warto podkreślić, że książka Judge'a wprowadziła w obieg i rozpowszechniła nowe znaczenie samego słowa „medytacja", dokonując cichej rewolucji semantycznej o daleko sięgających skutkach – wpływającej na życie wielu ludzi.

Fenomen Towarzystwa Teozoficznego

Interesującą jest oczywiście sama postać Williama Judge'a, a zwłaszcza fakt, że był on członkiem, a nawet współzałożycielem Towarzystwa Teozoficznego (TT), bez którego nie można sobie wyobrazić ani zrozumieć dziejów i popularności medytacji w XX wieku.

Towarzystwo powstało w 1875 r. w Nowym Jorku z inicjatywy Henry'ego Steela Olcotta (1832-1907), Heleny Petrovny von Hahn (1831-1891) zwanej częściej Madame Blavatksy (w Polsce znanej jako Helena Bławatska) oraz wspomnianego Williama Quan Judge'a.

Organizacja ta istnieje i działa do dziś. Jej początki były skromne, ale szybko rozwinęła się i rozlała niemalże po całym świecie, wpływając na losy narodów, rozwój nauki, sztuk, dialogu między religiami i szeroko pojętej duchowości. Któż nie należał do Towarzystwa Teozoficznego? Z polityków – choćby Mahatma Gandhi i Jawaharlal Nehru; z pisarzy – William Butler Yeats, Gibran Khalil Gibran, Arthur Conan Doyle, Edward Morgan Forster, James Joyce czy T.S. Eliot; z malarzy – Paul Klee, Piet Mondrian i Wassily Kandinsky; z muzyków – Gustav Mahler, Jean Sibelius, Aleksandr Skriabin czy nawet Elvis Presley. Do listy tej można by dorzucić



DOMENA PUBLICZNA

HELENA PIETROWNA BŁAWATSKA (1831-1891) – urodzona w Rosji pisarka, podróżniczka i okultystka. Współzałożycielka Towarzystwa Teozoficznego w Nowym Jorku. Dla zwolenników – oświecona guru, dla krytyków – szarlatanka. Jej poglądy, wyrażone w książkach i artykułach (m.in. na łamach założonego przez nią czasopisma „Lucifer") wpłynęły na rozwój zachodnich nurtów ezoterycznych i New Age w XX w.

TO DRUGI ODCINEK z cyklu artykułów o historii medytacji. W pierwszym („TP" 47/2025) poznaliśmy francuską pisarkę Alexandrę David-Néel, która zapoczątkowała długi pochód młodych i coraz bardziej oryginalnych ludzi Zachodu, podróżujących w XX wieku na Daleki Wschód, by uczyć się medytacji pod kierunkiem jednego z tamtejszych mistrzów.

W KOLEJNYM ODCINKU przeczytamy o „bengalskim renesansie", w którym mieszało się stare i nowe, Wschód i Zachód, hinduizm i chrześcijaństwo, mistyka i współczesna nauka. I który był jednym z głównych zarzewi rozprzestrzeniania się medytacji we współczesnym świecie. A także o książce „The Raja Yoga" (1896) swamiego Wiwekanandy, który jako pierwszy powiązał medytację z jogą.

Autor cyklu – Maciej Bielawski – jest teologiem, pisarzem i wykładowcą uniwersyteckim z Werony, nauczycielem kontemplacji i duchowości.

jeszcze Thomasa A. Edisona czy Williama Jamesa, a z Polaków Wandę Dynowską czy Maurycego Frydmana.

W naszym kraju jednak organizacja nigdy nie rozwinęła skrzydeł, a jej wpływ na życie Polaków był skromny. Fenomen Towarzystwa Teozoficznego, zwłaszcza w pierwszej połowie XX wieku, czeka wciąż na opracowanie i ocenę. Nas interesuje tu jedynie związek TT z medytacją.

Trójka założycieli TT postawiła sobie trzy cele: (1) wprowadzenie powszechnego braterstwa ludzkości, bez względu na rasę, religię, płeć, przynależność klasową czy kolor skóry; (2) wspieranie studiów porównawczych między religiami, filozofiami i naukami ścisłymi; (3) badanie praw, zwłaszcza natury duchowej, ukrytych w przyrodzie i w człowieku.

Zostawmy na boku zawiłe i czasami dwuznaczne dzieje TT, jak również ezoteryczne i eklektyczne teorie rozwijane przez jego członków. Dość powiedzieć, że mimo krytyki i sprzeciwów, w których nie zabrakło dekretu Watykanu z 1919 r. czy prześladowań ze strony faszystowskiego rządu Benita Mussoliniego we Włoszech, TT przetrwało, rozwinęło się i znacznie przyczyniło do rozprzestrzenienia praktyki medytacji na różnych poziomach.

Katechizm buddyjski

Wróćmy znów do założycieli TT, którzy medytacją się interesowali i sami medytowali. O Williamie Judge'u była już mowa. Powiedzmy kilka słów o pozostałej dwójce.

Henry Steel Olcott krótko po założeniu TT wyjechał do Indii. Przebywając na Cejlonie (dziś Sri Lanka), zainteresował się buddyzmem. W 1881 r. w Madrasie, gdzie TT miało swoją centralną siedzibę, wydał „Katechizm buddyjski" („The Buddhist Catechism"), przetłumaczony na ponad dwadzieścia języków i wielokrotnie wznawiany na całym świecie. Na Cejlonie został nawet wprowadzony jako podręcznik do szkół, przyczyniając się do odrodzenia buddyzmu i samoświadomości Lankijczyków.

Książka napisana została w formie naśladującej katechizmy chrześcijańskie i prezentowała nauki Buddy w 383 pytaniach i odpowiedziach, wśród których znalazły się także uwagi o medytacji. W ten sposób czytelnik dowiadywał się, że Budda w gaju Uruvela oddawał się przez sześć lat „głębokiej medytacji" (51), na pytanie zaś o rodzaj dyscypliny wewnętrznej, który doprowadził go do poznania prawdy, katechizm odpowiadał, że stało się to, ponieważ młody Siddhartha Gautama z rodu Śakjów „usiadł w pozycji medytacyjnej, skupił swój umysł na najistotniejszych problemach życia, odrzucając z zasięgu swego wzroku i słuchu to wszystko, co mogłoby zakłócić jego wewnętrzne rozmyślania" (188).

Dalej była tam mowa o tym, że medytacja z jednej strony polega na uspokojeniu ciała i umysłu (*Samatha*), a z drugiej – na osiągnięciu nadprzyrodzonej mądrości i wglądu w istotę rzeczywistości (*Vidarshana*). Olcott celowo zapisywał w nawiasie oryginalne nazwy, wprowadzając je w obieg języków zachodnich, w których z czasem zadomowiły się na dobre. Nie omieszkał też wspomnieć o czterech medytacjach (*Satipatthana*) czy też stanach świadomości dotyczących ciała, emocji, umysłu i dharmy (271), o których do dziś możemy czytać w książkach poświęconych tej tematyce. Na koniec, streszczając w epilogu propozycje Buddy, autor pisał, że medytacja, wraz z ascezą, prowadzi do oświecenia i nirwany.

William Quan Judge, „Medytacja, koncentracja, wola" (FRAGMENT):

Wola i Pragnienie leżą u wrót Medytacji i Koncentracji. Jeśli pragniemy prawdy z taką samą intensywnością, z jaką wcześniej pragnęliśmy sukcesu, pieniędzy czy zadowolenia, szybko nauczymy się medytacji i posiądziemy koncentrację.
Jeśli wszystkie nasze czyny, małe i wielkie, w każdej chwili będziemy wykonywać dla dobra całej ludzkości, reprezentującej Najwyższą Jaźń, wówczas każda komórka i każde włókno ciała, jak i nasz wewnętrzny człowiek zostaną zwrócone w jednym kierunku, co doprowadzi do doskonałej koncentracji. Nowy Testament wyraża to mówiąc, że jeśli twoje oko jest zdrowe, to całe twoje ciało będzie pełne światła (Mt 6, 22), a w Bhagawadgicie jest to jeszcze jaśniej i wyczerpująco przedstawione [...] jako rozświetlenie w nas Najwyższego, który wówczas staje się widzialny. Medytujmy nad obecnością w nas Najwyższej Jaźni, skupmy się na tym i pracujmy, aby zamieszkała Ona w sercu każdego człowieka.

William Q. Judge, „Meditation, Concentration, Will" [w:] „The Irish Theosophist", lipiec 1893

Entuzjastka medytacji

Trzecia spośród założycieli, Helena Bławatska, była autorką kilku poczytnych publikacji, nade wszystko „Nauki tajemnej" (1888), w której w entuzjastyczny sposób pisała właśnie o medytacji. Nie zajmowała się kwestiami praktycznymi, zaznaczała jedynie, że medytacja przyczynia się do postępu duchowego, poszerza i pogłębia świadomość, która dzięki temu zdobywa całościową wizję rzeczywistości i osiąga zjednoczenie z Bogiem. Jej rozważania, choć ezoteryczne i eklektyczne, zachęcały do medytowania i stwarzały odpowiedni klimat dla tej praktyki.

Pisząc „Naukę tajemną", Bławatska zaprezentowała jednemu z członków TT, Edwardowi T. Sturdy'emu, tak zwany Diagram medytacji – schemat łączący obrazowo formalne zabiegi medytacyjne i rozwijające się wraz z nimi świadomości. Dokument ten został opublikowany dopiero w 1944 r. i posiada raczej wartość archiwalną, bo nie wpłynął bezpośrednio na interesujące nas dzieje medytacji. Pokazuje natomiast, jak w gronie teozofów ceniono sobie praktykę medytacji i związane z nią idee.

Ponad podziałami religijnymi

Towarzystwo Teozoficzne nie było organizacją medytacyjno-centryczną, czyli całkowicie skupiającą się na propagowaniu takiej czy innej drogi medytacji. Sprzyjało jednak jej rozwojowi, łącząc różne tradycje religijne, duchowe i filozoficzne. W jego perspektywie medytacja postrzegana była jako coś istniejącego ponad podziałami religijnymi i łączącego osoby różnych wyznań.

Organizacja przyczyniła się znacznie do popularyzacji medytacji – wiele osób zajmujących się tą praktyką duchową i piszących o niej korzystało z gościny ośrodków należących do TT i publikowało prace w jego wydawnictwach przez cały XX wiek.

Warto też dodać, że teozofowie, pragnący łączyć duchowość i nauki ścisłe, przyczynili się do rozwoju badań nad medytacją i neuronauką, tak dziś popularnych. ©



Idę wysoką boczną nawą. Staram się nie walić butami w marmurową posadzkę ani nie szurać, żeby nie ściągać na siebie niczyjej uwagi. Trochę mi łyso, bo nie wystukałam butów i naniosłam śnieżnego błota.

Plastr miodu Samsona

TEKST KATARZYNA GRONIEC

ILUSTRACJE BLANKA BIERNAT

Od głównego wejścia do mniejszego ołtarza jest tak daleko, że dziś musiałabym włożyć okulary, żeby namierzyć rozmazujące się w półmroku sylwetki. Ale wtedy widzę wyraźnie. Stare kobiety już zasiadły.

Właściwie w większości widzę tylko ich bordowe, fioletowe i czarne głowy w czapkach robionych na drutach, ale są też ze trzy filcowe kapelusze z kokardą. Widzę niektóre wyświecone kołnierze i dwa karakułowe, ale taki widok przysługuje tylko tym, którym udało się wyrosnąć ponad metr sześćdziesiąt. Reszta tonie w ławkach. Najniższym nad oparcie wystają jedynie głowy. Leżą jak na tacy.

Szukam swojej, w chustce ze złotą nitką. Jest. Moja głowa ma dwie chustki, jedną na dzień powszedni i jedną do kościoła. „Chustka" mówi się miękko, bo jest przez „ch". „Jak bedzisz wiedziała, jak mówić, to bedzisz wiedziała, jak pisać". Po Babce od razu widać, że nie jest stąd, nie musi się odzywać. Przyszłam z nią, bo jest stara i przygłucha, a spowiada się u jeszcze starszego i głuchego jak pień, bo u niego nie ma kolejek. U innych trzeba stać i godzinę, u niego zawsze puchy. „Do mnie, do mnie!" – nawoływał z marnym skutkiem, machając fioletową stułą przez okno konfesjonału. Podchodzili tylko ci, co niechcący złapali kontakt wzrokowy i już się nie mogli wywinąć. Reszta w skupieniu kontemplowała gotyckie sklepienie, przyglądała się witrażom albo ubłoconym czubkom wypastowanych butów. Babce nie przeszkadzało, że u niego trudno o tajemnicę spowiedzi. Bo czego ma się wstydzić? Że nikogo nie zabiła?

– Głośniej mówić! – krzyczy.

– Co robić?! – odwrzaskuje Babka zaciągając.

– Głośniej!!

– Aha! – Babka odchrząkuje i podkręca głośność.

Nie wiem, gdzie oczy podziać, jak ona się spowiada, więc celuję tak, żeby ją doprowadzić i dać nogę przed kościół. Policzyć do tysiąca, początkowo dwie liczby na sekundę, w połowie zwolnić do jednej i wytracać tempo liczenia, ale nie jakoś gwałtownie, tylko z wyczuciem, tak jak się uspokaja melodię, żeby miękko dobrnęła do pomyślnego zakończenia, wrócić, odebrać ją sprzed konfesjonału i zabrać do domu. Ale żeby jednak nie przyjść po nią za wcześnie i nie usłyszeć, co i ile razy. Ale też nie za późno, żeby nie zdążyła dołączyć do bab.

Nie zdążyłam.

Dołączyła.

Zaczęły.

Zacznijcie, wargi nasze, chwalić Pannę Świętą...

Babka macha do mnie, że tu siadaj. Poruszenie wśród głów. Rozsuwają się, przesuwają, przegrupowują, przewieszają torebki. Jest, wygospodarowały wąskie miejsce dla mnie. Wciskam się między chustkę ze złotą nitką a filcowy kapelusz bordo. Mój biały pompon kręci się, znika pod ławką, wynurza na powierzchnię, znowu znika, dopóki Babka na mnie nie syknie, żeby prosto siedzieć. Siedzę prosto. Jakby Michał Archanioł się wkurzył i wszystkie teraz ciął mieczem wzdłuż oparcia ławki, to tylko ja bym przeżyła.

Na Jutrznię

Zawitaj, Pani świata, niebieska Królowa,
Witaj, Panno nad panny, gwiazdo porankowa!
Zawitaj, pełna łaski, prześliczna światłości,
Pani, na pomoc świata spiesz się, zbaw nas z złości.
Ciebie Monarcha wieczny od wieków swojemu
Za Matkę obrał Słowu Jednorodzonemu,
Przez które ziemi okrąg i nieba ogniste,
I powietrze, i wody stworzył przezroczyste.
Ciebie, Oblubienicę, przyozdobił sobie,
Bo przestępstwo Adama nie ma prawa w Tobie.

Chucham w futerko zmarzniętych rękawiczek z jednym palcem i szybko wkładam w nie skostniałe dłonie. Zaciskam pięści, bo tak jest cieplej. Pustymi łapkami poklepuję przemarznięte uda w takt wyśpiewywanych słów. Koniuszki palców rozgrzane oddechem przyjemnie mi pulsują ziemią, niebem, powietrzem i przezroczystymi wodami. Zamykam oczy. Płynę niespieszną melodią w spokojnym rytmie bez wstrząsów. Mijam ziemi okrąg i nieba ogniste. Oddycham równo.

Na Prymę

Zawitaj, Panno mądra, domie poświęcony,
Siedmioma kolumnami pięknie ozdobiony.
Od wszelakiej zarazy świata ochroniona,
Pierwej święta w żywocie matki niż zrodzona.

Echo monotonnych głosów unoszone ciepłym powietrzem miesza się z chłodem wysokiego sklepienia. Widzę, jak przenika dach i leci pod kopułę nieba, przenika kopułę nieba i posrebrzone znika w ciemności. Głosy wełnianych czapek i filcowych kapeluszy nie ustają, choć zaraza świata ich nie oszczędza. Mądry dom. Ktoś kiedyś widział mądry dom? Słyszę szelest cicho zdejmowanych butów. I to bynajmniej nie jest Duch Święty.

Tyś matką wszech żyjących, Tyś jest świętych drzwiami,
Nowa gwiazdo z Jakuba, Tyś nad Aniołami.
Ogromna czartu jesteś, w szyku obóz silny,
Bądź chrześcijan ucieczką i port nieomylny.

Oddycham głęboko żywicą egzotycznych drzew. Chustka i kapelusz grzeją mnie z prawej i lewej. Jest mi błogo i chce mi się spać. Czuję, jak przez moje pulsujące od mrozu palce przesypuje się ciepły piasek, jak dwa lata temu na plaży, kiedy jeden chłopak cmoknął mnie w policzek i uciekł, a potem na stołówce udawał, że mnie nie zna. Widzę, jak leci ziarnko po ziarnku. Jedno po drugim pojawia się i znika w złotej godzinie. Słyszę szum skrzydeł Michała Archanioła i mew.

Na Tercję

Witaj, Arko przymierza, tronie Salomona,
Tęczo wszechmocną ręką z pięknych farb złożona.
Tyś krzak Mojżeszów, Boskim ogniem gorejąca,
Tyś różdżka Aaronowa, śliczny kwiat rodząca.

Widzę wielkie ognisko, w którym piekliśmy kartofle jesienią. Czuję, jak goreją mi policzki od słupa ognia, widzę swoje czarne jak święta ziemia ręce od obierania spalonych kartofli. Siedzę w kinie i wiem, że Indiana Jones nigdy nie znajdzie prawdziwej Arki Przymierza. Różdżki Aarona, dekalogu i manny. Chucham w rękawiczki. Ale chcę, żeby nie ustawał w poszukiwaniach. Bo jest piękny i odważny. Musi się zmęczyć szukaniem. Inaczej nie zrozumie.

Bramo rajska zamkniona, runo Gedeona,
Tyś niezwyciężonego plastr miodu Samsona.
Przystało, aby Cię Syn tak zacny od winy
Pierworodnej zachował i zmazy Ewinej,
Który Ciebie za Matkę obierając Sobie,
Chciał, by przywara grzechu nie powstała w Tobie.

Widzę suche runo na wilgotnej ziemi. Widzę wilgotne runo na suchej ziemi. Skoro przywara grzechu mnie nie ominęła, skąd mogłam wiedzieć, że idąc za czymś, co piękne, skończę na manowcach? Skąd mogłam wiedzieć, które piękne znaczy dobre? Chucham, rozgrzewam rękawiczki. Skąd mam wiedzieć, czyj głos słyszę, skoro nawet nie mam runa?



Na Sekstę

Witaj, świątynio Boga w Trójcy Jedynego,
Tyś raj Aniołów, pałac wstydu panieńskiego!
Pociecho utrapionych, ogrodzie wdzięczności,
O palmo cierpliwości, o cedrze czystości!
Ziemia jesteś kapłańska i błogosławiona,
Święta i pierworodną zmazą niedotkniona.
Miasto Pańskie i brama na wschód wystawiona,
Wszelkąś łaską, jedyna Panno, wypełniona.

Zniknął biały pompon, przyszedł czas na czapki o najdziwniejszych kształtach i kolorach. Na ciepłą kominiarkę z daszkiem, komin, przez który dostałam zapalenia uszu, grubą nasuniętą na oczy, a potem odsuniętą jak najdalej od oczu na tył głowy, od której dostałam zapalenia zatok, i znowu nasuniętą na oczy, po której długo noszę ściągacz na czole. Żadnych chustek. Żadnych złotych nitek. Chucham w rękawiczki. Zastanawiam się, czy zdążę stać się Miastem Pańskim, zanim zostanę miastem na zawsze opuszczonym. ↦

↦

Na Nonę

Witaj, miasto ucieczki, wieżo utwierdzona
Dawidowa, basztami i bronią wzmocniona.
Tyś przy Poczęciu ogniem miłości pałała,
Przez Cię władza piekielnych mocarzów stajała.
O mężna białogłowo, Judyt wojująca,
Od niewoli okrutnej lud swój ratująca.
Rachel ożywiciela Egiptu nosiła,
Nam Zbawiciela świata Maryja powiła.

Bezradnie patrzę, jak wchodzą i wychodzą. Jak drobne świństwa rujnują im życie. Jak się kochają i przestają kochać. Jak rodzą się i umierają. Jak czekają na cud i ten cud nie przychodzi, albo przychodzi, ale to nie jest ten cud. Jak bardzo chcą żyć i nie żyć równocześnie, jak znajdują i nie chcą oddać, jak gubią i nie mogą znaleźć. My. To znaczy ja. Chucham w rękawiczki. Ratuj z niewoli, o miasto ucieczki, o Judyt wojująca.

Na Nieszpory

Witaj, światło z Gabaon, coś zwycięstwo dało,
Z Ciebie Słowo przedwieczne w ciało się przybrało.
Aby człowiek z padołu powstał wywyższony,
Niewiele od Aniołów jest on umniejszony.
Słońca tego promieńmi Maryja jaśnieje,
W poczęciu swym, jak złota zorza, światłem sieje.
Między cierniem lilija kruszy łeb smokowi,
Piękna jak w pełni księżyc, świeci człowiekowi.

Widzę, jak Słowo staje się Ciałem i zatrzymuje wielki czas mierzony eonami. Mały czas płynie jak płynął, dlatego żal mi wełnianych czapek, filcowych kapeluszy, chustek ze złotą nitką i białych pomponów. Nic nowego pod słońcem. Miałeś rację i nie miałeś, że wszystko jest ulotne, bo skoro lilija kruszy łeb smokowi, to jednak zmierzamy ku światłu, Kohelecie.

Na Kompletę

Witaj, Matko szlachetna, w panieńskiej czystości
Gwiazdami uwieńczona, Pani łaskawości.
Niepokalana, czystsza niźli Aniołowie,
Po prawej stronie Króla stoisz w złotogłowie.
O Rodzicielko łaski, nadziejo grzeszących,
O jasna gwiazdo morska, o porcie tonących.
Bramo rajska, niemocnych zdrowie w Twej obronie,
Niech Boga oglądamy na górnym Syjonie.

Wjeżdżam na oświetlony parking cały w pośniegowej brei. Widzę, że stoi w marznącym deszczu jak statek na redzie. Okręca się wokół własnej osi, bo czekanie jest długie i żmudne, a prądy silne i niestrudzone. Patrzę na niego spod cieknącej po szybach wody. Ciąży mi jego kotwica i ciężkie łańcuchy. Dawno zgubiłam rękawiczki, więc tylko zamykam oczy i zanim wysiądę, przeliczam morskie ryby i nadmorskie ptaki. Widzę, jak ryby chcą zawołać i nie potrafią. Słyszę, jak mewy krzyczą i nie mogą przestać. Płyną lata. Płynę w lata. Oddycham równo. Szukam dwóch złotych za przypilnowanie samochodu. O, porcie tonących.



Antyfona

Tać to różdżka, w której ani pierworodnej, ani uczynkowej winy skaza nie postała.

– Babciu, tam w kilku miejscach źle śpiewasz.

– A gdzież ja źle śpiewam?

– No, teraz to tak od razu nie wiem, bo już zapomniałam, no, ale źle się nauczyłaś i tak śpiewasz źle.

– Uuu, jaka ty mądra, ojojoj. A jak co do czegu, to powiedzić nie potrafisz, gdzie niby z mojij strony źle było.

Biegnę i ślizgam się po długiej zamarzniętej kałuży. Czekam, aż Babka ostrożnie doczłapie na sztywnych nogach.

Nie mogę sobie przypomnieć, co było źle.

Biorę rozbieg.

A wołanie nasze niech do Ciebie przyjdzie.

Amen.

© KATARZYNA GRONIEC

GODZINKI O NIEPOKALANYM POCZĘCIU NMP, śpiewane przed poranną mszą, to jedno z niewielu nabożeństw, które przetrwało w pobożności ludowej poza oficjalną liturgią Kościoła. Jego historia sięga średniowiecza, choć aktualna wersja pochodzi z końca XIX w. Polskie tłumaczenie oparte jest na Biblii Jakuba Wujka, z której pochodzą najbardziej poetyckie metafory maryjne – dzięki Godzinkom wciąż żywe w naszym języku.

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”



fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem. I o nią głównie staramy się dbać. Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy za publikowane tu treści i nikt poza Wami, Czytelnikami, nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki

Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.

Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.

Zamów lub przedłuż prenumeratę i odbierz nawet

- **4 numery „Tygodnika Powszechnego” za darmo**
- **oraz dostęp do cyfrowego wydania W PREZENCIE***



KODY RABATOWE:

InPost	Roczna	~~cena 686 zł~~ **nowa cena 621 zł** z kodem: **4gr25** --> **4 numery w prezencie**
	Półroczna	~~cena 366 zł~~ **nowa cena 333 zł** z kodem: **2gr25** --> **2 numery w prezencie**

Zamówienia prenumeraty z dostawą przez paczkomat InPost można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	~~cena 687 zł~~ **nowa cena 622 zł** z kodem: **4gr25p** --> **4 numery w prezencie**
	Półroczna	~~cena 367 zł~~ **nowa cena 334 zł** z kodem: **2gr25p** --> **2 numery w prezencie**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

PRENUMERATĘ MOŻNA ZAMÓWIĆ NAWET DO LUTEGO 2026 r.

„Tygodnik Powszechny”,
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00),
adres e-mail w sprawie prenumeraty:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

**ABY GO AKTYWOWAĆ:*

- *Zamów i opłać prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Jeśli nie masz konta, załóż je w serwisie internetowym „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Z adresu e-mail przypisanego do konta wyślij wiadomość na **bok@TygodnikPowszechny.pl** z tematem: „Dostęp do serwisu TP w prezencie”, a w treści podaj adres pocztowy, na który zamówiono i opłacono prenumeratę.*

Po spełnieniu powyższych warunków dostęp zostanie przyznany w ciągu 14 dni.

Razem tworzymy „Tygodnik”

ZUZANNA

Radzik:
Duchowość młodej matki



Używane prane raz, nowe trzy, wszystko prasowane. Tak mówią, więc w poprzednim adwencie oddawałam się tym zajęciom związanym z oczekiwaniem na dziecko. Prałam i prasowałam więc mikrośpioszki, kombinezony, bodziaki. Patrzyłam z niedowierzaniem na ich rozmiar i szlag mnie trafiał trochę przy tym żelazku, a trochę się wzruszałam. Kiedy zaś odpalona została akcja „niemowlę" i ruszył kołowrót prania, zaczęło mi być wszystko jedno: nigdy nie sięgnęłam znowu po żelazko.

Wtedy jednak było w tej krzątaninie typowe dla oczekiwania zajmowanie rąk. W końcu w niecierpliwości szukamy jakiegoś bezmyślnego zajęcia, bo myśli i tak są gdzie indziej. Tym była ta ubraniowa krzątanina, tym było pakowanie szpitalnej walizki, w której znalazło się mnóstwo niepotrzebnych rzeczy. W końcu niby wiedziałam, ale jednocześnie nie miałam pojęcia, czego się spodziewać.

Ciekawe, że Maryję, matkę Jezusa, oglądamy i rozważamy w Kościele od tylu stron, ale jakoś niewiele uwagi poświęcamy jej dziewięciomiesięcznej ciąży. Zanim głęboko ciężarna wybierze się do Betlejem, jej stan nam umyka. Nie są ważne wszystkie jego niepewności. W każdym razie w Ewangeliach, gdy już rozstrzygnęła się sprawa z Józefem, gdy już odwiedziła kuzynkę Elżbietę, ciąża Maryi przestaje być tematem. A przecież jak każda musiała być stanem granicznym, z niejasnym końcem, oby szczęśliwym, ale wciąż niepewnym.

W tamtym adwencie czułam się zsynchronizowana z jej czekaniem. W moich lękach, mimo współczesnego monitoringu, podejrzewałam jej niepewność. To, że tka się w tobie życie, jest wstrząsające, ale też przerażające. Na tym etapie już je widać i czuć, pcha cię w objęcia drzemek, przydusza, ciśnie w kręgosłup. Ale powodzenie tego, na co się czeka, wciąż nie jest pewne.

Czy na tym etapie swojego czekania ona też miała taką mgłę w głowie, że trudno było jej myśleć? Też czuła, że przejęło ją zwierzę, które wie, jak ma prowadzić przez ten czas, którego instynkty są trafne, które każe skapitulować i poddać się ciału? Dla kogoś, kto, jak ja, zwykle bardziej jest w głowie, ta przyćmiona końcówka ciąży była pułapką. Jeszcze tyle chciałam z wyprzedzeniem przygotować, uporządkować, napisać.

Czy Maryi też by to przeszkadzało, czy raczej była twardo stąpającą po ziemi dziewczyną, bliską życia, więc zdającą sobie sprawę z tego, jak wygląda ciąża? W końcu wtedy był to stan naturalny otaczających ją kobiet: płodnościowy kołowrót, porody w skromnych domach, z innymi kobietami. Pot, krew, znój, czasem śmierć.

Zatem przed rokiem adwent zrobił mi się niejako sam. Nawet finał był jak trzeba, bo przypadkiem wypadło, że w wigilię skręcaliśmy kołyskę. A teraz? Teraz otworzyłam rozdział „duchowość matek", inna niż ta, która w zupełnej niezależności mogła pomaszerować na roraty. Inna, niż gdy mogłam w adwencie fundować sobie dodatkowe lektury o prorokach. Rozdział duchowości prostej i pakownej, do upchnięcia w jakąś wolną chwilę, raczej wieczorem niż rano. Jeszcze nie wiem jakiej, bo wciąż tej chwili brak.

Nawet zasubskrybowałam adwentową usługę: wpada do skrzynki, ale nie czytam. Szybko zrozumiałam, że wolę chyba wypuścić myśli i modlitwę w ciemność grudniowego poranka lub wieczoru, szukać sama w sobie. Gdzie to jest? Gdzie trzeba zaprosić tego bliskiego Boga, co się narodzi? Albo gdzie zaprosić tego z paruzji, który przyjdzie ponownie, w triumfie, dokończyć dzieła, zaprowadzić swoje Królestwo? Czego miałby dotknąć i co przemienić, zarówno intymnie, jak i kosmicznie?

Na wszystkie niedole ludzkości i na pytania, gdzie jest Bóg, Bóg odpowiedział niemowlakiem. Strasznie to jednak dziwne.

Jako rodząca teolożka nie mogłam powstrzymać uderzenia tej myśli. Którejś szpitalnej nocy, pewnie pierwszej, krótko po tym, jak przekonywałam pielęgniarki, że to nieodpowiedzialne dawać mi dziecko do ręki. Wstrząsnęła mną właśnie myśl, że Bóg się rodzi właśnie taki. Spokojnie: nie przeoczyłam wszystkich szopek świata, żłobków na pocztówkach, figurek na sianie. Może za mało noworodków w życiu widziałam, by wstrząsnęła mną aż tak wcześniej.

Teraz jednak myśl, że Bóg był taki jak ta bezradna kluska w moich ramionach, była porażająca. Też kwękliwie i nieco po omacku szukał cycka? Też robił te miny kosmity? Bóg jako bezradny noworodek, jak ten w moich ramionach, nie jakiś mocniejszy, bardziej sprawny, nie mniej zależny albo nie tak kruchy? Żadnych dodatkowych super powers? Dziwne, a na tej dziwności stoi to, w co wierzymy.

Słaby Bóg, rodzący się, by z mocą dotknąć naszego bólu i słabości. Urodzić się przy nim. W nim. Gdzie to jest, ten ból i słabość, ta część potrzebująca uzdrowienia? Gdzie mu szykujesz żłóbek, w której jaskini siebie, w jakim ciemnym kącie rzeczywistości? ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

O. WACŁAW

Oszajca: *Dzisiejszość*



Adwentowa liturgia dzieje się jednocześnie w czasie przeszłym, teraźniejszym, przyszłym i zaprzeszłym. Wspominamy przeszłość, żyjąc w dzisiejszości, i stajemy na progu tego, jak to napisano „czego oko nie widziało ani ucho nie słyszało, w serce człowieka nie wstąpiło, to przygotował Bóg tym, którzy Go miłują". Dlatego trudno Adwent sprowadzić do oczekiwania na powtórne przyjście Chrystusa, gdy takie czekanie może się okazać marnowaniem czasu i sprzeniewierzaniem się Bogu. Nie żyjemy przecież w jakimś jałowym, przejściowym okresie dziejów ziemi i nieba, ale w czasach pełnych Boga. Natomiast czekając na lepsze czasy, można popaść w niedoczas, co grozi, jak to bywa w szachach, że skończy się nam limit tego czasu, jaki jest nam przyznany na grę zwaną życiem. Dlatego prorok Izajasz radzi: „Mówcie małodusznym: Bądźcie mężni! Nie bójcie się! Oto wasz Bóg! Nadchodzi odpłata, Boża nagroda. On sam przybędzie i was wybawi. (...) Odkupieni przez Pana powrócą (...) Wieczna radość zagości na ich twarzach. Ogarnie ich szczęście i radość, a udręka i smutek ulecą daleko".

Chciałoby się powiedzieć, i tak się często mówi, że to i inne proroctwa już się wypełniły „w Chrystusie". I tak, i nie, Jezus przecież mówi: „Z całą mocą zapewniam was: Kto wierzy we Mnie, będzie dokonywał takich samych dzieł, jakie Ja czynię, a nawet dokona większych od nich, ponieważ Ja odchodzę do Ojca". To nie znaczy, że nas opuszcza, skoro sakramenty są znakami Jego nieustannej obecności. Marnując tę niby mniej ważną doczesność, marnujemy wieczność. Marnując ziemię, marnujemy niebo.

Chrześcijanie zatem nie szukają Boga poza światem, ale odnajdują Go w świecie. W wierszu „Rodzi się Bóg" Davida Herberta Lawrence'a (w tłumaczeniu Leszka Elektorowicza) czytamy: „Historia kosmosu / jest historią stawania się w męce. / Gdy mglisty przepływ bezkształtnego życia (...) rozłamał się w końcu na ciemność i światłość (...) zadrżał wówczas z rozkoszy każdy atom kosmosu. / Patrz, rodzi się Bóg! (...) A gdy wreszcie człowiek stanął na dwu nogach i zadziwił się, / wtedy cisza zaległa w jądrze elektronu każdego: / Patrz, rodzi się Bóg prawdziwy! / / Sam Bóg się rodzi! // Widzimy więc, Bóg wtedy jest, / kiedy się rodzi. / Widzimy też, / że nie ma końca urodzinom Boga". ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Adwent*



W pierwszy piątek Adwentu pierwsze czytanie mszalne wzięte z proroka Izajasza: „W ów dzień głusi usłyszą słowa księgi, a oczy niewidomych, wolne od mroku i od ciemności, będą widziały" (Iz 29, 18). Słowa, które doskonale pokazują, o co chodzi w tym okresie liturgicznym. Mówimy bowiem z przyzwyczajenia: „Adwent – przyjście Pana". Tak jakby Pana wokół nie było...

Z drugiej jednak strony Pan jest na wiele sposobów obecny. Problemem jest brak działania naszych receptorów. Przede wszystkim jest Księga. Ale nasze uszy jej nie słyszą. Pismo leży u każdego w domu na półce. Nieraz nawet to półka jakoś się wyróżniająca. Czy nasze uszy skierowane są w jego kierunku? W jakiej postawie? Uległości? Choćby nawet wątpliwości, sprzeciwu czy buntu? Czy jego obecność wymusza w nas postawę słuchania? A nawet jeśli nie mamy jej w domu, to przecież raz po raz widzimy Księgę w kościele: wnoszoną w uroczystej procesji, eksponowaną przy ołtarzu. Przyjmujemy nią błogosławieństwo... Ale czy słyszymy, gdy jest odczytywana?

Podobnie jest ze wzrokiem. Pan wokół nas jest i działa. Można Go zobaczyć choćby w Eucharystii. Kłopotem jest nasz wzrok – Izajasz mówi, że zniewolony mrokiem i ciemnością. Tak. Czasami nie widzimy niczego poza mrokiem i ciemnością... Gdybyśmy widzieli, w jaki sposób by nas to zmieniało? Stawalibyśmy się powoli „jak chleb"? Czy jednak wolelibyśmy dalej twardnieć, by być „jak kamień"? Wtedy bardzo potrzebujemy Adwentu jako łaski wyzwolenia i uzdrowienia wzroku.

Najmocniej to dochodzi do głosu w ostatnim zdaniu Izajaszowej perykopy: „[wtedy] szemrzący (dosł.) przyjmują pouczenie". Tak tłumaczy to zdanie Biblia Jerozolimska (w polskim lekcjonarzu mamy „otrzymają"; ale w hebrajskim tekście występuje tu słowo lamad, co się tłumaczy: być poruszonym, pouczonym, sprowokowanym). To wielka obietnica. Nic bowiem nie przeszkadza nam bardziej w przyjęciu Słowa jak szemranina. Szemrzemy, bo jesteśmy „święcie oburzeni"; bo mamy „rację"; bo nic nam się nie podoba (ale też nic konkretnego nie zamierzamy z tym robić). Pan – mówi Izajasz – potrafi przebić się ze swym Słowem nawet przez naszą szemraninę. Jest w stanie sprawić, że wbrew naszej „nieomylności" i zarozumiałości przyjmiemy pouczenie. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.



STEVE PARSONS / PA / GETTY IMAGES

ROZWAŻNA ROMANTYCZKA

Urodziła się 250 lat temu: Jane Austen, portrecistka XIX-wiecznej Anglii. Wciąż ma wiernych wielbicieli, a jej książki o miłości i powstałe w oparciu o nie filmy cieszą się stałą popularnością.

PIOTR HAPANOWICZ

Pochodziła z prowincji, przynajmniej z punktu widzenia londyńskiej socjety. Urodziła się 16 grudnia 1775 r. w wiosce Steventon (hrabstwo Hampshire, południowa Anglia). Dziś Steventon liczy niespełna dwieście dusz – wtedy było to pewnie niewiele więcej.

Rodziców miała troskliwych i otwartych. Ojciec, George, duchowny Kościoła anglikańskiego, był dobrze wykształcony, studiował w St. John's College w Oxfordzie. Miał pod opieką Steventon i pobliską wieś Deane. Matka, Cassandra z domu Leigh, mogła pochwalić się pochodzeniem od jednego z założycieli uniwersytetu w Oxfordzie. Rodziny ojca i matki Jane były stare, dobrze skoligacone. Przyszła pisarka miała liczne rodzeństwo: sześciu braci i siostrę Cassandrę.

WIEJSKIE ŻYCIE | Jane i Cassandra pobierały nauki głównie w domu. Tylko przez krótki czas (w roku 1783) kształciły się poza nim: w Southampton i prywatnej szkole w Reading (w latach 1785-86). W domu uczyły się zwłaszcza rysunku, śpiewu, gry na pianoforte i innych umiejętności potrzebnych młodej damie. Ale że dochód Austenów nie był wysoki (niewiele ponad 600 funtów rocznie), nie miały szans na wysoki posag – to zmniejszało ich perspektywę tzw. dobrego zamążpójścia.

Odkąd nauczyła się czytać, Jane korzystała z zasobnej biblioteki ojca, namiętnie poznawała i dzieła klasyczne, i popularne powieści. Ojciec dostrzegał zainteresowania córki i zachęcał ją – także do pisania.



„Austenmania" – fascynacja twórczością i postacią Jane Austen – przybiera różne formy: jej wielbicielki w strojach z epoki prezentują 10-funtowy banknot, wydany właśnie z podobizną Austen. W tle katedra w Winchesterze, gdzie pisarka została pochowana. Lipiec 2017 r.

W 1800 r. wielebny Austen przeszedł na emeryturę i wraz z rodziną przeniósł się do Bath, kurortu, do którego w sezonie zjeżdżało się tzw. towarzystwo. Ale już pięć lat później ojciec zmarł, a w następnym roku rodzina wyprowadziła się z Bath do Clifton, by ostatecznie osiąść w Southampton.

Jednak Jane najlepiej czuła się w ciszy i spokoju sielskiego wiejskiego życia. Dzięki pomocy starszego brata Edwarda, wraz z siostrą i matką zamieszkały w 1809 r. w należącej do niego posiadłości Chawton Cottage – wracając tym samym do ukochanego hrabstwa Hampshire.

PEWNA DAMA | Pierwsze próby pisarskie podjęła wcześnie, a powrót w rodzinne strony dobrze wpłynął na jej samopoczucie i twórczość. Wprowadziła poprawki do swej pierwszej powieści „Rozważna i romantyczna" (ang. „Sense and Sensibility"). Jej wstępną wersję, pod tytułem „Elinor and Marianne", zaczęła w wieku 19 lat, a finalizowała pod koniec XVIII w. Ostatecznie ukazała się ona drukiem w 1811 r., a pozytywny odzew i zarobek (140 funtów) motywował do dalszego pisania.

Tyle tylko, że autorka występowała *incognito*. „Rozważna i romantyczna" wydana została jako dzieło „pewnej damy". Za życia Jane ani jedna z jej powieści nie ukazała się pod jej nazwiskiem.

Bycie pisarką nie należało wówczas do zajęć nobilitujących damę. Prócz najbliższej rodziny nikt nie wiedział, czym Jane się zajmuje. Podobno nawet służba nie miała o tym pojęcia. Tworząc swoje prace literackie, stosowała różne fortele, np. pisała na pojedynczych kartkach, mogących udawać listy. W domu w Chawton pomagały jej skrzypiące drzwi, które ostrzegały przed gośćmi.

Nie oznacza to jednak, że po sukcesie jej powieści udało się utrzymać sekret. Podobno jej dumni bracia, słysząc pochlebne opinie w towarzystwie, chętnie wyjawiali tajemnicę autorstwa książek siostry. Twórczość Jane Austen dotarła nawet do pałacu królewskiego – wielbicielem jej twórczości był książę regent, późniejszy król Jerzy IV Hanowerski.

KOBIETA EPOKI | W swoich powieściach Jane Austen opisywała życie codzienne i obyczajowość angielskiej klasy wyższej i średniej, najczęściej ziemiaństwa epoki regencji z początku XIX w. Mamy tu opisy realistyczne, z trafną obserwacją psychologiczną, często eksponujące wady ówczesnego społeczeństwa. Wszystko to rozgrywa się zwykle w scenerii krajobrazów hrabstwa Hampshire, z jego rozległymi pastwiskami i wysokimi żywopłotami.

Centralny temat wszystkich powieści Jane to miłość i małżeństwo. Ich fabuła zwykle dotyczy zamążpójścia i związanych z tym problemów społecznych. Zresztą sama Jane, choć miała adoratorów, nigdy nie wyszła za mąż.

Rola kobiety sprowadzała się wówczas w pierwszej kolejności do zdobycia męża, który zapewni byt rodzinie. W drugiej – do poznania wiedzy związanej z prowadzeniem domu. Jane była rozdarta: nie chciała pogodzić się z rolą, jaką przewidziało dla niej społeczeństwo, ale wiedziała, że niełatwo jest wyjść poza jej ramy. W powieściach daje temu wyraz, nawet jeśli postawy ich bohaterek trudno nazwać buntem. Przedstawia świat, który zna. Czasem w opisie łatwo odnaleźć cechy autorki.

DWIE SIOSTRY | Zarówno w swej pierwszej powieści, jak i w całym swoim życiu Jane Austen starała się godzić rozsądek z sercem, powinności panny z dobrego domu z własnymi aspiracjami. Tego samego życzyła swoim bohaterkom.

Siostry Eleonora i Marianna Dashwood z „Rozważnej i romantycznej" stanowiły dość wierne odbicie pisarki i jej ukochanej siostry Cassandry. Łączył je podstawowy problem: brak koneksji i posagu. Matka powieściowych sióstr po śmierci męża musi opuścić ukochany dom i zamieszkać z dziećmi w dużo skromniejszej posiadłości.

Jej córki, choć nie posiadają posagu, miałyby wiele do zaoferowania przyszłym mężom. Jednak miłość, wierność i oddanie to za mało, by wyjść za mąż. Siostry przez jakiś czas żywią nadzieje na poprawę losu, ale spotyka je towarzyskie odrzucenie.

Na braku posagu podobieństwa bohaterek powieści do siebie się kończą. Eleonora Dashwood wykazuje się spokojem ducha, inteligencją i rozwagą w najtrudniejszych sytuacjach, a Marianna ma charakter bardziej romantyczny i uczuciowy.

Austen nie krytykuje żadnej z nich. Czytelnik podziwia Eleonorę za rozsądek i opanowanie, ale musi przyznać, że brakuje jej dojrzałości emocjonalnej. To samo dotyczy Marianny, która urzeka swoim romantycznym charakterem, ale musi nauczyć się panować nad uczuciami.

UROCZA POSTAĆ | Krytycy (i krytyczki) pisali potem, że autorka potrafiła znakomicie oddać zakamarki i dylematy kobiecej duszy. Anna Przedpełska-Trzeciakowska, tłumaczka dzieł Austen i jej biografka, stwierdzała: „Myślę, że za każdą z jej bohaterek stoi to pytanie: rozważna czy romantyczna? Te przeciwstawne postawy bardzo wyraźnie przedstawiają wartości. Rozważna zwycięża. Romantyczna musi zracjonalizować swoje uczucia".

Perypetie postaci z powieści Austen, głównie kobiet, prowadzą z reguły do osiągnięcia dojrzałości psychicznej – tak jest nie tylko w powieści „Rozważna ↦



MATERIAŁY PRASOWE X2

Anya Taylor-Joy i Johnny Flynn w filmie „Emma", reż. Autumn de Wilde, 2020 r.



„Duma i uprzedzenie" w reżyserii Joego Wrighta, 2005 r.

↦ i romantyczna", ale także w kolejnych: „Duma i uprzedzenie" (1813), „Mansfield Park" (1814), „Emma" (1816), „Perswazje" (1818), „Opactwo Northanger" (1818).

Najbardziej znaną pozycją autorki pozostaje chyba powieść „Duma i uprzedzenie" (ang. „Pride and Prejudice"). To historia o miłości, przyjaźni i skomplikowanych relacjach międzyludzkich. Fabuła opowiada o losach Elizabeth Bennet, która zakochuje się w niejakim panu Darcym – bogatym arystokracie o nieco wątpliwej reputacji.

To właśnie Liz Bennet była ulubioną postacią pisarki. Notowała o niej: „Muszę wyznać, że uważam ją za najbardziej uroczą postać, jaka się kiedykolwiek ukazała w druku, i nie wiem, czy mogłabym znieść kogoś, komu by się nie podobała".

OSTATNIE LATA | Jak już powiedziano, Jane Austen nigdy nie wyszła za mąż. Miała świadomość, że to pisanie jest jej powołaniem. Wszystkie znane jej zamężne kobiety, niezależnie od statusu materialnego, były tak zajęte prowadzeniem domu, rodzeniem i wychowywaniem dzieci, że nie miałyby czasu ani energii na twórczą pracę.

Dla Jane oznaczałoby to zatem pożegnanie się z pisaniem. Miała kochającą rodzinę i swój własny literacki świat. To zapewne była jej wersja spełnienia.

Co do rodziny: Jane i Cassandrę, również niezamężną, łączyła szczególnie bliska przyjaźń, do końca życia mieszkały razem. Większość ich braci założyła własne rodziny, Jane bardzo lubiła swoje bratanice i bratanków. Często jeździła w odwiedziny do ich rodzin, a także do przyjaciół.

Z zachowanej rodzinnej korespondencji wyłania się obraz Austenów jako ludzi otaczających się wzajemnie troską, miłością i szacunkiem. Razem cieszyli się z sukcesów, mogli też na siebie liczyć w razie trudności życiowych.

Z początkiem 1816 r. Jane poczuła się źle. Prawdopodobnie ujawniła się u niej choroba Addisona, niedoczynność kory nadnerczy (to przypuszczenie jej biografów). Przeprowadzka wraz z siostrą do Winchesteru nie pomogła. Zmarła 18 lipca 1817 r., w wieku 41 lat. Spoczęła w katedrze w Winchesterze.

Po jej śmierci Henry, jej starszy brat, oddał do druku rękopisy dwóch powieści: „Perswazje" i „Opactwo Northanger". Były to pierwsze jej prace, które wydano pod jej nazwiskiem.

DZIEDZICTWO | Wzrost zainteresowania spuścizną literacką Jane Austen nastąpił w Wielkiej Brytanii w okresie późnowiktoriańskim, jak określa się ostatnie trzy dekady XIX w. (końcówka panowania królowej Wiktorii, zmarłej w 1901 r.). Wiadomo, że jej książki czytali i doceniali m.in. Virginia Woolf, Rudyard Kipling czy Winston Churchill. Uważa się, że utorowała ona drogę do późniejszej powieści realistycznej i psychologicznej.

Dynamiczna fabuła, miłosne historie pełne zwrotów akcji, humor, świetne dialogi, ciekawie naszkicowane postacie, wrażliwość psychologiczna – wszystko to sprawia, że mimo upływu ponad 200 lat powieści Austen nadal znajdują nie tylko liczne czytelniczki i czytelników, ale wręcz wielbicieli. Dlatego wciąż są wznawiane i tłumaczone. Również ona sama budzi zainteresowanie: powstają biografie, filmy, seriale telewizyjne i powieści związane z jej życiem bądź inspirowane jej twórczością. Można powiedzieć, że problemy, które opisywała, są ponadczasowe. Kobiety wciąż stoją przed życiowymi wyborami, przeżywają podobne emocje.

AUSTENMANIA | W latach 90. XX w. twórczość Jane Austen doczekała się licznych adaptacji filmowych i telewizyjnych. W 1995 r. do kin trafiła ekranizacja „Rozważnej i romantycznej" w reżyserii Anga Lee, gdzie w rolę sióstr wcieliły się Emma Thompson i Kate Winslet. Dekadę później powstała zaś znakomita adaptacja powieści „Duma i uprzedzenie" w reżyserii Joego Wrighta, gdzie Keira Knightley występuje jako Elizabeth Bennet, a Matthew Macfadyen jako Darcy.

Wydaje się, że właśnie te dwa filmy przyczyniły się do niespotykanego wzrostu zainteresowania książkami i postacią Jane Austen. Ukuto nawet pojęcie „austenmania" – oznaczające fascynację o wymiarze globalnym. Corocznie organizowane są festiwale, działają liczne towarzystwa jej poświęcone. Jest też wiele stron internetowych i profili społecznościowych związanych z pisarką sprzed dwóch stuleci. © PIOTR HAPANOWICZ



Pani Ania, emerytowana nauczycielka-bibliotekarz z Podlasia, od wielu lat opiekuje się niepełnosprawnym synem Adamem. Adam porusza się na wózku, mówi z trudem, ale nie traci pogody ducha – wszyscy go lubią.

Lata opieki odbiły się na zdrowiu Pani Ani. **Dwa lata temu usłyszała diagnozę: choroba nowotworowa.** Podczas leczenia potrzebowała miejsca, gdzie ktoś zajmie się Adamem. Wszędzie kazano jej czekać miesiącami. Dopiero w **Hospicjum Proroka Eliasza** znalazła natychmiastową pomoc – Adam został otoczony troską lekarzy, sanitariuszek i wolontariuszy, a mama mogła przejść operację.

Dziś Pani Ania znów walczy o zdrowie. Prosi tylko o kilka tygodni opieki zastępczej dla syna, by przejść poważną operację i dalej być przy Adasiu.

W Święta zrób prezent dla opiekunów przewlekle chorych członków rodzin.

50 zł - to 2 godziny opieki

100 zł - to 4 godziny opieki

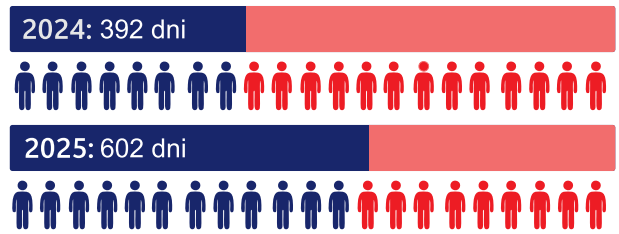
150 zł - to 6 godzin opieki

Dlaczego prosimy Cię o pomoc?

Jako **Hospicjum Proroka Eliasza zbieramy środki na opiekę zastępczą** – po to, by ci, którzy dźwigają ciężar opieki nad przewlekle chorymi członkami rodziny, nie zostali z tym sami.

W czasie tej opieki chory trafia do naszego hospicjum. Nasi pracownicy przejmują obowiązki opiekuna – myją, karmią, przewijają, czuwają. To daje opiekunowi dzień, dwa lub tydzień wolnego od opieki. **Dla kogoś, kto od dawna nie miał ani jednego takiego dnia – to ogromna ulga.**

Tyle dni opieki zastępczej już otrzymali nasi potrzebujący:



Nadal jednak kolejka oczekujących na opiekę zastępczą dla ciężko chorych członków rodzin jest długa.

Aby podarować to, co najcenniejsze – czas i odpoczynek dla opiekunów przewlekle chorych bliskich, wystarczy wybrać najwygodniejszą formę pomocy:

Przelew bankowy lub na poczcie:

Fundacja Hospicjum Proroka Eliasza

ING Bank Śląski:

81 1050 1953 1000 0090 3150 6141

Tytułem: **DAROWIZNA OPIEKA**

Lub wpłata online poprzez naszą stronę **www.hospicjumeliasz.pl/swieta**

REKLAMA



NIEDŹWIEDŹ PO PRZEJŚCIACH

PIOTR PARZYMIES, BIOLOG I POPULARYZATOR:

Pandy wyewoluowały w Europie, Azję skolonizowały później. W epoce lodowej mogło żyć sto tysięcy osobników. Dzisiaj niespełna dwa tysiące, otoczone opieką władz, mają się coraz lepiej.

ŁUKASZ SAKOWSKI: Najbardziej zaskakujący fakt o pandach?

PIOTR PARZYMIES: Jeszcze w latach 90. ich sytuacja w niewoli nie wyglądała najlepiej, notorycznie obserwowano problemy z rozrodem u dorosłych i przeżywalnością młodych. Stosowano w związku z tym kontrowersyjne rozwiązania, jak podawanie im viagry czy prywatne seanse filmów przedstawiających kopulujące pandy. Sytuację udało się poprawić, ponieważ wzrosła nasza wiedza na ich temat.

Wydałeś niedawno „Historię pandy wielkiej, czyli z bambusowego lasu na dyplomatyczne salony". Skąd pomysł, aby zajmować się pandami? To dla nas dość odległe zwierzęta.

Zaczęło się od zmian w moim życiu prywatnym. W 2023 r. szykowaliśmy się z Jing, Chinką, obecnie moją żoną, do naszej pierwszej podróży do Chin. W planach mieliśmy m.in. Chengdu w prowincji Syczuan. Nazywa się ją stolicą pand. Na wolności żyje 1900 osobników – z czego w Syczuan 1400. W Chengdu podobiznę pandy spotkasz na każdym kroku. Tamtejszy Ośrodek Badań nad Rozrodem Pandy Wielkiej odwiedza rocznie ponad 10 mln turystów.

Przed podróżą do Chin postanowiłem kupić książkę o chińskiej faunie. Wpadła mi w ręce praca amerykańskiej historyczki E. Eleny Songster z Saint Mary's College of California pod tytułem „Panda Nation" (Naród pand) pokazująca, jak bardzo niedawno zwierzę to stało się jednym z najważniejszych symboli Chińskiej Republiki Ludowej. Wtedy pojawiła mi się w głowie myśl, by napisać coś w tym stylu na polski rynek. Zebrałem więcej książek, większość była bardzo wartościowa, ale żadna nie przedstawiała problemu w przekrojowy sposób, więc uznałem, że podejmę się tego zadania. Wiedziałem, że trzeba opisać pandę jako zwierzę, ale także symbol Chin i narzędzie dyplomatyczne. Uczyłem się w tamtym czasie chińskiego, a dzięki pomocy żony udało mi się skorzystać z wielu źródeł chińskich. Pierwsza część książki jest biologiczna. Jednak od lat 50. XX w. znaczenie pand przesunęło się w stronę polityki i dyplomacji, więc część drugą nazwałem „Pandą polityczną".

Ok. 6-8-miesięczna panda wielka w Syczuanie. Większość osobników zamieszkuje tę chińską prowincję.

A jakie masz osobiste doświadczenia z tymi zwierzętami?

Naukowo nigdy się nimi nie zajmowałem, choć od zawsze je lubiłem. Ich badania na wolności to domena Chińczyków. Jestem biologiem, ale pisanie „Historii pandy wielkiej" przypominało raczej działalność historyka.

Pierwszy raz zobaczyłem pandę w ogrodzie zoologicznym w Berlinie, miałem wtedy jakieś 15 lat. Nigdy nie dotykałem tych zwierząt ani nie widziałem ich na wolności. To niezwykle trudne. Raz natrafiłem na ślady jej obecności w Wolong. Pandy są bardzo skryte, nieśmiałe i leniwe. W ciągu dnia pokonują raptem ok. 400 metrów.

Książkę zaczynasz od ewolucji pand.

Ponieważ zaplanowałem ją jako „biografię gatunku". Pierwsze, prehistoryczne pandy nie zasiedlały Azji, a Europę. To właśnie na stanowiskach w Hiszpanii, Bułgarii, Węgrzech czy Niemczech spotyka się szczątki tych pradawnych zwierząt, o czym Chińczycy do niedawna w ogóle nie chcieli słyszeć. Najwcześniejszą euroazjatycką pandą jest datowany na 11-12 mln lat temu gatunek *Kretzoiarctos beatrix*. Obecnie badacze uważają, że któraś z tych prehistorycznych pand wyemigrowała do Azji, gdzie doszło do powstania rodzaju *Ailurarctos*, a następnie – *Ailuropoda*. Jego jedynym żyjącym przedstawicielem jest właśnie panda wielka. Co ciekawe, jeszcze w epoce lodowej zasięg pandy wielkiej lub jej bezpośredniego przodka był o wiele bardziej rozległy, rozciągał się od obszarów obecnego Pekinu na północy aż do obecnego Laosu, Wietnamu czy Kambodży. Wtedy pand mogło żyć nawet sto tysięcy.

Gdzie dzikie pandy wielkie żyją dzisiaj?

Spotkamy je jedynie w sześciu łańcuchach górskich w trzech chińskich prowincjach: w Syczuanie, w znanej z tzw. Terakotowej Armii prowincji Shaanxi oraz w Gansu. Populacja z gór Qin w prowincji Shaanxi uznawana jest czasami za osobny podgatunek, cechujący się m.in. mniejszą czaszką, ale i nietypowym, bo biało-brązowym ubarwieniem.

Pandy spotyka się zwykle na wysokościach 1500–3000 m n.p.m. Preferują dobrze nasłonecznione, iglaste lub mieszane lasy pierwotne. Najbardziej aktywne są zimą i wiosną, a najmniej latem i jesienią. Co ciekawe, pandy – w przeciwieństwie do większości innych niedźwiedziowatych – nie hibernują! Migrują sezonowo, a wczesnym latem spotykane są na wyżej położonych obszarach niż wczesną jesienią. Wcale im się nie dziwię, bo będąc w syczuańskich górach Qionglai rok temu, przekonałem się na własnej skórze, jak zimne i nieprzyjazne są tam warunki.

Jednak jedzenia mają tam mnóstwo.

Faktycznie, choć zwyczaje pandy mogą wydawać się na pierwszy rzut oka nietypowe. Zwierzęta te mogą zjeść nawet do 40 kg bambusa dziennie. Nie jest on niestety zbyt pożywny, a panda posiada układ pokarmowy o podobnej budowie jak inne ssaki drapieżne. Jelito jest krótkie, a żołądek ma prostą budowę. Jest zatem w stanie przetrawić jedynie średnio 17 proc. suchej masy bambusa. W porównaniu do 80 proc. u niektórych ssaków kopytnych to żenująco niska wartość.

Pandy żywią się bambusami z rodzajów *Bashania, Fargesia* i *Sarocalamus*, a jeżeli chodzi o zjadane części roślin, to są to pędy, łodygi czy liście. Bambus jest dość bogaty w białko, ale pandy muszą go jeść przez nawet 16 godzin dziennie, a w związku z mało wydajnym trawieniem defekują 50 razy na dobę. Ich przystosowania do bambusowej diety są niezwykłe: pandy posiadają np. przedłużenie nadgarstka, zwane szóstym palcem, służące do przytrzymywania pędów bambusa.

Jak wygląda ich życie rodzinne i społeczne?

Rozmnażanie pand w niewoli obrosło wieloma legendami. Na wolności pandy radzą sobie z nim naprawdę nieźle. Między lutym a czerwcem samice wchodzą w ruję, która trwa jedynie około 3 dni. Podczas tego okresu samica intensywnie znakuje terytorium, a potem przebywa na drzewie, pod którym kilka samców walczy o jej względy. Pandy są krótkowidzami, a w komunikacji używają sygnałów zapachowych. Pozostawiają wydzielinę produkowaną przez gruczoły okołoodbytowe, stosując też niekiedy dość ciekawe fortele, jak np. stawanie na rękach, by wyżej pozostawić zapach i „zawyżyć swoje rozmiary".

Areały poszczególnych pand nachodzą na siebie, występuje czasami terytorializm, jednak różne osobniki spotykają się ↦

JAK WONDERLY / ADOBE STOCK

↦ rzadko. Przyjmuje się, że pandy są samotnikami, jednak ostatnie badania pokazują, że tworzą się w tych lokalnych populacjach pewne struktury społeczne. W niewoli pandy trzymane są w grupach i tolerują się, a nawet może wpływać to pozytywnie na ich dobrostan. Wracając do rozmnażania, u pand kopulacja trwa do 5 minut, choć w 2015 r. poświęcony pandom kanał transmitował rekordową, bo trwającą aż 15 minut. Ciąża wynosi zaledwie około 145 dni, nowo narodzone pandy ważą około 100 gramów, to promil wagi matki. Proporcjonalnie jest to najmniej wśród wszystkich ssaków łożyskowych. Małe pandy rozwijają się powoli, a pod opieką matki pozostają do 18.-24. miesiąca życia. Co ciekawe, na wolności przeżywa tylko jedno młode, ale w niewoli udaje się odchować bliźniaki czy trojaczki.

Przejdźmy do polityki.

Z politycznego punktu widzenia pandy są jednym z najważniejszych gatunków zwierząt na świecie. Dość powiedzieć, że są drugim najbardziej rozpoznawalnym symbolem Chin, po Wielkim Murze. Chińczycy są z nich naprawdę dumni i nie lubią, jak się o nich źle mówi. Chińska nazwa pandy jest dość komiczna. Brzmi ona: „duży niedźwiedź-kot", *dà xióng māo*. Chińczycy nie chcą głośno mówić o tym, że popularność pandy rozpoczęła się na Zachodzie. To właśnie cudzoziemiec, francuski misjonarz Armand David, jako pierwszy badacz napotkał martwego osobnika w 1869 r. w syczuańskim powiecie Baoxing i to on także dokonał pierwszego krótkiego opisu zwierzęcia.

To kiedy Chińczycy odkryli pandy?

W tradycyjnej chińskiej sztuce i literaturze panda jest praktycznie nieobecna, a na początku XX w. mało kto o tym zwierzęciu słyszał. W Chinach na wzrost jej popularności trzeba było czekać do drugiej połowy XX w. Zakończona w 1949 r. wojna domowa doprowadziła do proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej, na której czele stanął Mao Zedong. Komuniści dość szybko zorientowali się, że panda nie posiada żadnych niewygodnych powiązań z Chinami cesarskimi oraz kompromitującym stuleciem narodowego upokorzenia, w związku z czym może być używana jako obiekt do budowania narodowej dumy i tożsamości, do czego namawiali w swoich tekstach badacze i działacze chińscy w latach 50. XX w. W 1953 r. do pekińskiego ogrodu zoologicznego trafił samiec Ping-Ping, który doprowadził do wzrostu popularności tych zwierząt w Chinach.



ARCHIWUM PRYWATNE

PIOTR PARZYMIES ukończył biologię na Uniwersytecie Oksfordzkim, doktoryzował się na Queen Mary University of London. Naukowo specjalizuje się w biologii molekularnej. Popularyzator nauki, napisał „Historię pandy wielkiej" (Wydawnictwo Akademickie Dialog 2025).

W 1963 r. w tym samym zoo przyszedł na świat Ming-Ming – pierwsza panda wielka narodzona w ogrodzie zoologicznym, co zostało okrzyknięte wielkim sukcesem. W latach 60. i 70. panda zaczęła się pojawiać w chińskiej sztuce i nazwach firm, i to właśnie wtedy stała się prawdziwym „skarbem narodowym", jak o niej teraz mówi się w Chinach. W latach 70. rozwinęła się też bardzo ciekawa praktyka, czyli tzw. dyplomacja pand. Na początku, podczas jej pierwszej fazy, osobniki używane były jako bezzwrotne podarunki, nieobarczone żadnymi zobowiązaniami. Potem stosowano najbardziej kontrowersyjny model, czyli wysyłanie pand na kilka miesięcy do zagranicznych ogrodów zoologicznych, w zamian za procent od sprzedanych biletów lub produktów z nią związanych.

Nie był to zapewne najlepszy pomysł dla samych pand.

Wpływało to źle na ich dobrostan, w związku z czym zaprzestano tego na rzecz rozwiązania obowiązującego do dziś. Polega ono na wypożyczaniu pary pand na 10 lat za opłatą miliona dolarów rocznie, która ma iść na ochronę dzikich osobników w Syczuanie. Pandy wysyłane są do ważnych partnerów handlowych Chin, gdzie mają spełniać dwie główne funkcje – pozytywnie wpływać na relację pomiędzy państwem przyjmującym i Chinami oraz poprawiać opinię o Chinach u zwykłych obywateli. Pandy niewątpliwie wywołują zawsze szał nazywany nawet „pandamonium", choć ich rola w dyplomacji nie jest już tak istotna jak kiedyś. Nie zapobiegają konfliktom i nie wystarczają do zniwelowania negatywnej opinii o Chinach.

W polskich ogrodach zoologicznych można spotkać pandy?

Niestety w Polsce nie ma i nigdy nie było żadnej pandy, mimo że co jakiś czas któreś zoo ogłasza, że chciałoby je sprowadzić. Pod koniec lat 30. sprowadzeniem pandy Happy zainteresowany był ówczesny dyrektor warszawskiego zoo, Jan Żabiński, ale w związku z wojną do niczego nie doszło. Sinolodzy, z którymi rozmawiałem, marnie oceniają szanse na przybycie pandy do Polski. Obecnie w Europie zobaczymy je w Berlinie, Wiedniu, francuskim ZooParc de Beauval, a także w Madrycie, Kopenhadze czy w holenderskim Ouwehands Zoo. Poza tym spotkamy je też w Meksyku, USA, Rosji, Japonii czy Singapurze. Ja najwięcej pand widziałem, rzecz jasna, w Chinach.

Pandy dla Chińczyków są jak dla nas żubry czy bociany?

Nawet bardziej. Istnieje wiele pandzich celebrytek, m.in. panda Hua-Hua z Chengdu. Warto wymienić także zasługi pojedynczych osobników, jak np. samca Pan-Pan, który w ciągu swojego długiego, trzydziestojednoletniego życia, spłodził ponad 130 potomków, co w pewnym momencie stanowiło 25 proc. wszystkich przetrzymywanych w niewoli osobników. To właśnie dzięki niemu w ciągu ostatnich 10 lat populacja pand w niewoli wzrosła dwukrotnie bez wspomagania dzikimi osobnikami.

W przyszłości może to być niebezpieczne, ze względu na niską różnorodność genetyczną populacji.

To prawda. Ale cieszy to, że sytuacja dzikich pand także się poprawia i w XXI w. zanotowaliśmy kilkunastoprocentowy wzrost nie tylko liczebności populacji, ale i rozmiarów ich dzikich siedlisk. W 2020 r. otwarto w Chinach Park Narodowy Pandy Wielkiej. Obecnie zwierzę to traktowane jest po królewsku, a władze Chin nie pozwolą, aby spadł mu z głowy choćby jeden biały lub czarny włos.

© Rozmawiał ŁUKASZ SAKOWSKI



REKLAMA

KULTURA

OBSESJA WYBIERA CZŁOWIEKA

BARBARA ZIEMBICKA, ARTYSTKA:

W życiorysie następują pewne fakty, od których się wszystko zaczyna. Dla mnie było to znalezienie nieopodal domu glinianki pogórniczej. Kucnęłam, wygrzebałam glinę i zaczęłam lepić.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Opowiesz o listach?

BARBARA ZIEMBICKA: Kiedy dwa lata temu czytałam „Empuzjon" Olgi Tokarczuk, którego akcja toczy się w Görbersdorfie, wiedziałam, że coś mi ta nazwa mówi, że ją gdzieś słyszałam. W końcu przyszło olśnienie: przecież ta miejscowość wpisana jest w DNA mojej rodziny od strony mamy – babcia Helena się tam leczyła.

Tam było pierwsze na świecie sanatorium, w którym gruźlicę leczono klimatem i dietą.

Twórcy późniejszego Davos wzorowali się na Göbersdorfie. A babcia w 1907 r. pisała stamtąd listy do męża, Walentego Kurlusa. Kuracja się jednak nie udała i babcia zmarła w wieku 36 lat, osierociwszy pięcioro dzieci. Listy przechowywała jej córka, czyli moja matka. Następnie przekazała je mnie, a ja przekazałam swojej córce. Spójrz, to one.

Piękne pismo.

W listach jest mnóstwo prawdziwej czułości, troski i tęsknoty za dziećmi. I takie zdanie, że: „dobrze, gdyby było dobrze". Kiedy moja córka przeczytała te listy, powiedziała: robimy zjazd rodzinny. Ja na to: „Nie, po co?".

Skąd opór?

Starsi raczej są na nie, zachowują ostrożność. Zadzwoniłam jeszcze do krewnej mieszkającej w Poznaniu i mówię, że jest taki pomysł. Ona: „Tylko mnie w to nie mieszaj". Ale po tygodniu wykonała do mnie telefon i mówi: „Kochana, robimy to".

Więc zjazd się odbył.

Było trochę wnuków, prawnuków i praprawnuków, ponad pięćdziesiąt osób. I dziadek Walenty, na zdjęciu wąsaty pan, dzięki współczesnej technice miał dorobione prawdziwe usta, którymi poruszał, witając gości i podkreślając, jak niezmiernie cieszy się z faktu, że dokładnie osiemdziesiąt lat po jego śmierci spotykają się jego potomkowie.

Przemówiła i babcia Helena?

To moja córka się za nią ujęła. „Wszyscy mówią o protoplaście, a co z jego żoną?" – zapytała. „Urodzić i wychowywać piątkę dzieci to jest nic?". A ponieważ Natalia jest reżyserką, stworzyła 10-minutowy filmik, w którym aktorka czyta listy babci. Dzięki nim Helena ożyła.

Miejsce zjazdu?

W Wąsowie pod Poznaniem, w XVIII-wiecznym założeniu pałacowym z parkiem, wybudowanym przez niejakiego Sylwestra Szczanieckiego. Pałac przechodził różne koleje, a pod koniec wieku XIX przejął go pewien bankier z Berlina. To było najlepsze miejsce na spotkanie, tym bardziej że dziadek mógł tam przysyłać towary zamówione przez właścicieli. Bo Walenty, mieszkaniec nieodległych Dusznik Wielkopolskich, prowadził w nich sklep, w którym było „szwarc, mydło i powidło". A przede wszystkim towary bławatne. Był obrotny, towar sprowadzał z Poznania i z Niemiec, dorobił się majątku. Jego córki miały posagi w złocie w banku w Berlinie. Tyle że wszystko to przepadło podczas I wojny światowej.

A co znaczył zjazd dla Ciebie?

Odnalazłam się w historii. Dotąd myślałam o sobie w ograniczonym obszarze. Że ja to ja: Kraków, Akademia Sztuk Pięknych, profesura, nauczanie, podróże, wystawy, obrazy, ilustracje do książek. A tu nagle przestrzenie się otworzyły, pojawił się kontekst. W sumie to rodzinna historia o awansie.

Klasowym?

Mój pradziadek był chłopem pańszczyźnianym. A jego synowi, dziadkowi Walentemu, prowadzenie interesu umożliwiło zniesienie pańszczyzny: w Prusach stało się to w 1811 r., a w zaborze rosyjskim dopiero po powstaniu styczniowym. Poznań od zawsze był gospodarczo w ofensywie.



MATERIAŁY PRASOWE WYSTAWY „OWOCOWANIE"" / NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY

Barbara Ziembicka, „Sowa" (cykl „Bestiariusz albo sceny z życia zwierząt"), 2025, akwarela 38 x 33 cm

Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że przedsiębiorcza postawa miała na celu wzbogacenie regionu, była formą walki z Niemcami. Dziadek – to wiem z przekazów rodzinnych – w swojej wsi był szanowany. A dwoje jego dzieci zdobyło wyższe wykształcenie. Natomiast obecne pokolenie, czyli wnuki, prawnuki Walentego – to już jest inteligencja.

A Ruda Śląska, w której urodziłaś się tuż po wojnie?

Rodzice jeszcze przed wrześniem 1939 r. za chlebem przenieśli się na Górny Śląsk, gdzie ojciec, choć absolwent seminarium nauczycielskiego, prowadził sklep z materiałami. A mnie trzeba było nauczyć gwary, inaczej by mnie dzieci przezywały gorolką.

Skuteczna strategia?

Ślązacy naszą rodzinę zaakceptowali. Lubiłam odwiedzać koleżanki, być częstowana roladą z modrą kapustą i kluskami, zupą siemieniotką, krupniokiem, kołoczem. W charakterze Ślązaka jest jakaś stałość, przewidywalność i uczciwość, co cenię. Pamiętam górniczą orkiestrę pana Kozioła, która wczesnym rankiem pojawiała się pod naszymi oknami, u zbiegu ulic, przeważnie na 1 maja, ale nie tylko. Czerwone pióropusze czapek...

Dobre dzieciństwo?

W życiorysie następują pewne fakty, od których się wszystko zaczyna. ↦

↦ Dla mnie było to znalezienie nieopodal domu glinianki pogórniczej. Kucnęłam, wygrzebałam glinę i zaczęłam lepić. Mogłam mieć 12, najwyżej 13 lat.

Pamiętasz tę rzeźbę?

No pewnie: siedząca, zmęczona kobieta. Rodzice byli pod wrażeniem, na imieninach pokazywali gościom miniaturowe rzeźby córki. A potem wysłali mnie do liceum plastycznego w Katowicach.

I przełom?

W okolicach matury pojechałam do Krakowa i w księgarni przy placu Mariackim wzięłam do ręki „Baśnie" Andersena. Wydanie PIW-owskie z roku 1967. Wersja dla dorosłych, znakomite tłumaczenie Stefanii Beylin i Jarosława Iwaszkiewicza. Poetycka fraza, piękno języka. Kartkowałam z przejęciem, kupiłam. Pod wpływem tej lektury zaczęłam rysować piórkiem i czarnym tuszem. Byłam w jakiś sposób duchowo współczulna z tego rodzaju obrazowaniem. I cierpieniem.

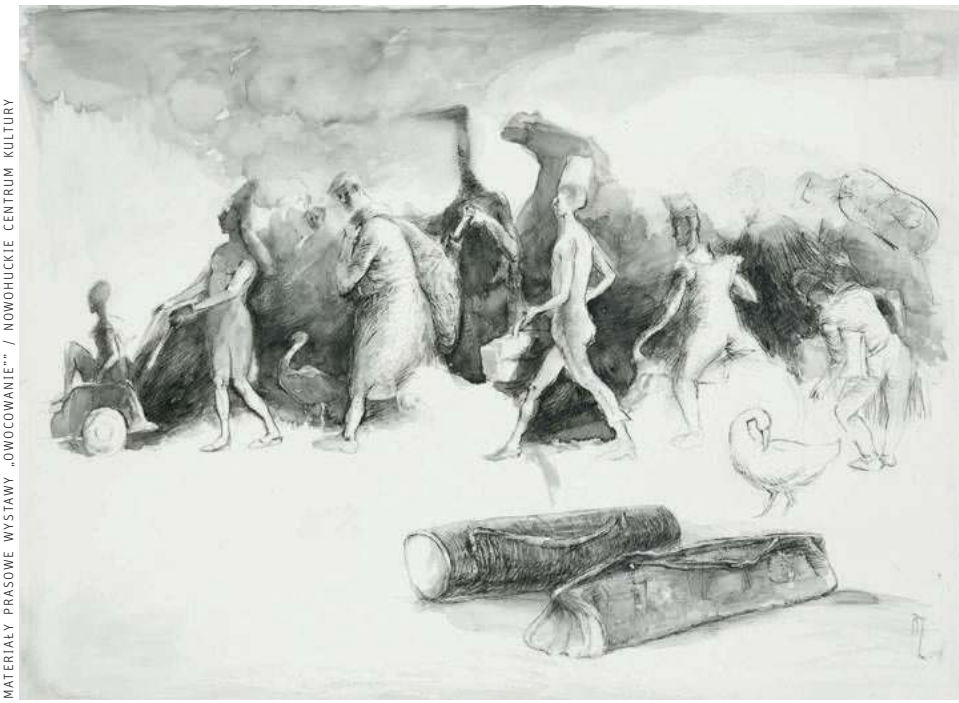
Czuję dreszcze na samą myśl o Andersenowskiej „Opowieści o matce", w której kobieta targuje się ze śmiercią o życie własnego dziecka.

A dla mnie szczególnie ważny jest „Towarzysz podróży". Historia młodego człowieka, który po śmierci ojca wyrusza w świat. Po drodze udziela pomocy pewnemu zmarłemu, a ten, wróciwszy do świata żywych, odwzajemnia się i pomaga mu w kłopotach. Wszystko kończy się szczęśliwie. Poruszająca parabola naszej nieraz „współpracy" z niebytem, ze zmarłymi. Kto tego nie doświadcza, może traci. Bo jest w tym obcowaniu ze światem równoległym nie tylko żal za przeszłym, ale i nauka, pomoc.

Doświadczyłaś jej?

W świadomości minione życie żyje, choć są tacy, którzy przed tym uciekają. Ja nie. Szereg rzeczy toczy się w sferze podświadomości. Mogą ujawnić się we śnie, choć niekoniecznie. Czasem o poranku są jak mgnienie... Kiedy jeszcze dzień na dobre się nie zaczął i kiedy wszystko przede mną, w głowie pojawiają się światy, a nawet gotowe obrazy, czy uwierzysz? One czasami są niemiłe po prostu, ale...

Ale co?



MATERIAŁY PRASOWE WYSTAWY „OWOCOWANIE"" / NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY

Barbara Ziembicka, „Droga II", 2001, piórko, tusz, akwarela 47 x 63 cm

To jest moje życie. Sporo obrazów, grafik powstało z tych właśnie rekolekcji. Wiesz, że w łacinie słowo *recolligere* oznacza: zbierać na nowo, powtarzać?

A same baśnie Andersena?

Wsiąkłam w ten świat. Przepisywałam niektóre baśnie odręcznie i jednocześnie robiłam ilustracje. Potem zaniosłam do introligatora i ta praca znalazła się w teczce, kiedy po raz drugi – bo za pierwszym podejściem się nie udało – startowałam do Akademii Sztuk Pięknych. W komisji egzaminacyjnej był Jacek Gaj, świetny grafik i pedagog, wtedy asystent. To on zauważył moje ilustracje.

Co było dalej?

Na studiach chciałam tworzyć swój świat, a nie malować tylko martwą naturę, co było na ASP obowiązujące. Wyczerpywała się wówczas w mniemaniu części studentów formuła nauczania kolorystycznego proponowana przez kapistów. Rozumieliśmy rolę lektur i tego, że trzeba też „być" i mieć coś do zaproponowania. Dla młodego człowieka, który poszukuje sensu i zadaje pytanie „po co maluję?", staje się to kluczowe.

Kapiści odrzucali anegdotę, w ogóle treści literackie.

Oj, pilnowali bardzo, by nie było tzw. gadania. Uczyli priorytetu formy nad treścią, ważny był nie tyle sam motyw, ile rozwiązanie obrazu. Tylko ile można dywagować o języku? Profesorowie na wydziale malarstwa robili z tego jakąś religię. A ja stałam na drugim biegunie, w pracy ciągnęło mnie do opowiadania historii. Zbawieniem dla nas było pojawienie się na malarstwie pracowni Jerzego Nowosielskiego, który doceniał w twórczości obsesję i dostrzegłszy ją uważał, że trzeba na nią pozwolić.

Powiedziałaś: obsesję?

To ona wybiera człowieka, nie odwrotnie. I wiedzie przez życie. W najtrudniejszych życiowo chwilach myślałam zawsze o swojej pracy, ona właściwie mnie nie opuszczała.

Nigdy?

Jest w obsesji wielka tęsknota za wyrażeniem tego, co wydaje się nie do uchwycenia. Artyści powiadają górnolotnie: to wyzwanie. Nadużywane słowo. Dziś pewnie dodaję tę interpretację, ale kiedy byłam młodziutka, kierowałam się intuicją, wyobrażeniami.

To ta grafika skąd się wzięła?

Otwarto ten wydział na ASP, a ja natychmiast przeniosłam się tam po roku nauki z pracowni Nowosielskiego. W pierwszej chwili trochę żałowałam. A potem? Trafiłam na same tuzy: stary

Wejman, przepraszam, profesor Mieczysław Wejman i jego syn – Stanisław. Ponadto Adam Bunsch, Włodzimierz Kunz, Tadeusz Jackowski, Andrzej Pietsch, Janusz Karwacki... Każdy z nich był indywidualnością w dziedzinie grafiki, mającą coś innego do powiedzenia. Studenci z tego korzystali. To był czas świetny dla grafiki jako takiej. Powstało pojęcie podręcznikowe – Grafika Krakowska.

Życie poza uczelnią?

Kombinowaliśmy, żeby się działo. Spędzaliśmy trochę czasu w Piwnicy pod Baranami, odpowiadał nam jej absurdalno-nadrealistyczny nastrój, antidotum na burą PRL-owską rzeczywistość. Ponadto Stary Teatr, gdzie oglądałam każde przedstawienie reżyserowane przez Swinarskiego. Jego teatr był czymś uduchowionym, ubranym w niezwykłą formę, zupełnie nową. A Kantor? Miał znaczenie formujące – to był nadrealizm. Pomieszanie czasów, snu i jawy.

Lektury?

Najbardziej pociągały takie nazwiska jak Kafka, Swift, Dylan Thomas, Henri Michaux, Poe... W ogóle autorzy oscylujący między tym, co realne, a tym, co niemożliwe. I bardzo ważna książka Rogera Caillois'a „W sercu fantastyki". On pisał o myśleniu magicznym, możliwościach, jakie daje tego rodzaju studiowanie rzeczywistości. Do tego doszedł Freud z jego badaniem podświadomości. Wtedy jeszcze o Jungu się nie słyszało, a on był dla mnie ważny.

Właśnie z tego wszystkiego zrodziła się grupa Fantazos?

Inicjatorem był mój wtedy mąż – Henryk „Fantazos" Ziembicki. Dołączyli do nas Henryk Waniek i Andrzej Kołpanowicz. A potem Michał Józefowicz, który w późniejszych latach przeniósł się do Paryża i zrobił tam karierę.

A grupa Fantazos była zmową studencką, tyle że bardzo poważnie prowadzoną. Spotykaliśmy się w akademiku „na Dzierżyńskiego", to dziś ulica Lea. Dyskutowaliśmy o sztuce, o polityce chyba mniej. Prowadziliśmy pismo w jednym egzemplarzu i to było ośrodkiem naszych zainteresowań, takim zobowiązującym do odpowiedzialniejszego działania. Zamieszczaliśmy tam nasze artykuły, cytaty z literatury, rysunki. Ja wtedy mnóstwo rysowałam. Kiedy to wszystko się siłą rzeczy skończyło, miałam poczucie, że jestem jakoś wyposażona.



ANNA STANKIEWICZ

BARBARA ZIEMBICKA (ur. 1946), profesor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i absolwentka tej uczelni. Od 1973 r. uczy na Wydziale Grafiki. Zajmuje się grafiką artystyczną i książkową, rysunkiem oraz malarstwem. Ma na koncie kilkanaście wystaw indywidualnych oraz udział w wystawach zbiorowych. Prace Ziembickiej znajdują się w zbiorach: Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum w Kaliszu, Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie i Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz w zbiorach prywatnych. Już od 12 grudnia w Nowohuckim Centrum Kultury będzie można zobaczyć wystawę jej prac pt. „Owocowanie". Kuratorkami są Anna Baranowa i Aleksandra Nosalska.

Gotowa do pracy?

Z moim dyplomem, który dotyczył baśni świata, udałam się do Wydawnictwa Literackiego. A tam naczelny grafik, pan Janusz Bruchnalski, namówił redaktorów, bym mogła ilustrować książki dla dorosłych. I w serii „Fantastyki i Grozy" zilustrowałam kilka powieści gotyckich. Josepha Sheridana Le Fanu „Carmillę" pamiętam zwłaszcza. Wampirzyca została przedstawiona przeze mnie z głową kota.

A potem tymi właśnie ilustracjami zainteresowała się Maria Janion i pomieściła je, pośród innych, w pokaźnej, pięknej księdze o nazwie „Wampir. Biografia symboliczna". A sama WL-owska seria fantastyki w dzisiejszej ocenie jest nieefektowna, bo książki szare, brzydki papier. Ilustracje zostały.

Co z malowaniem?

Początkowo właściwie bez efektu. Ha, upomniał się fakt, że nie chodziłam na malowanie martwej natury. A w 1975 r. pani Danuta Józefikowa, która prowadziła galerię Desa, zorganizowała mi już wtedy indywidualną wystawę, właśnie obrazów. To było odważne. Spójrz, tu jest zdjęcie: Basia na wernisażu, tę bluzkę to mama mi uszyła.

Na tej mojej obecnej wystawie w Nowohuckim Centrum Kultury pokazuję 24 obrazy olejne. Ale nie tylko. Odwróć się, nad tobą wisi mój ostatnio ukończony obraz. Symboliczny. Malowałam go przez ostatnie cztery lata.

Długo.

Długo nie wychodziło. Rzuca się obraz gdzieś do kąta, a potem się do niego wraca. Niby potulny obraz rzeczywistych przedmiotów, a one, być może, znaczą więcej.

Ten pierrot co znaczy?

To właściwie pierrotka, rodzaj żeński. Jakoś nawiązuje do mojego czasu po dyplomie, kiedy poczułam się nietęgo. Koniec beztroskiego etapu życia i początek poważnego, dorosłego. Wtedy zrobiłam litografię „Portret młodego Pajaca" rodem z komedii dell'arte. Być może figura pierrota to moje ciche *alter ego*.

Czyli?

Sugeruję, że nie warto podchodzić do siebie z nadmierną powagą. Prędzej z żartem, ironią. Bywa, że to się udaje. Pierrot, człowiek śmiechu – czasem płacze.

Ciekawi mnie jeszcze ta żółta kartka na obrazie.

Jak chcesz, to możesz pomyśleć sobie, że to ostrzeżenie.

Przed czym?

Przed demonami.

Mówisz poważnie?

One istnieją. Fajnie tak sobie nazwać pewne psychiczne napięcie, które jest doświadczeniem większości ludzi. A w historii sztuki jest parę obrazów z demonicznymi postaciami. Nie ośmieliłabym się namalować demona, nie z braku możliwości warsztatowych. Raczej z obawy, że nadając mu wyobrażenie, naprawdę się go nie pozbędę. ↦

↦ W baśniach karykaturalne, złe postaci są jakoś oswajalne, no i źle kończą. W realu – niekoniecznie. Przypomina się ten fakt, że Jerzy Nowosielski wierzył w fizyczną obecność diabła.

A ta seria obrazów dla Twojego wnuka?

Nazwałam ją „Bestiariusz albo sceny z życia zwierząt". Pierwsza powstała sowa. Bo Tymonka kojarzę z tym ptakiem – jest dzieckiem, które wszystko waży, zastanawia się. Dalej samo poszło. Namalowałam małpy wznoszące toast, kozę malarkę przed autoportretem, melancholijną sarnę i kota-mentora. Mój brat tym ostatnim przedstawieniem był bardzo ucieszony, śmialiśmy się, że to o nim.

Więc niby o zwierzętach, a tak naprawdę o ludziach?

Zwierzę pięknie się maluje. No i nagle się otworzył jakiś zupełnie nowy świat, w akwareli. Znanej mi przecież – w akwareli powstały nagrodzone ilustracje do Andersena. To technika, która jest przygodą: wydaje się, że nie do końca panujesz nad sytuacją. W technice olejnej wszystko można dopracować, zmieniać. W akwareli pomysł, z którym podchodzisz do obrazu, ujawnia się i nabiera kształtu natychmiastowo. Jeśli jest w tobie niewiele, zderzasz się z pustką.

Tymon, któremu pokazałam obraz sowy, odpowiedział: „Może być".

Nie daje mi spokoju ta kobieta, którą wyrzeźbiłaś jako nastolatka. Dlaczego?

Zastanawiam się, co wówczas chciała wyrazić Twoja podświadomość?

Ot, zdarzyło się. Ale ciekawe, że tego akurat się nie zapomniało. Często wspominamy jakiś fakt przypisując mu to i owo: może przestroga albo Palec Boży? Wiele historii ludzkich, opowiadanych w rodzinie, ma taki charakter. W moim przypadku jest i jedno, i drugie. Bo przestroga powiada: „Nie idź tą drogą, uważaj, artystom jest ciężko!". A Palec Boży? Tu już nie ma odwrotu, ma tak być – jak było. I jest.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

Kto się boi Wednesday Addams

PAWEŁ KICMAN

POPKULTURA | Światy pełne grozy uczą akceptacji dla odmienności. Potworem, którego naprawdę mamy prawo się bać, jest w tym uniwersum ksenofobia.

Serial „Wednesday", którego kilka odcinków wyreżyserował sam Tim Burton, jest fenomenem. Jego oglądalność mierzy się dziś w setkach milionów godzin, a licząca niemal 90 lat postać tytułowej bohaterki (zadebiutowała, jeszcze bez imienia, w pasku komiksowym na łamach „New Yorkera" w 1938 r.) w ciągu ostatnich lat stała się ikoną popkultury.

Wednesday to wybitnie inteligentna, wyobcowana dziewczyna z obsesją na punkcie makabry. Bawi ją czarny humor, dystansuje się od zasad rządzących światem i chodzi własnymi ścieżkami. Pewnego dnia trafia do Nevermore Academy (nawiązanie do wiersza Edgara Allana Poe), gdzie przyjdzie jej rozwiązywać zagadkowe morderstwa, zawierać przyjaźnie i poznawać sekrety.

Nevermore nie jest oczywiście zwykłą szkołą, a placówką dla outsiderów – dzieciaków z tajemniczymi mocami, wilkołaków, syren. Serial jest więc opowieścią o dojrzewaniu, tyle że zamiast tradycyjnej dla podobnych produkcji amerykańskiej szkoły mamy wypełnione mrocznymi tajemnicami gotyckie mury.

Nie ma jak w rodzinie

Jasne: fascynacja postaciami bladolicych, melancholijnych dziewcząt uwikłanych w tematykę śmierci nie jest zjawiskiem nowym. Sama filmografia Tima Burtona jest przecież pełna nie tylko depresyjnych bohaterek o hebanowych włosach, które nie pasują do społeczeństwa i zmagają się z otaczającą je grozą, ale też gotyckiego klimatu z wątkami uwrażliwienia na odmienność.

W te ramy wpisuje się choćby grana przez Winonę Ryder Lydia Deetz z filmu „Sok z żuka", która dzięki swojej mrocznej stylówie i fascynacji śmiercią mogłaby uchodzić za duchową protoplastkę postaci odgrywanej przez Jennę Ortegę. Duchową, ale nie faktyczną, bo Wednesday z serialu Netfliksa nie jest postacią oryginalną, a inkarnacją dziewczyny, którą stworzył rysownik Charles Addams we wspomnianym komiksie.

Mroczną nastolatkę, przynajmniej do czasu premiery serialu, znaliśmy przede wszystkim z „Rodziny Addamsów" (1991), choć kinowy obraz nie był pierwszą adaptacją twórczości rysownika – poprzedzały go seriale: aktorski (1964) i animowany (1973). I choć chyba każdy z członków tej makabrycznej gromadki zapisał się w popkulturowej świadomości, to właśnie śmiertelnie poważna, sarkastyczna córka Gomeza i Morticii podbiła serca widowni. Nic dziwnego, że to właśnie ona dostała produkcję sygnowaną swoim imieniem.

Kochane kłopoty

Skąd tak naprawdę wzięła się Wednesday? Zawdzięczamy ją romantycznym poetom, którzy idealizowali wizerunek melancholijnych niewiast umierających z miłości bądź tęsknoty. U Byrona kobiety były piękne i tajemnicze, a ich wypełnione pasją życie (często też tragiczna śmierć) napędzały narrację.

Ale niektórzy pokazywali inną perspektywę – kobiet, które nikogo nie mamiły, a same padały ofiarą uczuć tak silnych lub tragedii tak poważnych, że śmierć wydawała się upragnionym końcem kłopotów. Lenora w balladzie Gottfrieda A. Bürgera podąża za widmem swojego zmarłego ukochanego, a Balladyna Słowackiego (blada i czarnowłosa) uwikłana zostaje w ciąg mor-



GILES KEYTE / UNIVERSAL PICTURES

Film „Wicked: Na dobre", dystr. UIP

derstw i skonfrontowana z własną winą. Ale prawdziwym miłośnikiem bladolicych był amerykański poeta Edgar Allan Poe. Wręcz obsesyjnie pisał on o umierających bądź martwych kobietach, pięknych nie mimo przejścia na drugą stronę, ale właśnie dzięki niemu.

Fascynacja urodą śmierci jest też wyraźna w XIX-wiecznym malarstwie, czego najlepszym przykładem jest popularna ostatnio dzięki teledyskowi Taylor Swift „Ofelia" Johna Everetta Millais, ale też „Pani z Shalott" wedle ilustracji Waltera Crane'a czy „Młoda męczennica" Paula Delaroche'a – wszystkie przedstawiają młode kobiety unoszące się na wodzie.

Romantyczna pułapka

Ten motyw przez kolejne dekady ewoluował, pojawiając się w postaciach młodych, targanych tragediami kobiet albo uwodzicielskich wampów (niekiedy zresztą dosłownie wampirów, takich jak Lucy z „Drakuli" Brama Stokera). Odrodził się też w postaciach *femme fatale* w kinie czy literaturze *noir*. Co prawda odzierał kobiety z mistycyzmu, ale wciąż przedstawiał je jako obiekty pożądania, które często, zgodnie ze swoją nazwą, prowadziło ku zgubie.

Elementem wspólnym wszystkich powyższych przykładów jest nie tylko związek kobiecego piękna ze śmiercią, ale element fantazji na temat cielesności. Jeśli nie wprost erotycznych, to na pewno estetycznych. Kobiety w romantycznych rolach albo zupełnie pozbawione są sprawczości, albo niosą ze sobą jakiś rodzaj cierpienia. Nijak nie przystaje to do obecnego ujęcia postaci takich jak Wednesday, które mocno inspirowane są twórczością Poego czy Byrona.

Wydaje się, że w odczarowaniu wizerunku bezwolnej piękności dużą rolę odegrała subkultura gotycka, niezwykle popularna w latach 70. i 80. ubiegłego wieku. Make-up nadający twarzom śnieżnobiałą barwę, czarne włosy i takież suknie, gorsety, żaboty i koronki, do tego biżuteria odwołująca się do symboliki śmierci i odrodzenia – to wszystko mocno czerpie z XIX-wiecznych motywów. Subkultura gotycka, miast wtłaczać dziewczęta w określone role, pozwalała im jednak za pomocą romantycznego sztafażu eksplorować własną tożsamość.

Dziewczyny z drużyny

Na fali popularności gotyckiej subkultury narodziło się wiele postaci, które sporo łączy z Wednesday – nie tylko w wyglądzie czy charakterze, ale też w kontekście bycia outsiderką. Taki motyw znajdziemy choćby w kilku nowych wariacjach na temat „Alicji w Krainie Czarów". Jedną z nich jest seria filmów Tima Burtona. Jego wersja klasycznej opowieści Lewisa Carrolla (chłodno przyjęta przez krytyków i widownię) prezentuje Alicję jako wojowniczkę, a Krainę Czarów jako miejsce pełne dziwów z pogranicza narkotycznego snu i niepokojącego koszmaru.

Znacznie dalej w grozę w swojej interpretacji idzie American McGee, reżyser gry „American McGee's Alice" i jej sequelu, „Alice: Madness Returns". Tytułowa bohaterka (nie zgadniecie – blada i długowłosa) zmaga się tam z ciężką traumą, a świat wewnątrz króliczej nory jest wypaczonym, przerażającym miejscem, w którym lęki dziewczyny manifestują się pod postaciami potworów.

Nieco wcześniej, w latach 90., sporą popularność zdobywały za to na pozór zwyczajne nastolatki, które musiały sobie poradzić w bardziej lub mniej makabrycznym świecie. Doskonałym przykładem jest Buffy z serialu „Buffy, postrach wampirów". Tytułowa bohaterka produkcji (grana przez Sarah Michelle Gellar) walczy z siłami mroku, a akcja ↦



HELEN SLOAN / NETFLIX

Serial „Wednesday", Netflix

↦ w jej przygodach miesza się z komedią i problemami dorastania. „Buffy" był jednym z pierwszych popularnych seriali skierowanych do młodzieży i młodych dorosłych, który nie tylko stawiał postać kobiecą w centrum uwagi, ale też osadzał gatunek *teen drama* w realiach pełnych potworów i ucieleśnionych strachów.

Dużo lżej do tematu makabry podchodziła „Sabrina, nastoletnia czarownica" – uroczy, lekki sitcom o wiedźmie mieszkającej z ciotkami, bazujący na komiksie wydawnictwa Archie Comics. W roku 2018 Netflix wyprodukował nową adaptację – poważniejsze, niestroniące od elementów grozy „Chilling Adventures of Sabrina". Choć to wciąż w dużej mierze serial dla nastolatek, nie brakuje w nim mroku.

Sabrina (w tej roli Kiernan Shipka) walczy ze złem, ale to zło częściej ma twarz bigoterii i szowinizmu, a nie diabła (on co prawda tam występuje, ale jako uosobienie patriarchatu). Czarna magia jest wykorzystywana, by walczyć o sprawiedliwość i odzyskanie podmiotowości.

Czarownice z Oz

W kinach od niedawna oglądać można też drugą część filmu „Wicked", o podtytule „Na dobre". W adaptacji broadwayowskiej sztuki Elphaba, znana jako Zła Czarownica ze Wschodu w powieści „Czarnoksiężnik z Krainy Oz", zostaje ukazana z zupełnie innej perspektywy. W oryginale i wielu ekranizacjach jest potworną, jednoznacznie złą postacią, którą Dorotka musi zgładzić, żeby wrócić do domu.

W „Wicked" staje się jednak protagonistką, nierozumianą, zepchniętą na margines outsiderką, która w wyniku manipulacji i tragedii dostaje łatkę „złej". Podobnych przykładów jest jednak więcej – Diabolina, czyli wiedźma z opowieści o Śpiącej Królewnie, jest ukazana w filmie z 2014 r. jako postać niejednoznaczna i dotknięta traumą, a Cruella de Mon, antagonistka „101 Dalmatyńczków", zamienia się w kinowej produkcji z 2021 r. z diabolicznej morderczyni słodkich szczeniaczków w genialną, bezczelną i zawistną, ale nie okrutną bohaterkę, walczącą z determinizmem spychającym ją na ścieżkę zbrodni.

Wszystkie powyższe produkcje biorą postaci tradycyjnie złe i próbują dopisać im motywacje, nie usprawiedliwiając swoich antybohaterek, ale szukając społecznych, systemowych i psychologicznych czynników wpływających na genezę ich powstania. To duża zmiana, odchodząca od prostego oddzielania dobra od zła, które przecież stanowi serce klasycznych baśni. W tym sensie serial o Wednesday czerpie ze spuścizny wielu innych dzieł. Ale dlaczego tego typu historie w tej właśnie estetyce grozy w wersji *light* cieszą się taką popularnością i co doprowadziło Wednesday do rangi światowego fenomenu?

Bestia we mnie

Po pierwsze, eksplorowany od prawie dwustu lat wizerunek młodej kobiety połączony nierozerwalnie z motywem śmierci ewoluował znacząco, ale dopiero w kilku ostatnich dekadach, po części za sprawą subkultury *goth*, stał się formą wyrazu niezależności. I taką postacią właśnie jest Wednesday – czerpiącą z romantyzowanej estetyki, ale przełamującą ją postawą buntu przeciwko normom.

Wednesday jest indywidualistką, która nie dba o uznanie, ale jednocześnie pod maską sarkazmu skrywa dobre serce, dba o innych i szuka sprawiedliwości. Tego typu wątki są szczególnie pociągające dla szukających swojej tożsamości młodych osób. Serial Netfliksa pokazuje im, że mogą być, kim chcą, a odmienność jest ich siłą.

Dojrzewanie to często okres rebelii wobec konwenansów, ale też rosnącego poczucia niedopasowania – szczególnie u osób neuroróżnorodnych czy w jakikolwiek sposób innych od większości. Wednesday, ale też inne produkcje, których główne postaci wyglądają i zachowują się „inaczej", ale mimo to odnajdują swoje miejsce, daje nadzieję, że i w życiu poza ekranem jest to możliwe.

Estetyka grozy nie pozostaje tu bez znaczenia. Z jednej strony jest metaforą realnych lęków, teraz – w dobie kryzysów, wojen i polaryzacji politycznej – bez wątpienia silnych. Ale na polu fikcji makabra wylewająca się z ekranu czy kart powieści staje się bezpieczną przestrzenią do eksplorowania tych i innych obaw. Wiele z tych historii ostatecznie opowiada też wreszcie o trudach dojrzewania – a te są takie same, niezależnie, czy w naszej szkole uczą się ludzie, czy potwory, a po lekcjach chodzimy na kółko szachowe, czy planujemy pułapkę na wampira.

© PAWEŁ KICMAN

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

▪ *John Porter / Porter Band,* **HELICOPTERS,** *GAD Records*



45 LAT TEMU TA PŁYTA robiona była na wariackich papierach: sesja nagraniowa przy użyciu prymitywnych środków technicznych zamknęła się w czterech dniach. Dość powiedzieć, że efekt katastrofy helikoptera imitowano zrzucając metalowe przedmioty po kamiennych schodach. Ale właśnie ta rockowa chropowatość jest znakiem „Helicopters": surowe, bezpośrednie granie z energią nie do zatrzymania. Gdzieś między akordami majaczą inspiracje The Cars i Talking Heads. Ale istotne są też polityczne okoliczności powstania albumu: końcówka zimy stulecia, nastroje rozgrzane pierwszą w Polsce wizytą Jana Pawła II, impet karnawału Solidarności. I w tym historycznym wrzeniu pojawia się Porter bezczelnie wyśpiewujący kawałki o dzikim pożądaniu wolności. Czy i dziś nie mamy podobnych nastrojów? Za miedzą Putin, za oceanem Trump, w Europie Orbán i wychodzi na to, że zmieniają się wyłącznie szerokości geograficzne, a tyrani odradzają się jak feniksy z popiołów. „Helicopters" wzywa tymczasem do buntu i oporu. Posłuchajcie choćby utworu „Refill" z frazą: „jeżdżąc moim życiem jak motocyklem". Lub „Crazy, crazy" z niezmiennie aktualnym zdaniem „Mam już dosyć słów, chcę grać własną muzykę." Albo „Ain't Got My Music" z charakterystycznym dla Portera „tyrkotaniem". W aktualnej wersji albumu jego głos brzmi jeszcze mocniej i pełniej niż w minionym millenium. W ogóle muzyk jest w fenomenalnej kondycji, na listopadowym koncercie w Nowohuckim Centrum Kultury przez półtorej godziny rozbrajał publiczność swoim angielskim, pardon, walijskim humorem, grał na gitarach i harmonijce, śpiewał i tańczył swoje geometryczne wygibasy, udowadniając, że rock ma się bardzo dobrze, a prawdziwych artystów czas omija szerokim łukiem.

© KATARZYNA KUBISIOWSKA

▪ **UKRYTE ZNACZENIA. MOTYW WNĘTRZ W SZTUCE POLSKIEJ OD XIX DO XXI W.,** *Muzeum Narodowe w Poznaniu, wystawa czynna do 18 stycznia 2026 r.*



ZBYT RZADKO PRZYGLĄDAMY się temu, co znajduje się w tle obrazów. Skupiamy się przede wszystkim na sportretowanych osobach i wydarzeniach pierwszego planu. Tymczasem twórczynie wystawy w poznańskim Muzeum Narodowym namawiają nas, by skupić uwagę na tym, co zostało umieszczone na dalszym planie. Na tym, co wydaje się mniej istotne, niewarte uwagi. Jednak, jak się okazuje, sztafaż także ma znaczenie. Sama wystawa jest bardzo obszerna. Znalazło się na niej ponad 130 obrazów powstałych od czasów biedermeieru po współczesność. Są tu portrety i autoportrety oraz sceny rodzajowe. Przedstawienia mieszczańskich i ziemiańskich salonów, ale także chłopskich chat, pracowni artystów i studenckich kwater. Powstała opowieść o dwóch stuleciach polskiego malarstwa: od Aleksandra Kotsisa i Aleksandra Gierymskiego, poprzez Olgę Boznańską, Józefa Mehoffera i Józefa Czapskiego, po Jarosława Modzelewskiego i Wilhelma Sasnala. Jednak przede wszystkim jest to wystawa o zmianach społecznych i kulturowych, jakie zaszły w tym czasie. O przestrzeniach publicznych i prywatnych, w których żyły kolejne pokolenia Polek i Polaków. W pierwszych dekadach XIX w. coraz ważniejsze stają się mieszkania jako miejsca rodzinnego życia. Co więcej, zaczynają być przedstawiane w malarstwie, a wyposażenie domów staje się nie mniej ważne niż ich mieszkańcy. Wtedy właśnie rodzi się świat, w którym do dziś funkcjonujemy. W którym przestrzeń domowa w znacznej mierze nas definiuje i świadczy o tym, kim jesteśmy. Tym bardziej warto uważnie przyglądać się wnętrzom przedstawianym na obrazach. Pozwalają lepiej zrozumieć poprzednie pokolenia, ale i nas samych.

© PIOTR KOSIEWSKI



MATERIAŁY PRASOWE X2

▪ **KRZESŁA** *(„The Chair Company"), Tim Robinson, Zach Kanin, HBO*

TA HISTORIA ZACZYNA SIĘ OD UPADKU z krzesła, a potem napięcie rośnie. Kiedy podczas firmowego eventu Ronowi (Tim Robinson), menadżeowi odpowiedzialnemu za powstawanie nowego centrum handlowego, przydarza się na oczach współpracowników ten niefortunny wypadek (czy faktycznie wypadek?), mężczyzna postanawia, że producent krzeseł powinien się o tym dowiedzieć, a może nawet ponieść odpowiedzialność, przede wszystkim zaś zareagować, zanim komuś jeszcze stanie się krzywda. Co jednak, jeśli z producentem nie można się skontaktować, a internetowe poszukiwania mnożą coraz dziwniejsze zagadki na jego temat, zamiast dać prostą odpowiedź. Czy ta firma to jakaś przykrywka? Zapewne, ale co jest pod nią? Tak oto Ron przeżywa załamanie i opuszcza przewidywalny świat korporacji, by w poszukiwaniu prawdy wkroczyć do świata wydarzeń: zabawnych, paranoicznych, krindżowych, wulgarnych i przerażających – niekiedy jednocześnie. Bohater traci nerwy, zdobywa osobliwego przyjaciela i wreszcie robi coś, co ma znaczenie, w przeciwieństwie do nielubianej pracy. Twórcy tego oryginalnego serialu zgrabnie łączą gatunki i co rusz wyprowadzają widzów w pole. Jesteśmy w trakcie komedii biurowej, by za chwilę znaleźć się w środku naturalistycznego dramatu społecznego. Ale i tam nie zostaniemy długo. Ostatecznie tylko my i Ron znamy prawdę, gdy szef mówi o nim: „Ron lubi swoje proste życie. Nie musi szukać wrażeń".

©℗ GRZEGORZ BOGDAŁ

Mleko i tusz



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Ten film doskonale przejmuje punkt widzenia młodej matki, która traci grunt pod nogami i orientację w terenie. Dlaczego tak trudno wyjść z depresji poporodowej?

Tkwię między chęcią zrobienia czegoś a brakiem chęci do czegokolwiek – wyznaje bohaterka tego filmu, kiedy ktoś ją pyta, czym się zajmuje. A jest to bardzo eufemistyczny opis tego, co ją gryzie i rozrywa od środka. Depresja poporodowa czy jakaś nierozpoznana jeszcze choroba psychiczna? Trauma z dzieciństwa czy niezaspokojona potrzeba twórcza?

Film „Zgiń kochanie" podsuwa różne diagnozy, ale żadnej z nich nie traktuje ostatecznie. Staje się projekcją wewnętrznego i mocno zniekształconego świata młodej matki, której osamotnienie i niespełnienie przemienia *baby blues* w szaleństwo. Niechaj pierwsza rzuci w ekran kamieniem ta, która w swoim rodzicielstwie nigdy nie dotknęła tej granicy. Albo ten, który zawsze cierpliwie znosił „humory" kobiety uziemionej w domu. Oraz wszyscy ci, którzy prześlepili czyjś wewnętrzny rozpad.

Lynne Ramsay po raz kolejny powraca do tematu „macierzyństwa jako źródła cierpień", traktowanego bez uproszczeń czy ocen. Szeroko dyskutowany „Musimy porozmawiać o Kevinie" najłatwiej byłoby skwitować, że to wyrodna i oziębła matka, zagrana przez charakterystyczną Tildę Swinton, stworzyła syna potwora. Film sugerował jednak, że raczej macierzyńska niegotowość, a potem nieporadność czy wręcz bezradność wobec szczególnie trudnego przypadku zamieniła opowieść o wyzwaniach rodzicielstwa w istne kino grozy. To kino z pogranicza chłodnego studium klinicznego i stylistycznej nadekspresji stawiało widza w bardzo niewygodnej pozycji – między niechęcią czy potępieniem i, mimo wszystko, empatią wobec bohaterki.

„Zgiń kochanie" przynosi innego rodzaju dyskomfort: przejmując całkowicie punkt widzenia młodej matki, która powoli traci grunt pod nogami i orientację w terenie, jednocześnie stosuje jakąś niewidzialną szybę, przez którą w pierwszej kolejności przebija się wyczynowe aktorstwo Jennifer Lawrence.

Film został wyprodukowany między innymi przez nią i przez Martina Scorsesego – on wybrał aktorkę do roli głównej, zachwycony jej równie ekstremalnym występem w „Mother!" (2017) Darrena Aronofsky'ego, ona zaś znalazła reżyserkę. I to Lawrence jako świeżo upieczona mama dyskutowała ponoć ze scenariuszem Ramsay, Endy Walsha i Alice Birch, aż wreszcie, po urodzeniu dziecka, zaakceptowała go w pełni.

Powstał na podstawie argentyńskiej, wydanej również w Polsce powieści „Zgiń, kochanie" Ariany Harwicz, lecz przeniósł akcję z francuskiej prowincji na amerykańską i znalazł dla pierwszoosobowej narracji filmowe środki wyrazu. Wykrzesał także więcej sympatii dla głównej bohaterki, oszczędzając widzom paru drastycznych scen z udziałem niezrównoważonej matki. Jest ona przede wszystkim ofiarą.

Na początku oglądamy rockandrollową dziewczynę z Nowego Jorku, rzuconą wraz z mężem Jacksonem (Robert Pattinson) do małej miejscowości w Montanie, gdzie on odziedziczył po wuju stary dom. Widzimy stopniową przemianę jej percepcji, kiedy po narodzinach dziecka dom przekształca się w pułapkę, pobliskie miasteczko we wrogie terytorium i nawet natura drażni swoim letnim rozbuchaniem. Ramsey intensyfikuje doznania wizualne i słuchowe do granic wytrzymałości. Domowy chaos, osamotnienie i nuda, niezaspokojenie seksualne i chorobliwa zazdrość, ciągły płacz dziecka i szczekanie nowego psa tworzą mieszankę wybuchową. Dokładają się do tego fantazje Grace, jakkolwiek filmowa opowieść tak bardzo chwilami nabrzmiewa i meandruje, że trudno się zorientować, gdzie zaczyna się i kończy tak zwany real.

Kino nie od dziś kocha się w „kobiecym szaleństwie" i zdążyło stworzyć o tym kilka arcydzieł – od „Wstrętu" (1965) Romana Polańskiego, przez „Kobietę pod presją" (1974) Johna Cassavetesa po „Carrie" (1976) Briana De Palmy. Zresztą grająca w tym ostatnim tytule Sissy Spacek pojawia się w „Zgiń kochanie" w roli teściowej Grace, głęboko cierpiącej w swojej żałobie i raczej bezużytecznej w swych dobrych radach, choć być może ona jedyna dostrzega, co tak naprawdę dzieje się z dziewczyną. Przez większą część filmu, kiedy wypalają kolejne strzelby, otwierają się kolejne rany, narasta ogólna demolka, a bezpieczeństwo niemowlaka i jego rodziny coraz bardziej wisi na włosku, jednocześnie opadają ręce – widać, jak krótkowzroczna i mało skuteczna potrafi być pomoc. Zarówno tych najbliższych, pełnych najlepszych intencji, jak i ta fachowa, instytucjonalna.



MATERIAŁY PRASOWE

ZGIŃ KOCHANIE
(Die My Love) – reż. Lynne Ramsay. Prod. USA 2025. Dystryb. Monolith. W kinach od 12 grudnia.

Lynne Ramsay urodziła się w Szkocji i tam zrealizowała swe pierwsze tytuły, „Nazwij to snem" (1999) i „Morvern Callar" (2002). Rozgłos przyniósł jej nakręcony w USA film „Musimy porozmawiać o Kevinie" (2011). Za scenariusz „Nigdy Cię tu nie było" (2017) z Joaquinem Phoeniksem otrzymała nagrodę w Cannes. Prócz reżyserskiego ma także wykształcenie fotograficzne i operatorskie.

Na zdjęciu: kadr z filmu „Zgiń kochanie"

Film jednak, jako się rzekło, odżegnuje się od tradycyjnie rozumianego realizmu, zdaje się zawieszony w umownym bezczasie i próbuje odtwarzać to, czego nie może dostrzec ciężko pracujący Jackson czy nieliczni ich znajomi. Między innymi stłamszoną pisarską pasję Grace. To najmniej przekonujący i najsłabiej dookreślony wątek filmu Ramsay, wzięty oczywiście z książkowego pierwowzoru. Ledwie minęło kilka miesięcy od porodu, a już mowa o blokadzie twórczej.

Zrozumiałe, że chodzi o „własny pokój", czyli o tę fizyczną i psychiczną przestrzeń, która pozwoliłaby kobiecie zajmować się tym, co kocha. Tyle, że w filmie pisarstwo zostaje przypisane bohaterce trochę na siłę lub na słowo honoru. Niepotrzebnie „uszlachetnia" cierpienie Grace, a szczytem minoderii zdaje się scena, gdy młoda kobieta wstaje w nocy, rozpryskuje na czystej kartce krople tuszu i z jej piersi cieknie mleko, mieszając czarne z białym. Aronofsky lubi to, aczkolwiek nie wszystko, co dobrze wygląda na papierze, sprawdza się potem w kinie.

Z pewnością sprawdziła się sama Lawrence, dla której „Zgiń kochanie" okazało się aktorskim benefisem, nawet Pattinsona zostawiając w cieniu. Gwiazda „Poradnika pozytywnego myślenia" cierpienie swej bohaterki wygrywa na pełnej petardzie, podobnie jak jej niewinne zrazu błazeństwa, dziką zmysłowość, amerykańską plebejskość i różne stany świadomości.

Czy czegoś szczególnego można się z tej historii dowiedzieć o psychicznym załamaniu młodej matki i niedoszłej pisarki? O życzeniowo-pokazowej „normalności" wokół niej? Przynajmniej tyle, na ile pozwala to spojrzenie „z wnętrza", które na każdym kroku podkreśla wyobcowanie bohaterki i pozostawia nieprzewidywalną aż do finału. I dopiero, kiedy podczas napisów końcowych reżyserka osobiście wykona „Love Will Tear Us Apart" Joy Division, wygaszając całą tę nadmiarową ekspresję swoim ściszonym głosem *a capella*, czuje się wreszcie, że w tych aktorskich i reżyserskich popisach chodzi o empatię. ©

Lektor:
Gra w przekład



▪ *Jerzy Jarniewicz*
TRANS, CZYLI TRANSFER, TRANSGRESJA, TRANSLACJA
Officyna, Łódź 2025, ss. 384.

Przez wiele lat nazwisko tłumacza podawano niedużym drukiem na stronie tytułowej książki, czasem nawet bardziej je chowano. Ostatnio w przypadku literatury pięknej coraz częściej trafia ono na okładkę, choć niestety nadal bywa przez recenzentów pomijane. Wreszcie jednak uznano, że rola tłumacza nie jest tylko służebna, ale i współtwórcza. A jak to współtwórstwo może wyglądać – pokazuje Jerzy Jarniewicz. I nie jest to drętwe teoretyzowanie, raczej pasjonujące scenariusze gry, której uczestnikami są autor, tłumacz i czytelnik, a czasem jeszcze ktoś.

Materiału sporo, bo – jak tu już pisałem – pojawia się coraz więcej nowych przekładów pozycji klasycznych. Drugi „Ulisses" i inne książki Joyce'a (sam Jarniewicz przełożył na nowo „Portret artysty"), nowy Faulkner, nowy Proust, nowa Virginia Woolf, nowi „Buddenbrookowie" – wyliczać można długo. Autor analizuje przykład Konstandinosa Kawafisa, bardzo ciekawy. Bo niezależnie, czy ktoś wybierze tłumaczenia Zygmunta Kubiaka, Ireneusza Kani czy Jacka Hajduka, wszyscy oni – jak dowodzi Jarniewicz – nie znaleźli bądź nie szukali polskiego odpowiednika pewnej cechy tego pisarstwa, jaką jest swoista wielojęzyczność, mieszanie różnych odmian greczyzny, co greckim krytykom niekiedy przeszkadzało.

Czy to w ogóle możliwe? Pytań tu wiele, na przykład: czy możliwy jest przekład, który... właściwie nie ma oryginału? Zdaniem autora owszem – jeśli tłumacz pracuje poprzez język trzeci i przekłada na przykład wiersz irlandzki w oparciu o kilka jego wersji angielskich, oryginału wskazać się nie da. A co ze swobodą tłumacza? Jarniewicz wraca do burzy, którą po części sam wywołał, krytykując na fejsie rozmowę „Wyborczej" z Emilią Kledzik, autorką pracy o cyganologii Jerzego Ficowskiego. Powtarza teraz, że nie zajmował się książką poznańskiej naukowczyni, ubodła go tylko zawarta w rozmowie sugestia, jakoby poezja Papuszy w polskiej wersji Ficowskiego była „falsyfikatem". Co w takim razie – pyta – z „Kubusiem Puchatkiem", w którym Irena Tuwim sporo pozmieniała i takiego właśnie pokochali Polacy, odrzucając spolszczenie wierne oryginałowi? A byczek Fernando, którego historię Munro Leaf opisał prozą, natomiast pani Tuwim zgrabnie ją zrymowała – czy to też falsyfikat?

Jest jeszcze o starzeniu się przekładów – co to właściwie znaczy? – o tłumaczeniu poezji konkretnej, o spójnikach, o niedocenionych redaktorach i o zjawiskach takich jak oddziaływanie polskiego oharyzmu na poetów w Ukrainie. Słowem, jest co czytać – i czytać warto. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY
KSIĄŻKI W TYGODNIKU
magazyn literacki
„TP" 50/2025



Keith Haring maluje wnętrza klubu Palladium w Nowym Jorku, 1985 r.

Sztuka dla każdego

BRAD GOOCH:

Zamiast wsiadać do pociągów, Keith siadał na ławce i pozwalał wagonikom przejeżdżać. Twierdził, że wystarczy zejść do metra na kwadrans, by obejrzeć dziesiątki obrazów.

MATEUSZ DEMSKI: Masz ulubiony obraz Keitha Haringa?

BRAD GOOCH: Najbardziej zachwycają mnie jego późne prace, choć sentyment mam do tych wczesnych. Szczególnie do muralu „Clones Go Home" (Klony do domu) z 1980 r., odnoszącego się do stereotypowo wyglądających gejów z West Village. To hasło można było zobaczyć w mieście na każdym rogu, mijaliśmy je codziennie.

Bezczelność, swoboda, nieformalność, które kryły się w tym sloganie, robiły na nas wrażenie, choć nie wiedzieliśmy wtedy, kto za nim stoi. Być może chodziło o dreszczyk emocji związany z anonimowością. To nie była wystawa w renomowanej galerii. Nie wiedziałeś, skąd te obrazy się biorą.

A jeśli chodzi o późną twórczości Keitha, byłem niedawno w San Francisco



BERNARD GOTFRYD / LIBRARY OF CONGRESS

i w katedrze Łaski Bożej zobaczyłem jeden z trzech tryptyków ołtarzowych, które stworzył pod koniec życia. Zrobił go w mieszkaniu Yoko Ono, miesiąc przed śmiercią. Widać na nim scenę narodzenia Jezusa, który jest przedstawiony jako dzieciątko w aureoli z promieniujących linii. Znowu, to było niezwykle śmiałe osadzenie sztuki w sferze publicznej, a jednocześnie przypomniało o duchowym aspekcie twórczości Keitha, który, jak sądzę, zawsze tam był.

Jak opisałbyś „linię" Haringa, która pojawia się w tytule biografii? Nazywasz ją górnolotnie linią, która zmieniła sztukę.

Keith powiedział kiedyś: „twoja linia to twoja osobowość". Linia to jego znak rozpoznawczy, a zarazem klucz do twórczości. W młodym wieku pałał sympatią do sztuki wschodniej, zwłaszcza kaligrafii, w której rysunek jest rodzajem pisma, a pismo rodzajem rysunku. Każdy kaligraf ma swój własny, niepodrabialny styl. Kiedy ludzie zaczęli kopiować prace Keitha, nie protestował, przeciwnie – zbierał podróbki swoich koszulek. Uważał, że jego linie można rozpoznać i odróżnić od plagiatów.

Linia Keitha miała w sobie coś z nieskończoności, płynnie przechodziła z jednego obrazu w drugi, również dlatego, że Keith nigdy nie przestawał pracować, miał w sobie nawyk nieustannego rysowania. Nie zatrzymywał się, był kreatywny przez całą dobę, malował kilkadziesiąt obrazów dziennie. Rysował na murach i koszulkach, w kościołach. To wszystko tworzyło jedną ciągłą linię.

We wstępie do książki podkreślasz, że Keith jako swój znak rozpoznawczy przyjął postać „promiennego dziecka". Co się za nim kryje?

Kiedy w 1978 r. trafił na Dolny Manhattan i wyszedł z kredą na ulicę, zaczął przypadkowo tworzyć obrazki, które wkrótce stały się jego alfabetem – latające talerze, piramidy, święcące penisy, reaktory jądrowe i szczekające psy. Znaleźli się tam też „pełzający" ludzie. Im więcej ich rysował, tym większe stawały się ich głowy, aż postaci zamieniły się w raczkujące dzieci.

Keith uważał, że dziecko jest najczystszą i najbardziej pozytywną formą doświadczenia ludzkiej egzystencji. Że jest ono nosicielem życia w jego najprostszej i najbardziej radosnej postaci. Zresztą używał wizerunku dziecka jako swoistego podpisu. Nawet kiedy zdiagnozowano u niego zakażenie wirusem HIV, nie podpisał stron testamentu inicjałami. Narysował dziecko u dołu strony.

Co wyróżniało go na tle innych ówczesnych twórców graffiti?

Na dobrą sprawę to Keith nie był grafficiarzem. Dziś mówimy o tym trochę na wyrost. Był dzieciakiem, który chodził do szkoły artystycznej. Przyjechał do Nowego Jorku, żeby studiować sztuki wizualne. Kiedy wchodził na stacje metra, miał wrażenie, jakby wchodził do galerii lub muzeum. Zamiast wsiadać do pociągu, siadał na ławce i pozwalał wagonikom przejeżdżać. Twierdził, że wystarczy zejść do metra na kwadrans, by obejrzeć dziesiątki niesamowitych obrazów.

Traktował graffiti jak dzieła sztuki na kółkach. Ale sam nigdy nie odważył się malować sprayem na wagonach. Kiedyś zszedł na stację i tak się zestresował, że po prostu uciekł. Policja ciągle aresztowała dzieciaki, próbowała stłumić ten ruch.

Nie uważał się za grafficiarza, nie rywalizował z nimi, jeśli już, to raczej go pociągali. Erotyzował ich, nosił podobne ubrania, czerpał z ich stylu. Na pewno zaczerpnął od nich również pomysł na wizję „sztuki dla każdego". Keith zawsze próbował przekształcić sztukę w coś niekomercyjnego, do czego każdy mógłby mieć dostęp. A równolegle rozwijał przecież karierę na salonach – wystawiał prace w galeriach, stał się światową gwiazdą. Wciąż zadawał sobie pytanie: jak można jednocześnie tworzyć sztukę wysoką i niską?

Keith był bardziej znany i został najbardziej zapamiętany ze swojego projektu rysowania na pustych czarnych panelach reklamowych, które wisiały w tunelach metra. A rysował kredą, która była bardzo krucha. Dorzucił więc do zjawiska graffiti swój własny, subtelny komentarz.

Pamiętasz dzień jego śmierci?

Pamiętam tamten okres, nie konkretny dzień. To był czas, kiedy każdy, kto żył w centrum miasta, zmagał się z AIDS. Słyszało się, że zmarł Robert Mapplethorpe, Keith Haring, ale takich jak oni było wielu. Miałem przyjaciół i kochanków, którzy umarli. Co tydzień chodziłem na nabożeństwa żałobne za tych ludzi. Dopiero pracując nad książką, dowiedziałem się, co dokładnie wydarzyło się tamtego dnia. Całe miasto było pokryte motywami z obrazów Keitha. Na ulicach i placach budowy ludzie malowali „promienne dziecko".

Keith był ważną postacią dla gejów żyjących na Manhattanie. A bycie gejowskim artystą w tamtych czasach było jak „pocałunek śmierci". Twórcy używali komunikatów kodowanych, kamuflowali się, jak Jasper Johns. W jego pracach pojawiały się odniesienia do gejowskiego życia, ale niejawne, nienachalne. To samo dotyczyło poetów i pisarzy. Kiedy zaczynali pisać otwarcie queerowe historie, byli spychani na boczny tor. ↦

↦ Keith zmagał się z tym całe życie, mimo że publicznie się wyoutował. Krytyk Robert Hughes wyśmiewał go na łamach magazynu „Time". Nazywał go „dekoratorem dyskotek" i „Eddiem Murphym świata sztuki". Keith uznał to stwierdzenie za rasistowskie.

A wracając do tematu: osoby queerowe widziały w nim bohatera. Był aktywistą, angażował całego siebie, swoją sławę, swoje ciało i swoje pieniądze w działalność ACT UP (AIDS Coalition to Unleash Power, działającej na rzecz chorych na AIDS – red.). Tworzył plakaty z hasłem „Silent=Death" (Cisza=Śmierć) albo „Safe Sex" (Bezpieczny seks), rozwieszał je po mieście, za co kilka razy był aresztowany.

Znaliście się osobiście?

Tak, ale nazwałbym to typową relacją lat 80. Wtedy każdy znał każdego, często byliśmy dla siebie postaciami „dwuwymiarowymi". Po raz pierwszy zobaczyłem go podczas spotkania promującego moją książkę „Jailbait and Other Stories", które zorganizowało wydawnictwo Queer Press.

Lepiej zapamiętałem jeden z koncertów w Apollo Theater w Harlemie. Siedziałem w loży i gdy przygasły światła, zobaczyłem, że cały trzeci rząd, jakieś trzydzieści miejsc, wypełnia grupa ludzi, którzy wyglądają jak kolorowy skład hip-hopowy. To był Keith i jego krzykliwie ubrane towarzystwo, głównie Latynosi i Latynoski. Keith był jak gigantyczny, błyszczący billboard. Nie mieliśmy wtedy Instagrama, nie było telefonów komórkowych, ale jeśli chciało się wpaść na Keitha, wystarczyło wyjść na miasto i się za nim rozejrzeć.

Później mój kochanek, Howard Bruckner, nakręcił film o Williamie Burroughsie. Kiedy zdiagnozowano u niego HIV, Keith przekazał sporo pieniędzy na pokrycie części kosztów opieki. Podobnie zresztą Madonna.

Na ścianie w moim salonie ciągle wisi grafika Keitha. To jedna z jego corocznych kartek noworocznych – rysunek z tańczącymi i świętującymi postaciami. Wysłał ją Howardowi w ostatnim roku jego życia. Gdzieś pewnie mam jeszcze przypinkę z „promiennym dzieckiem". Keith miał tego całe torby, rozdawał je każdemu, kogo spotkał na ulicy. Andy Warhol zawsze mu zazdrościł, że potrafił funkcjonować jako własna agencja reklamowa.

Jak go wspominasz?

To zabrzmi jak banał, ale był porządnym gościem. Cudowna otwartość na ludzi wyróżniała go spośród wielu artystów tamtego czasu. Nie traktował siebie zbyt poważnie, bardziej interesowało go wygłupianie się i robienie czegoś kreatywnego. Uwielbiał dzieci, miał z nimi świetny kontakt, przyjaźnił się z małym Seanem Lennonem. Czasami miał bliższe relacje z dziećmi swoich przyjaciół niż z nimi samymi.

Ale była też druga strona, nie do pomylenia z postaciami, które radośnie fikały na jego obrazach. Bywał wycofany. Było w nim coś, co można by odczytać jako nieśmiałość. A może trzeba byłoby nazwać to zdystansowaniem – był niczym dziecko wrzucone bez zapowiedzi w świat dorosłych.

Trudno w to uwierzyć, gdy myśli się o jego przyjęciach urodzinowych. Na pierwszym z nich wystąpiła Madonna. Odbywały się one w Paradise Garage, klubie tanecznym. Na nagraniach z imprez sylwestrowych widać, że Keith to nie tylko dusza towarzystwa, lecz zaangażowany gospodarz, który stoi w drzwiach, wita gości, obsługuje bar, podaje poncz w żółtym garniturze Stephena Sprouse'a.

Artystyczny świat Nowego Jorku lat 80. był pełen równie barwnych postaci, a jednocześnie to swoiste studium kontrastów. Na ulicach miasta nocowało coraz więcej bezdomnych, obok których przejeżdżały limuzyny z przyciemnianymi szybami.



Mieszkałem w Nowym Jorku od 1971 r., przyjechałem tam na studia. To był ekscytujący czas dla miasta. Nazywam go „złotym okresem rozwiązłości". Ówczesne bary były po prostu elektryzujące. Pamiętam, jak poznałem Roberta Mapplethorpe'a w The Mindshaft, który był połączeniem parku rozrywki z klubem sado-maso. Dał mi wtedy wizytówkę i powiedział, że jeżeli będę potrzebował zdjęcia do książki, to mogę dzwonić w każdej chwili. Tak zrobił okładkę do mojego debiutanckiego tomu opowiadań.

Lata 80. cechowała kreatywność, połączona z tym, co erotyczne i polityczne. Jeśli robiłeś queerową fotografię, pisałeś queerową poezję, malowałeś queerowe obrazy, to wszystko było aktem politycznym. Czynsze na East Village były niskie. Kluby powstawały i upadały w przeciągu miesięcy. A jednocześnie Nowy Jork był spłukany. Ciągle dochodziło do napadów, istniały ogromne nierówności rasowe.

Była jeszcze druga skrajność, świat rekinów finansjery – świetnie ukazany w filmie „Wall Street" z 1987 r.

To tam padają słowa „chciwość jest dobra", wypowiedziane przez drapieżnego inwestora granego przez Michaela Douglasa. W tym samym roku pojawiła się powieść „Ognisko próżności" Toma Wolfe'a, satyra społeczna i polityczna na epokę Reagana. Ten rozziew między maklerami giełdowymi a miejską biedotą jest czymś, co ostatnio wróciło do Nowego Jorku. Różnica polega na tym, że w latach 80. czuć było ferment społeczny i kulturowy.

Jednocześnie jest to moment, w którym sztuka staje się dobrem luksusowym, a presja na sukces zaczyna być olbrzymia. W lutym 1985 r. na łamach „New York Timesa" pojawia się artykuł o Basquiacie zatytułowany: „New Art, New Money: The Marketing of an American Artist". Słowem: sztuka staje się produktem.

Brad Gooch, **KEITH HARING. LINIA, KTÓRA ZMIENIŁA SZTUKĘ**
przeł. Dagmara Budzbon-Szymańska
Znak Literanova 2025



NICOLA / ADOBE STOCK

Rzeźba Keitha Haringa, Bez tytułu (Trzy tańczące postacie), wersja zaprojektowana w 1989 r., wykonana w 2009 r. Des Moines w Stanach Zjednoczonych, 2024 r.

W 1970 r. w Nowym Jorku działało około dwustu galerii sztuki. W połowie lat 80. liczba ta prawie się potroiła. Bańka pęczniała – jednego roku Julian Schnabel sprzedawał płótno za trzy tysiące dolarów, by po kilku miesiącach jego wartość wzrosła do blisko stu tysięcy. Mary Boone, marszandka Schnabela, powiedziała wtedy, że ludzie kupują sztukę jak losy na loterię. I Keith, i Jean-Michele Basquiat stali się z dnia na dzień globalnymi gwiazdami. Ich prace zaczęły osiągać zawrotne ceny. Znaleźli się więc w świecie wielkich pieniędzy, narkotyków, podróży i sławy. To był test wytrzymałości, którego nie przeszli.

Keith był skądinąd krytykowany za połączenie sztuki i komercji. Kiedy w 1986 r. otworzył Pop Shop w SoHo, pisano, że jest siewcą kiczu i że gdyby był artystą z jaskiń w Lascaux we Francji, sztuka zatrzymałaby się w miejscu.

Nie doczekał się za swojego życia wystawy w żadnym muzeum na terenie Stanów Zjednoczonych. Szukał innego sposobu, tworzył swoją markę. Ludzie mieli okazję poznać jego sztukę przez zwyczajne zakupy. W ten sposób jego obrazy są noszone do dzisiaj na koszulkach przez osoby w każdym wieku. Jest to zupełnie normalne, wielu artystów sprzedaje gadżety i tym sposobem komunikuje się ze światem.

Wracając do Nowego Jorku: jak wyglądała wówczas sytuacja osób queerowych?

Nasze pokolenie dorastało w represyjnej Ameryce lat 50. i 60. Nigdy w dzieciństwie nie słyszałem słowa „gej". Po latach myślę, że powodem mojego przyjazdu do Nowego Jorku był *coming out*. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po przeprowadzce, było pójście do Gay Lounge. To był pierwszy gejowski klub w Ameryce. I moja prywatna szkoła życia.

Aż nagle pojawiło się AIDS. Do końca 1983 r. w Nowym Jorku zdiagnozowano 1851 przypadków. Zmarło 857 osób. Fala zachorowań mocno dotknęła Manhattan.

Ludzie zaczęli umierać jak na wojnie. I nikogo to nie obchodziło. Ronald Reagan nigdy nie wypowiedział publicznie słowa AIDS. Ed Koch, ówczesny burmistrz Nowego Jorku, był gejem i aż do śmierci ukrywał swoją orientację, natomiast w okresie największego wzrostu zachorowań blokował wydatki na badania nad AIDS.

„New York Times" jako pierwszy napisał o „raku gejów" w krótkim, oschłym artykule, który ukazał się w lipcu 1981 r. To tylko wzmogło poczucie wstydu. Ludzie prowadzili podwójne życie, ukrywali swoje diagnozy przed rodzinami. Tymczasem Keith o swoim stanie zdrowia opowiedział na łamach „Rolling Stone". Jako osoba publiczna z AIDS pojawił się na okładce.

Dzisiaj jest inaczej, wraz z partnerem wychowuję dwóch chłopców, wtedy to brzmiało jak *science fiction*. Keith zresztą pisał o tym w swoich dziennikach, że wyobraża sobie taką sytuację, porównując ją do lotu na Marsa. I twierdził, że gdyby takie loty były możliwe, to pewnego dnia by poleciał. Nigdy nie ukrywał, że chciał mieć dzieci. Myślę, że był do tego stworzony.

Brałeś udział w akcjach protestacyjnych ACT UP?

Byłem na kilku spotkaniach, protestach, wiele osób, które znałem, było w to zaangażowanych. Każdy z nas do pewnego stopnia był. Ludzie zaczęli chorować, wśród nich był Howard i jeden z moich współlokatorów. Niedawno Tilda Swinton w wywiadzie dla BBC powiedziała, że w ciągu jednego roku była na czterdziestu trzech pogrzebach swoich przyjaciół. Podobnie to pamiętam. Ale nie byłem tak aktywny jak Keith. W zeszłym roku dowiedziałem się, że w 1989 r. pokrywał on jedną trzecią wydatków ACT UP, o czym do niedawna nikt nie wiedział.

Zaangażowanie było dla niego naturalne.

W szkole średniej angażował się w działania rodzącego się ruchu ekologicznego. Próbował zmobilizować wyborców, by oddawali głos przeciwko Reaganowi. W wyborach z roku 1984 sprawa od początku wydawała się przegrana, ale to go nie powstrzymywało. Swoje pierwsze plakaty rozdawał podczas wiecu na rzecz rozbrojenia nuklearnego. Pod koniec życia poleciał do Hiroszimy, aby odwiedzić miejsce zrzucenia bomby atomowej, miał namalować tam mural, ale kiedy Japończycy usłyszeli plotki, że ma AIDS, odwołali prace nad muralem, a on się wściekł. Ten moment stanowił kumulację wielu spraw.

Keith naprawdę wierzył, że sztuka może zmienić świat na lepsze, że powinna być dostępna i przystępna dla każdego. Miał wyczucie tego, co działa, co ma potencjał, aby przemówić do ludzi. Nieważne, czy rysował na czyjejś koszulce, czy na murze berlińskim. Nawiasem mówiąc, twierdził, że ten mur jest najbardziej symbolicznym murem, na jakim miał okazję malować – metaforą innych murów, jakie istnieją w RPA, Belfaście i umysłach.

Czym właściwie dziś jest sztuka Keitha Haringa? ↦

↦ Wiele osób ma wciąż problem z jego spuścizną. Gdy ukazała się moja książka, przyjęcie ze strony krytyki literackiej było świetne, natomiast grupą, która miała wiele zastrzeżeń i wątpliwości, byli krytycy sztuki. Zastanawiali się przede wszystkim nad tym, czy Keith był artystą, czy kapitalistą. Byłem zaskoczony tym podejściem już w latach 80., ale słysząc to w 2024 r., kiedy branding i marketing są nieodłączną częścią rynku sztuki, po prostu oniemiałem.

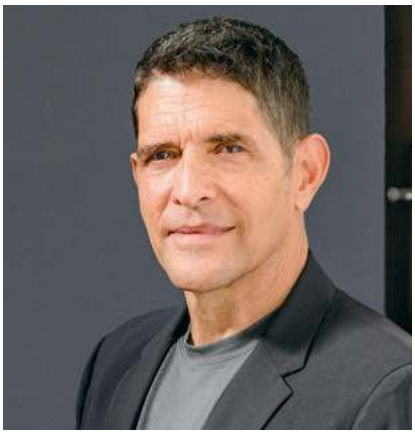
Słowa i idee Keitha są aktualne i powinny być dla większości zrozumiałe. „Sztuka dla każdego", a więc demokratyzacja i budowanie wspólnoty poprzez sztukę czy „aktywizm artystyczny" – to coś, co po nim odziedziczyliśmy. Najbardziej czytelnym przykładem jest Banksy, wiele łączy go z Keithem: sztuka uliczna, prace jawnie polityczne, a do tego poczucie humoru i ironia. Tego wszystkiego nie byłoby bez Keitha.

Gdyby żył, prawdopodobnie malowałby murale w Ukrainie i na zgliszczach Gazy. Czy umiesz sobie wyobrazić jego twórczość w dzisiejszym kontekście?

Kiedy jestem pytany przez dziennikarzy, jakie było moje największe odkrycie na temat Keitha podczas prac nad tą książką, to odpowiadam, że uzmysłowienie sobie, jak ważnym i wpływowym artystą wciąż jest. Odkryłem też jedną ciekawą rzecz, chodzi o projekt, którego Keithowi nigdy nie udało się zrealizować.

Podczas pobytu w japońskim mieście Tama wpadł na pomysł, by wszystkie tamtejsze dzieci ustawiły się w jednym miejscu z lustrami w rękach. Odbijając poranne promienie słoneczne, miały stworzyć obraz raczkującego dziecka widoczny z satelity. Potem chciał to odtworzyć na całym świecie – dzieci z Moskwy, Paryża, Tokio, Szanghaju, Delhi, Nowego Jorku i Los Angeles w tym samym czasie zrobiłyby coś razem. Linia Keitha połączyłaby cały świat. To najlepiej pokazywało skalę jego ambicji, które dzisiaj prawdopodobnie miałyby szansę wybrzmieć.

© Rozmawiał MATEUSZ DEMSKI



JACK PIERSON / MATERIAŁY PRASOWE

BRAD GOOCH – biograf, powieściopisarz, poeta, stypendysta Fundacji Guggenheima. Pisał m.in. o Franku O'Harze i Flannery O'Connor. Biografia pisarki („Flannery: A Life of Flannery O'Connor") znalazła się w finale National Book Critics Circle Awards. Napisana przez niego biografia Keitha Haringa („Radiant: The Life and Line of Keith Haring", wyd. pol. „Keith Haring. Linia, która zmieniła sztukę", przeł. Dagmara Budzbon-Szymańska, Znak 2025) trafiła na listę najlepszych książek 2024 r. magazynu „Washington Post".

REKLAMA



wyborcza KSIĄŻKI
MAGAZYN DO CZYTANIA

Największe pismo literackie w Polsce.
Dobrze się czyta.



Kup z dostawą do domu

prenumerata24.pl

Witajcie w traumalandzie

MAX CEGIELSKI

Nie ma kolacji czy imprezy, na której dyskusja nie schodzi na pytanie: co zrobisz, kiedy Rosja zaatakuje Polskę? Pójdziesz do wojska czy wyjedziesz?

Od wojny coraz dalej. Daleko. Zimno, zimniej, cieplej, ciepło, gorąco. Historia lubi się powtarzać, szepcze wieczorem mama, to są szczeliny, przez które widać Boga. I diabła". Samych działań zbrojnych nie widać i nie słychać w powieści Marty Hermanowicz pt. „Koniec", która zwyciężyła w konkursie o Nagrodę Conrada na najlepszy debiut prozatorski i zdobyła nominacje do wielu innych wyróżnień literackich.

Psychologiczne traumy przodków tkwią za to głęboko we współczesnej narratorce – Malwinie. To „dziecko popsute, poradzieckie, poniemieckie", które mimowolnie śni wojenne wspomnienia babci Lotki. Nie pomagają protesty dziewczynki: „wynoś się z mojej głowy, zabieraj swoje tobołki", medium z warkoczem ma „stare oczy" i nie potrafi „złożyć się w całość", choć tego wymaga od niej ojczyzna w rytm hymnu państwowego.

Przechowanie

Urodzona w 1982 r. Hermanowicz pisze w posłowiu i przyznaje w wywiadach, że inspiracją do napisania książki były prawdziwe losy jej rodziny, wywiezionej w 1940 r. z Wołynia na Syberię. W powieści na zesłaniu umiera senior rodu i najmłodszy syn, a starszy zaciąga się do Armii Andersa, dzięki czemu wojnę, częściowo w obozie w Afryce, przeżywają też jego dwie młodsze siostry, Lotka oraz Halina i ich matka. Warunki panujące w sowieckich więzieniach i łagrach polska literatura poznała z pierwszej ręki Gustawa Herlinga-Grudzińskiego w „Innym świecie".

Piekło obozów „Na nieludzkiej ziemi" i niemalże biblijny eksodus Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR w latach 1941-1942 opisywał też Józef Czapski. Losy około 15 tysięcy dzieci, które z polskim wojskiem przez Iran trafiły do Afryki, Indii czy na antypody, powróciły ostatnio w reportażach, np. „W Nowej Zelandii wschodzi słońce" Martyny M. Wojtkowskiej.

Skutki paktu Hitlera ze Stalinem, a potem jego zerwania dla mieszkańców przedwojennej wschodniej Polski były eksploatowane przez autorów i komentatorów politycznych prawicy jako poręczne narzędzia dyskursu antykomunistycznego. Hermanowicz nie tylko odbiera tę tematykę konserwatystom, ale wykorzystuje literacko, nie po to, by pisać jak Timothy Snyder o ziemiach skrwawionych z powodów geopolitycznych. Nie ma w tej opowieści miejsca na zbrodniarzy oraz „naszych" – heroicznych bohaterów wojennych.

Tango „To ostatnia niedziela" nie przywołuje wyimaginowanej polskiej idylli sprzed 1939 r. W powieści „Koniec" ironiczne powtarzanie hymnu i dziecięcych wyliczanek oraz inwektyw w stosunku do babci i ojczyzny staje się egzorcyzmem nieprzerobionych traum narodowych. Babcia Lotka daje wspomnienia wnuczce „na przechowanie, na przemilczenie tego, co się widziało", jej pokoleniu system władzy nie pozwalał mówić o wywózkach ani o gwałtach sowieckich żołnierzy.

Odpychanie

Zainteresowania Marty Hermanowicz można by uznać za odosobnione, ale psychologiczne echa wojny odczuwane po 80 latach przez trzecie (a może i czwarte) pokolenie Polek i Polaków obecne są także u innych młodych autorów. W finale Nagrody Conrada znalazła się także książka „Luneta z rybiej głowy" Patryka Zalaszewskiego, urodzonego w 1996 r. Autor nie miał więc szansy zetknąć się ze ZBoWiD-owską propagandą PRL, ale dorastał, kiedy chcąc nie chcąc żyliśmy w kraju przesiąkniętym polityką historyczną PiS.

Pierwsze zdanie misternie splecionego zbioru nadmorskich, rodzinnych i rybackich opowiadań Zalaszewskiego brzmi: „To całkiem zabawne, że mój dziadek nigdy nie wrócił z wojny. Może gdyby umarł, toby zabawne nie było, ale rzecz w tym, że wrócił i nie wrócił jednocześnie". Pozbawiony nogi dziadek rusza się z pieca głównie po to, by stłuc żonę, ale inaczej niż dotychczas w polskiej literaturze, nie jest tylko przemocowym samcem zniszczonym przez alkohol.

Narrator przyznaje, że nienawidził i zarazem kochał dziadka za opowieści wojenne. „Wtedy mnie to pociągało, jak wszystkie dzieci, a teraz mnie to odpycha, przeraża, paraliżuje, gnieździ gdzieś we mnie". To zdanie definiuje traumatyczną relację przyciągania i odpychania, która tkwi we wnukach ocaleńców, zarówno tych z łagrów, jak i z Holokaustu i wszystkich rzezi wojny oraz „wielkiej trwogi" później.

Oczywiście, po zamilknięciu pokolenia Tadeusza Konwickiego te tematy nigdy nie zniknęły z polskiej literatury, w ostatnich latach w „Przewozie" i „Rzece dzieciństwa" z dalekich podróży i lokalności Beskidu powracał do nich Andrzej Stasiuk. Za pisarza wojen, zarówno tej pierwszej, wielkiej wojny (np. „Pokora"), jak i drugiej (np. „Król", „Królestwo") oraz tej współczesnej, w Ukrainie („Null") trzeba uznać Szczepana Twardocha. Stosunek pokolenia Hermanowicz czy Zalaszewskiego do historii jest jednak zupełnie inny.

Generacja wychowana w kulturze psychoterapii i nazywania osobistych problemów zgodnie z nowoczesną nomenklaturą medyczną koncentruje się ↦

↦ na psychologii i pracy z traumą, zarówno tą odziedziczoną, jak i całkiem nową.

Pogowanie

„Matko moja, spójrz przez okno / Wszędzie śmierć i krew" – śpiewała Siekiera w Jarocinie w 1984 r., ale apokaliptyczny tytuł utworu „Idzie wojna" surrealistycznie rozrzedzała wersami takimi jak „Tam na polu leży głowa / Gnije szczurza pierś". W kontrze do utylitarnego traktowania przeszłości przez władze PRL, kultura niezależna, w tym muzyka punkowa i nowofalowa, traktowała o ogólnej beznadziei. Widmo zagłady atomowej było raczej metaforą nastrojów niż faktem politycznym.

O dawnych partyzantach, kombatantach zespół Red Star mimo cenzury śpiewał z użyciem słów powszechnie uważanych za wulgarne. Kiedy wokalista Kobranocki w „Liście z placu boju" wcielał się w martwego żołnierza, chodziło o gest pacyfistyczny, powszechne w późnym PRL i na początku lat 90. unikanie przymusowego poboru do wojska. Niezależnie od strachu przed „trepami" i „falą", katowaniem „kotów", armia i jej udział w jakichkolwiek konfliktach wydawał się po prostu absurdalnie niemożliwy.

Młodzież, przekarmiona aż do bólu brzucha „Czterema pancernymi" i „Hansem Klossem", chodząc obok wszechobecnych tablic uwieczniających rozstrzelania uciekała od tematyki wojennej. Uciekała w bok, do azyli upragnionej wolności, lub do przodu, w politycznej walce, w której symboliczny Katyń był jednak tylko faktem historycznym i argumentem retorycznym przeciwko władzy.



KATARZYNA KUKIEŁKA / MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU CONRADA

Marta Hermanowicz, laureatka Nagrody Conrada 2025. Kraków, 26 października 2025 r.

Raportowanie

10 września 2001 r. w Warszawie odsłonięto billboard grupy Twożywo przedstawiający młodego człowieka beztrosko leżącego, patrzącego w niebo i żującego źdźbło trawy. Tekst obok brzmiał „Kiedy wreszcie będzie wojna" i w związku z zamachami w USA następnego dnia zdawał się wieszczyć załamanie światowego porządku. Artyści, Mariusz Libel i Krzysztof Sidorek, nie mogli mieć oczywiście pojęcia o szykowanych przez Al-Kaidę działaniach terrorystycznych. Skandal, jaki wywołała ich praca w przestrzeni publicznej, wynikał głównie z przełamania atmosfery „Końca historii" Fukuyamy, który stał się wręcz częścią obowiązującej ideologii państwowej.

Upadek wielkiej narracji socjalizmu i krajny neoliberalizm lat 90. skupiony na innej, czysto rynkowej wizji przyszłości miał zamknąć tragiczną i niechcianą polską przeszłość. Prowokacyjne hasło Twożywa po prawie 25 latach wydaje się jednak przeczuciem tego, co tkwiło wciąż w społeczeństwie: głębokiego, genetycznego wręcz przekonania, że skoro wojny tak długo nie było, to w końcu musi znów wybuchnąć.

W czasach konfliktów hybrydowych i *proxy wars* – wojen zastępczych, toczonych przez pośredników – nie wszyscy poczuli powrót historii w 2014 r., kiedy Rosja zaanektowała Krym i zaatakowała Donbas. W lutym 2022 r. tym głośniej o pełnoskalowej wojnie mówiły media. Dziś nie ma kolacji czy imprezy, na której w którymś momencie dyskusja nie schodzi na pytanie podstawowe: co zrobisz, kiedy Rosja zaatakuje Polskę? Pójdziesz do wojska czy wyjedziesz?

„Idzie wojna?" – pyta Agnieszka Lichnerowicz specjalistów i od razu w tytule odpowiada „Spodziewaj się najlepszego, przygotuj na najgorsze". Z kolei reporter Paweł Pieniążek w książce „Wojna w twoim domu" opisuje, jakby szykując nas na najgorsze, tych, którzy już do niej przywykli. „Gdy wojna raz przyjdzie do twojego domu, już nie chce z niego wyjść. Jest jak uciążliwy pasożyt, którego nie da się pozbyć". Chodzi mu o Ukrainę i Afganistan, o którym przecież przez lata czytaliśmy inne reportaże, ale to samo można

by napisać o „pasożycie wojny" w nas, dziś.

Bujanie

Fachowe pojęcie PTSD, czyli *post-traumatic stress disorder*, w polskich reportażach pojawiło się chyba po raz pierwszy właśnie za sprawą Afganistanu. Grażyna Jagielska w „Miłości z kamienia" już w 2013 r. opisała swoją terapię w klinice stresu bojowego. Nie była żołnierzem, nigdy nie trafiła na żaden front, ale okazało się, że na zaburzenie psychiczne powstające w reakcji na skrajnie stresujące wydarzenie może cierpieć także żona korespondenta, w tym przypadku Wojciecha Jagielskiego.

W tej samej wojskowej klinice, utworzonej specjalnie dla żołnierzy powracających z Afganistanu i Iraku, leczył się także współpracujący z Jagielskim fotograf – Krzysztof Miller. Między innymi zespół stresu pourazowego doprowadził do jego samobójczej śmierci w 2016 r. W książce „13 wojen i jedna. Prawdziwa historia reportera wojennego" próbował opisać, ile kosztowało go robienie zdjęć na frontach i w miejscach konfliktów, wojen domowych, rzezi w Rwandzie czy Kongo.

„Fotel na biegunach wyrzuciłem. Ale wieczorami (...) mam taki moment. Że na krześle jak na fotelu zaczynam się bujać. (...) Oni, ci, których widziałem, oni wraz ze mną zaczynają się bujać. Oni, ci, których widziałem, ale których już nie zobaczę. Którzy zostali tylko w mojej głowie i na celuloidzie taśmy fotograficznej". Prostym językiem Miller opowiedział to samo, co w literacko wyszukany sposób robi Hermanowicz. Wiedzieli o tym zresztą świetnie Adam Mickiewicz i Maria Janion: zmarli, a szczególnie bestialsko zamordowani, zostają z nami na zawsze. Czy tego chcemy, czy nie, „napadają w snach", jak w powieści „Koniec".

Traumatyzowanie

Psycholog społeczny i polityczny Michał Bilewicz w wydanej w 2024 r. książce „Traumaland. Polacy w cieniu przeszłości" przywołuje nie tylko pionierskie badania prowadzone wkrótce po zakończeniu II wojny światowej. Zespół Stefana Baleya już wtedy stworzył pojęcie „kompleksu wojennego", na który cierpieli młodzi Polacy.

Bilewicz analizuje też te nowe badania, prowadzone w Europie Zachodniej od lat 90., z których wynika, że średni odsetek cierpiących na PTSD w różnych krajach wynosi 5-10 proc. U nas natomiast wielokrotnie ponawiane analizy profesor Mai Lis-Turlejskiej pokazały, że około 30 proc. emerytek i emerytów, którzy w trakcie wojny byli dziećmi, cierpi na stres pourazowy.

Z naukowych badań wynika, że odczuwa go także młodsze pokolenie – wnuków i wnuczek – na które spadają nieprzerobione sny i traumy przodków. „Chodzi o to, żeby tę traumę opisać i nazwać, bo to nigdy tak naprawdę nie zostało zrobione", pisze Lis-Turlejska cytowana przez Bilewicza, który idzie dużo dalej w swoich rozważaniach.

Opisuje „narcystyczną osobowość traumalandu", zarówno naszą, jak i tę we współczesnym Izraelu, a jego książka przy okazji tłumaczy brak empatii w stosunku do Palestyńczyków. Przede wszystkim jednak Bilewicz wskazuje, że jedynym, co łączy współczesnych Polaków, jest właśnie „doświadczenie największej zbrodni w historii ludzkości", kiedy dwa totalitaryzmy zabiły 14 milionów cywilów i jeńców wojennych.

Zapychanie

Marta Hermanowicz, pisząc swoją książkę przez wiele lat i wydając ją w 2024 r., mniej więcej wtedy, kiedy Bilewicz, nie mogła jeszcze znać „Traumalandu", ale także powołuje się w wywiadach na światowe i specyficznie polskie PTSD.

Nośnikiem i najbardziej brutalnymi przekazicielami traum byli wcześniej w literaturze głównie pijący ojcowie, jak u Wojciecha Kuczoka w „Gnoju" czy, wiele lat później, tytułowy „Mireczek" Aleksandry Zbroi. Zwrot feministyczny wciągnął w orbitę literackich zainteresowań także kobiety, które z ofiar stały się mimowolnymi katami („Koniec"). Zamiast przytulić, zapychają dzieci jedzeniem, tak jak w kolejnym debiucie: „Trzewiach" Aleksandry Paduch, gdzie rodzina przeszła wojenną poniewierkę.

Traumatycznym źródłem opresji są w nowej literaturze całe rodziny, rozpisane raczej wielopokoleniowo niż płciowo. Nawet Jul Łyskawa, choć od tematów polskich uciekł aż do Ameryki, w nagrodzonej Paszportem „Polityki" (i także nominowanej do Nagrody Conrada) „Prawdziwej historii Jeffreya Watersa i jego ojców" pisze sagę rodzinną, w której powracają echa wojen i twardej ręki przodków.

Także zwrot ludowy – przepisujący na nowo historię głosami dawniej wykluczonych warstw społecznych, głównie chłopek i chłopów – zyskuje swoją odnogę wojenną. Nie chodzi tylko o wspomnienia w pamiętnikach wiejskich kobiet analizowanych przez urodzoną w 1996 r. Antoninę Tosiek w „Przepraszam za brzydkie pismo".

Ishbel Szatrawska już wcześniej w powieści „Toń" pokazywała swoje rodzinne Prusy Wschodnie przez pryzmat wielopokoleniowej, multietnicznej sagi, której kolejne wojny były oczywiście punktami zwrotnymi. Ta książka czerpała raczej ze znanego już idiomu „małych ojczyzn", natomiast tegoroczna, „Wyrok", łączy pytania moralne z końcówki II wojny światowej z kwestiami wprost klasowymi. Powieść rozgrywa się w bliżej nieokreślonym miejscu na południu Polski, w górach, w biednych wsiach, w których zdobycie pożywienia i przeżycie jest ważniejsze od tego, kto wygra zmagania o władzę na skrwawionych ziemiach.

Szatrawska, urodzona w 1981 r., podobnie jak większość autorów i autorek roczników 80. i 90., poza stolicą i dużymi miastami, również bardziej interesuje się skutkami psychicznymi i etycznymi przemocy niż jej historyczno-politycznym wymiarem. Dawne stawki rozgrywek z komunizmem są już po prostu całkowicie nieaktualne dla młodszych roczników pisarek i pisarzy.

Wyzwalanie

Wszystkie te nowe książki mają swoje korzenie w naszym traumalandzie. Triggerem, czyli w języku psychoterapii wyzwalaczem, są zapewne nowe przeżycia, skutek wojny tuż obok, w Ukrainie, a może i nawet nieco dalej, w Palestynie. Kultura terapeutyczna każąca nam szukać pomocy zarówno na kosztownej kozetce, jak i taniej, w twórczości, wyzwala dzieła bardzo ważne dla całokształtu polskiej kultury, w jej długim trwaniu.

Tytułowy koniec u Hermanowicz nie oznacza pacyfistycznej idylli – kresu zbrojnych konfliktów – ale terapeutyczne przerobienie ich skutków, zatrzymanie zaklętego koła powtarzanych cierpień. © MAX CEGIELSKI

Kim jest Gatsby

PIOTR PAZIŃSKI

W Ameryce nuworyszowi wolno mniej. Wobec prawdziwie wielkich tego świata milioner z awansu nigdy nie przestanie być petentem.

Wielkiemu Gatsby'emu stuknęło sto lat. I chociaż od epoki prohibicji i szalonych imprez na Long Island świat ponoć zmienił się nie do poznania, to rozmaite mechanizmy społeczne i reguły zachowania zbiorowości, których błyskotliwą wiwisekcję w swojej najsłynniejszej książce dał Francis Scott Fitzgerald (1896-1940), są te same.

Także i dzisiaj ludzie gonią za blichtrem i modami, łakną szybkich pieniędzy, próbują sforsować niewidzialne, acz trwałe bariery. Marzą o innym, może lepszym życiu, aspirują do socjety i celebrytów, zazdroszczą bogaczom, bywają snobami, nadzwyczaj łatwo odwracają się od niedawnych idoli. Także i dziś sławę od upadku dzieli niekiedy jeden krok.

Ameryka, erotyka

„The Great Gatsby", trzecia (i niestety przedostatnia, bo postępujący nałóg alkoholowy w zasadzie uniemożliwił autorowi twórczość w drugiej połowie lat 30.) powieść Fitzgeralda, jednego z ojców nowoczesnej literatury amerykańskiej, w 1925 r. przyjęta przez krytykę z mieszanymi uczuciami, daleka od list bestsellerów, dziś ma status arcydzieła.

Obrosła niezliczoną liczbą komentarzy, doczekała się kilku świetnych adaptacji filmowych, wielu teatralnych i musicalowych, oraz prequeli i sequeli, różnej jakości artystycznej. Dziś wraca do Polski jako klasyk, w przekładzie Macieja Świerkockiego (przed nim Gatsby'ego tłumaczyli Ariadna Demkowska-Bohdziewicz i Jacek Dehnel).

Czytano ją rozmaicie. Jako zaszyfrowaną historię Ameryki, rzecz o hipnotycznych mirażach amerykańskiego snu i jego klęsce, jako pikantny, naszpikowany aluzjami dokument z życia nowojorskiej socjety w szalonych latach 20., posępny moralitet albo wzruszającą hi-



Francis Scott Fitzgerald
TEN WIELKI GATSBY
przeł. Maciej Świerkocki
Officyna
2025

storię miłosną. Interpretowano w duchu marksizmu, teorii krytycznej i *gender studies*. Chwalono jej autora za język i zmysł obserwacji oraz wytykano potknięcia i nieprawdopodobieństwa fabularne, wynikające, jak chcieli złośliwi, z niedostatecznego osadzenia w środowisku high-life'u.

Dla milionów czytelników urzeczonych legendą Nowego Jorku „Wielki Gatsby" (jakoś nie przekonuje mnie zaimek wskazujący w tytule nowego, skądinąd świetnego przekładu) jest atrakcyjną powieścią z epoki jazzu, mafii i eleganckich automobilów. Jedni (zdaniem krytyki słusznie) podziwiają nowatorskie formalnie opisy hucznych przyjęć w rezydencji Gatsby'ego. Innych porywa erotyka książki – aluzyjna, niedopowiedziana, queerowa. Jeszcze inni traktują „Gatsby'ego" jak psychologiczny kryminał i próbują rozgryźć dręczącą tytułowego bohatera zagadkę. Kim u licha był Jay Gatsby? Romantykiem, hochsztaplerem, przestępcą, a może tricksterem, którego krótka, zawrotna kariera obnażyła hipokryzję klasy społecznej, do której beznadziejnie pragnął należeć?

Czytelnikom szukającym w „Gatsbym" klucza biograficznego znawcy twórczości Fitzgeralda dostarczają mnogość interpretacji w tym duchu. Faktycznie, w postaci Jamesa Gatza vel Jaya Gatsby'ego Fitzgerald zaszyfrował niektóre elementy własnego życiorysu. A bardziej jeszcze – trudne do przyszpilenia napięcie pomiędzy życiem tu a życiem tam, między aspiracjami a niespełnieniem.

Miłość, wojna

Urodzony na Środkowym Zachodzie, w nieźle prosperującej rodzinie z klasy średniej, irlandzkiej, a więc katolickiej (co w ówczesnej Ameryce z automatu oznaczało niższy status społeczny), wychowany na Wschodnim Wybrzeżu, nie był parweniuszem, nie zaznał w dzieciństwie biedy, ale nie należał do elity. Mógł się do niej dostać, i faktycznie to uczynił, ogromnym kosztem własnym.

Być może nie byłoby Gatsby'ego albo byłyby całkiem inny, gdyby nie studia w Princeton i spotkanie Ginevry King, panienki z klasy wyższej, dziedziczki wielkiej fortuny. Fitzgerald zakochał się bezprzytomnie. Ginevra przynajmniej jakiś czas odwzajemniała uczucie, ale na drodze do spełnienia stanął jej ojciec. Charles Garfield King, chicagowski magnat giełdowy, jednoznacznie i brutalnie przekreślił marzenia niedoszłego narzeczonego: „biedny chłopiec nie powinien myśleć o ożenku z bogatą dziewczyną". Jeżeli miłość do Ginevry z czasem osłabła, słowa jej ojca pozostały w Fitzgeraldzie do końca życia.

Odrzucony Francis rzucił studia i zaciągnął się do armii z postanowieniem, że polegnie na jednym z europejskich frontów wielkiej wojny. Nie pojechał, nie poległ, a stacjonując w Alabamie, poznał towarzyszkę życia. Zelda Sayre, panienka z także zamożnej, południowej rodziny (na biedniejsze dziewczyny Fitzgerald nie zwracał, jak się zdaje, uwagi), postawiła warunek: wpierw pieniądze, potem ślub. Francis zarobił je, pisząc pierwsze opowiadania do no-

wojorskiej prasy. Po ślubie zamieszkali na Long Island. Dalsze dzieje tego nieszczęśliwego małżeństwa wychodzą już poza ramy „Wielkiego Gatsby'ego".

Wschód, Zachód

Ponówmy pytanie: kim u licha jest Gatsby? Część tajemnicy, i możliwych interpretacji, kryje się w jego podwójnym nazwisku. Jay Gatsby, bogacz, właściciel bajecznej rezydencji w modnej (choć nie najmodniejszej) miejscowości na Long Island, gdzie organizuje przesadnie wystawne rauty dla złaknionych blichtru, przygodnego seksu i alkoholu (mamy prohibicję!) nowojorczyków z aspirującej klasy próżniaczej, jest zarazem Jamesem Gatzem, chłopakiem z biednej rodziny ze Środkowego Zachodu. Jest, ponieważ nigdy nie przestał nim być.

Rozdarcie między Środkowym Zachodem, wspominanym z zakłopotaniem, ale i z nostalgią, a Wschodnim Wybrzeżem, krainą, gdzie wszyscy pną się w górę, albo piąć się powinni, żyją swobodniej, nowocześniej i prędzej realizują swoje pasje, nieobce samemu Fitzgeraldowi, to jedna z osi wewnętrznego konfliktu targającego głównym bohaterem.

Z Midwestu Gatsby wyniósł podziw dla ludzi zamożniejszych od siebie, ale też swoisty rygoryzm moralny. Choć zbił fortunę na nielegalnych przedsięwzięciach, to atmosfera rozpusty i zepsucia wcale go nie cieszyła. W Nowym Jorku wprawdzie szybko doszlusował do najbogatszych, ale nie przestał im zazdrościć i nimi pogardzać. A oni pogardzali nim, chyba czując, że ów tajemniczy mistrz ceremonii swoje imprezy urządza po to, by im zaimponować i jednocześnie wkupić się w ich łaski.

Milioner, petent

Albowiem ów prowincjusz, by utrzymać miejsce w socjecie, wciąż musi wywierać na kimś wrażenie. Bynajmniej nie tylko na Daisy Buchanan, niegdysiejszej ukochanej (znów kłania się biografia Fitzgeralda), a dzisiaj mężatce, której względy rozpaczliwie próbuje odzyskać. Wątek romantyczny, choć organizuje fabułę, jest tylko egzemplifikacją szerszego zjawiska. Tak, Gatsby zamieszkuje na Long Island z miłości dla Daisy, sąsiadki z „lepszego" brzegu. Zarazem, zamieszkując tam, pod bokiem gigantów finansjery wywodzących się od ojców założycieli kraju, potwierdza swój status. Sęk w tym, że status ów jest chwiejny i wyjątkowo nietrwały.

Przede wszystkim, Gatsby musi się kryć. Stąd wymyślony życiorys człowieka z elit (którym nie jest i nigdy nie był), wyszukany, nienaturalny akcent, imitowanie arystokracji wpływów i pieniądza. Tyle że one chwilowo zagłuszają niepewność, ale nie mogą jej wyrugować. Widać to wyraźnie, gdy obok Gatsby'ego pojawia się jego powieściowy rywal, Tom Buchanan, mąż Daisy.

Ów reprezentant „starych pieniędzy", playboy, sportowiec i piewca suprematyzmu białej rasy jest grubo ciosany, pod pewnym względem równie prostacki i obłudny jak książę Błażej de Guermantes z „W poszukiwaniu straconego czasu" Marcela Prousta. Cóż z tego, skoro wywodzi się z hiperelity i dysponuje swobodą nieosiągalną dla nuworysza.

Albowiem w Ameryce nuworyszowi – taka byłaby diagnoza Scotta Fitzgeralda – wolno mniej. Wobec prawdziwie wielkich tego świata milioner z awansu nie przestanie być petentem, choćby chwilowo mógł ich kupić. Nie pomaga mu to, że nie tylko jego pieniądze są brudne i nie on jeden doszedł do nich na skróty, dzięki szczęściu i zręcznemu omijaniu prawa. Przeciwnie, nuworysz, jak neofita, musi być ostrożny.

Chyba każdego czytelnika uderza, jak wiele energii musi wydatkować Gatsby dla maskowania własnej przeszłości. Świetnie ukazuje to najnowsza ekranizacja powieści. Jeżeli Gatsby Roberta Redforda (1974) jest tajemniczym, zabójczo przystojnym gentlemanem, to Leonardo diCaprio (2013) jest przede wszystkim potwornie zmęczony.

Życie, literatura

„Przez całe życie próbował dostać się do świata, z którego ja całe życie próbowałem uciec". W taki sposób, niezwykle celnie, podsumował Scotta Fitzgeralda młodszy o pokolenie pisarz Gore Vidal, wnuk senatora, syn oficera lotnictwa i bywalczyni salonów, którego młode lata upłynęły wśród wpływowych osobistości waszyngtońskich elit politycznych i nowojorskiej socjety.

„Gatsby'ego" Vidal doceniał, uważając za najlepszą książkę Fitzgeralda, być może jedyną dobrą. „W gruncie rzeczy – zadekretował, robiąc aluzję do straszliwego alkoholizmu, schizofrenii żony i kompletnie zmarnowanych lat w Hollywoodzie, gdzie Fitzgerald usiłował żyć z pisania scenariuszy – jego życie było ciekawsze niż jego literatura".

Czy jest to ocena sprawiedliwa, niech wyrokują czytelnicy. Z całą pewnością pobrzmiewa w niej pobłażliwy protekcjonalizm człowieka, który we własnym poczuciu stoi nieskończenie wyżej. Jak, nie przymierzając, Tom i Daisy Buchananowie. Czy znaczy to, że wychwytując charakterystyczny rys osobowości Fitzgeralda – snobizm – Vidal nie miał całkiem racji? Spójrzmy na narratora powieści. Nie jest tajemnicą, że jeśli Fitzgerald po trosze ukrył się w Gatsbym, to jeszcze bardziej w Nicku Carrawayu. Twórcy ekranizacji z 2013 r. czujnie to podkreślili: grający Nicka Tobey Maguire w niektórych kadrach do złudzenia przypomina F. Scotta Fitzgeralda.

Uczestnik, widz

Kimże jest Carraway? Świeżo przybyłym do Nowego Jorku, początkującym, lecz ambitnym maklerem giełdowym, złaknionym wielkomiejskich rozrywek mężczyzną przed trzydziestką, dalekim kuzynem Daisy i równie odległym kolegą ze studiów jej męża, co daje mu przepustkę do wielkiego świata. Wreszcie, sąsiadem (to akurat z przypadku) Gatsby'ego. Jego zmysł obserwacji, trochę jak Fitzgeralda, ulega nieustannym ↦

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 50/2025
REDAKCJA: Monika Ochędowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA: Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara
PARTNEREM WYDANIA JEST ERGO HESTIA
ERGO HESTIA
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

↦ zakłóceniom. Carraway, widz i uczestnik opisywanych przez siebie *ex post* wydarzeń, przez chwilę faktycznie zanurzony w życiu high life'u, jest bowiem snobem. Samoświadomym, prawda, ale nieuleczalnym.

Oto Nick Carraway, człowiek, który w mig rozpoznaje, skąd teraz bije światło, a doproszony do salonu, albo do kawiarnianego stolika, żywi się blaskiem cudzej, zwykle chwilowej sławy. Konsumuje czyjś sukces, wyobraża sobie, że zna wszystkich, i uczestniczy w środowiskowym życiu na równych prawach, nie dostrzegając asymetrii. Względnie spala się, próbując dostać się do socjety, która nigdy nie uzna go za swego. Znamy takich ludzi, prawda? Żyli nie tylko w złotej epoce jazzu, nie tylko w Nowym Jorku.

Jednak Carraway naprawdę zostaje powiernikiem Gatsby'ego. Czy z tej przyczyny, że Gatsby wie, że jego sąsiad zna kobietę, którą on pragnie przyciągnąć na powrót do siebie? Poniekąd. Ale też może dlatego, że są do siebie podobni. Obaj pochodzą z Midwestu i niekoniecznie się z tym afiszują. Obaj szukają miejsca w socjecie i rozpoznają wzajem swoje kompleksy. Obaj – Gatsby pewnie lepiej, bo zaszedł wyżej – wiedzą, jak efemeryczny bywa sukces, jak krótko trwa powodzenie u zblazowanych celebrytek, jak prędko człowiek znikąd znika ze świata i przestaje być potrzebny.

Czy są inni niż reszta? Otóż niekoniecznie. Goście Jaya Gatsby'ego w większości bynajmniej nie rekrutują się ze „starej arystokracji". O wielu nie da się nawet powiedzieć, że należą do „towarzyskiej śmietanki". Pstrokata zbieranina snobów, nuworyszy, aspirujących artystów, chwilowych gwiazdek sportu i reklamy, rozmaitych „sublokatorów", liczących na darmowy wyszynk z dala od świdrujących spojrzeń „tych wielkich", nadto dokumentujący wszystko dziennikarze z prasy lajfstajlowej – oto czym jest salon w West Egg. Mistrzostwo, z jakim Fitzgerald w kilku akapitach odmalowuje atmosferę targowiska próżności, zapiera dech w piersiach.

Zwłaszcza gdy wiemy, że idzie o *glamour* naznaczony schyłkiem, na chwilę przed katastrofą.

© PIOTR PAZIŃSKI

Zapomniane dzieło

KINGA PIOTROWIAK-JUNKIERT

Wydana właśnie w języku polskim książka Józsefa Debreczeniego stawiana jest już obok dzieł Imre Kertésza i Primo Leviego.

„Zimne krematorium" Józsefa Debreczeniego ukazuje się w Polsce 75 lat od węgierskiego wydania i nie mam wątpliwości, że zawdzięczamy ten fakt zeszłorocznej liście bestsellerów „New York Timesa". Historia literatury zna wiele arcydzieł odkrytych dopiero po śmierci autora i historie powieści, które doceniono wiele lat po ich premierze, ale przypadek Debreczeniego jest szczególny.

Przez wiele dekad o istnieniu książki wiedzieli tylko badacze zajmujący się literaturą węgierską dotyczącą doświadczenia Zagłady. Powieść ukazała się w 1950 r. w małym węgierskim wydawnictwie w Nowym Sadzie (na terenie ówczesnej Jugosławii) i musiała czekać 25 lat na dostrzeżenie i wyróżnienie. Mimo usilnych starań rodziny pisarza, by upowszechnić tekst w Ameryce, książkę przełożono tylko na język serbski, co nie jest zaskakujące, skoro autor od końca wojny mieszkał i pracował w Belgradzie.

Bycie węgierskim, czyli mniejszościowym pisarzem w Jugosławii nie zwiększało popularności „Zimnego krematorium", a w ojczystym kraju panował już zakaz mówienia o wojnie, zwłaszcza o tożsamości żydowskiej. Debreczeni zmuszony był więc zamilknąć.

Punkt widzenia

Można by pomyśleć o tej sytuacji jako bardzo niekorzystnym zbiegu okoliczności, ale we wspomnieniach o autorze, które opublikowano po jego śmierci w 1978 r., na pierwszy plan wysuwał się tragiczny i pechowy los artysty, który od najwcześniejszych lat młodości nie potrafił odnaleźć swojego miejsca w świecie.

Po wyjeździe rodziny Brunnerów (tak brzmiało nazwisko rodowe pisarza) z Węgier do Jugosławii w 1919 r., tuż po ogłoszeniu pierwszych „ustaw żydowskich", okazało się, że nowe miejsce do życia nie pozwala na spełnienie największego marzenia Debreczeniego – bycia docenionym poetą. Sombor (miasto w północnej Wojwodinie) okazał się „klatką i więzieniem". Młody pisarz wysyłał swoje wiersze do czasopism literackich na Węgrzech, opublikował nawet młodzieńczy tomik „Történet" (Historia), ale jak twierdzi Imre Bori, trudno znaleźć w literaturze węgierskiej drugą książkę poetycką, która spotkałaby się z tak słabym oddźwiękiem, co debiut Debreczeniego.

Od tego momentu aż do śmierci pisarzowi towarzyszyło poczucie artystycznego niespełnienia, chociaż odnosił liczne sukcesy jako dziennikarz. W dorosłym życiu opublikował jeszcze wiele tomów wierszy i stał się autorem bardzo poczytnej książki młodzieżowej „Az első félidő" (Pierwsza połowa), ale jego tęsknota za byciem „prawdziwym" poetą miała się nigdy nie spełnić. Wydawało się, że największym (i jedynym) sukcesem pisarskim były jego dowcipne i świetnie napisane teksty publicystyczne.

Każdy czytelnik „Zimnego krematorium" wie, że ma do czynienia z autorem wielu talentów, że ten „dziennik obozowy", „powieść reportażowa", „zapiski" – jak pisali o książce krytycy – to unikatowy tekst łączący w sobie talent dziennikarski i poetycką wrażliwość. Dzisiaj relację Debreczeniego z pobytu w Auschwitz, Eule, Fürstenstein i Dörnhau stawia się obok „Losu utraconego" Imre Kertésza i „Czy to jest człowiek?" Primo Leviego.

Carolin Emcke pisała o „wyjątkowym zapisie doświadczenia z archipelagu Auschwitz" jako unikatowym, „dorosłym" pisaniu o obozach. Bez wąt-

pienia, punkt widzenia autora, który trafił do transportu mając niespełna 40 lat, różni się od wspomnień innych więźniów.

Forma oporu

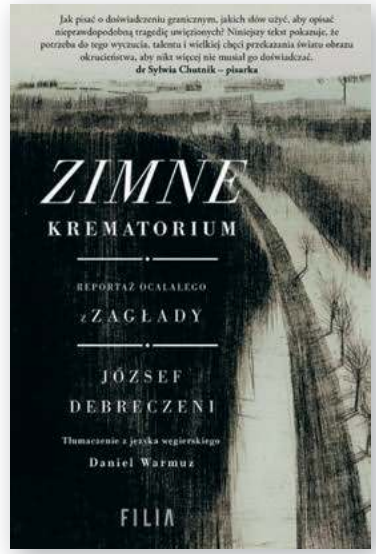
Po pierwsze, Debreczeni nie rezygnuje ze swoich zawodowych nawyków, stara się opisywać wszystko tak, jakby przygotowywał profesjonalny tekst. Zbiera informacje, dba o szczegóły, podaje dane statystyczne, określa sytuację polityczną i pisze o ludziach, wymieniając ich imiona, nazwiska i wykonywany zawód, chociaż w świecie, do którego trafił, ludzi zastąpiły numery i wydaje się, że umiejętności, z których zasłynęli w poprzednim życiu, straciły jakąkolwiek wartość.

Jest profesor Waldmann, wykładowca węgierskiej i niemieckiej literatury z „węgierskiego królewskiego gimnazjum państwowego w moim mieście, stoi z wykrzywionymi ustami i białą, sześciodniową szczeciną na policzkach. Hertelendi, właściciel sklepu z zabawkami i autor zagadek szachowych (...). Następny, kogo dostrzegam, to Kardos, chory na serce adwokat z Szegedu, mój rówieśnik". Każde takie zdanie i każdy detal stają się osobliwą pamiątką, ostatnim śladem po tych, których odrzucono podczas selekcji.

Poziom tekstu

Po drugie, pisarz dba o wartkość narracji. Jego zapiski są niezwykle sprawne językowo, zaskakują doborem słów, nierzadko Debreczeni daje czytelnikowi sygnał, że inwencja literacka także może być formą oporu i reakcją na zastaną rzeczywistość. Bez względu na to, który fragment tekstu czytamy, dynamika rozdziałów nie słabnie, w odróżnieniu od kondycji narratora.

Oczywiście, mamy świadomość, że tekst powstał w Belgradzie kilka lat po wojnie, że autor mógł podpierać się wiedzą na temat wydarzeń, w których uczestniczył, że „Zimne krematorium" jest owocem wytężonej, artystycznej pracy, w której autor zadbał o każdy poziom tekstu (od stylistycznego po strukturalny), ale wydaje mi się, że wyjątkowy język tej książki możemy potraktować jako osobny przekaz. Dobrze znamy go z poezji Miklósa Radnótiego, poety zamordowanego przez nazistów, który pisał wiersze do ostatnich chwil Marszu Śmierci. Płynęła z nich wiara w to, że przemoc, w odróżnieniu od literatury, ma swój kres, że wszystko przeminie, ale heksametr pozostanie.



József Debreczeni
ZIMNE KREMATORIUM
przeł. Daniel Warmuz
Filia 2025

Dla tłumaczy Debreczeniego taka literatura to nie lada wyzwanie, bo wzniosła filozofia tekstu bywa trudna do oddania w języku, zwłaszcza jeśli opiera się na patosie, częstej zmianie rejestrów i estetyki. Autor chętnie łączył skrajne emocje i stany, by pokazać nieusuwalną podwójność świata obozów. Zderzał okrucieństwo władzy z wewnętrznym pięknem ludzi, wstyd z dumą i upokorzenie z nadzieją, ani razu nie popadając w banał, nie spłycając upokarzających doświadczeń, nie uśredniając zachowań.

Do tego dochodzą jeszcze fragmenty liryczne, w których łatwo można popaść w kicz, jak „banalna różowość raju" czy „dyrygent donośnych chwil". Takie żonglowanie emocjami i rejestrami wymaga dobrego warsztatu u potencjalnych tłumaczy tego tekstu. Nie mam też wątpliwości, że to dzięki znakomitemu angielskiemu przekładowi Paula Olchváryego dzieło węgierskiego autora dotarło do Polski. Czytałam dotąd Debreczeniego w czterech językach (w tym po polsku) i z radością odnotowuję, że każdy z tłumaczy spisał się świetnie.

Sztuka dystansu

Po trzecie, w trakcie lektury mamy wrażenie, że autor do perfekcji opracował sztukę dystansu, pozwalającą mu na „podwójne widzenie". To przywilej intelektualnego spojrzenia, które nawykowo szuka dodatkowych kontekstów, które z założenia nie uniwersalizuje, które dłużej karmi się nadzieją, bo szerzej jej szuka.

U Debreczeniego nie znajdziemy jednak wyższościowego tonu ani taniego moralizowania. Narrator nie idealizuje swojego narodu ani języka, nie romantyzuje Węgrów, nie daje czytelnikowi odczuć, jakie ma mniemanie o współmieszkańcach celtu (namiotu), na równi odnotowuje zachowania „dobrych Niemców" i okrutnych oficerów, oszustwa Greków, „których nie da się w niczym przechytrzyć", i ich talent do starannego strzyżenia.

Jedyne sceny, w których nie stara się pokazać innego punktu widzenia czy rozszerzyć perspektywy, to opisy własnego położenia i stanu zdrowia, kiedy zaczyna wątpić, czy dożyje wyzwolenia. Krytycy docenili u pisarza nie tylko precyzję i talent, ale także umiejętność stworzenia porywającego reportażu, który zachwyca powściągliwością, a przy tym przeraża.

Pozostaje pytanie o to, jak nadrobić te 75 lat i czy w ogóle jest to możliwe. Z jednej strony, możemy mówić o niepowetowanej stracie intelektualnej. Powstały setki książek, w których ani razu nie przywołano dzieła węgierskiego pisarza, wydano podręczniki do literatury wojennej, a kolejne pokolenia Węgrów uczyły się historii, nie znając „Zimnego krematorium". Z drugiej strony, *habent sua fata libelli* – książki mają swoje losy i często taka odroczona recepcja nie przekreśla wprowadzenia tytułu do szerszej debaty.

Na pewno mamy z tym do czynienia w przypadku „Zimnego krematorium". O książce pisały wszystkie ważniejsze tytuły prasowe na świecie. Bez odpowiedzi pozostaje pytanie, które zapewne zadałby autor: czy sukces książki przełoży się na zmianę myślenia o naturze zła? Dzisiaj, po 75 latach od wydarzeń opisywanych w tej powieści reportażowej, widzimy wyraźnie, że wiele lekcji z historii nie zostało odrobionych. ©

MC Kochanowski

JERZY JARNIEWICZ

Krzysztof Bartnicki to nie pisarz czy tłumacz, a twórca transliteratury. Gatunku, który udowadnia, że przekład od zawsze miał moc stwórczą.

Pogłoski o tym, że Krzysztof Bartnicki tłumaczy teksty, które nie istnieją, są mocno przesadzone. Byłoby jednak z naszej strony fatalną lekkomyślnością, gdybyśmy te pogłoski całkiem zlekceważyli. Bo sam Bartnicki w jednej ze swoich książek przyznaje: „*Finnegans Wake does not exist*", co możemy przetłumaczyć: „Finnegans Wake nie istnieje". A może raczej: „Finneganów tren nie istnieje"? Bo przecież „Finnegans Wake" to „Finneganów tren" w przekładzie Bartnickiego.

Dzieło to nie istnieje, bo nie ma jego ostatecznej autorskiej wersji, a jeśli istnieje, to w wielu wariantach, które noszą ten sam tytuł, podobnie zresztą jak „Ulisses", którą to powieść mamy już w co najmniej kilkunastu wersjach, a wszystkie, jeśli wierzyć wydawcom, autorskie.

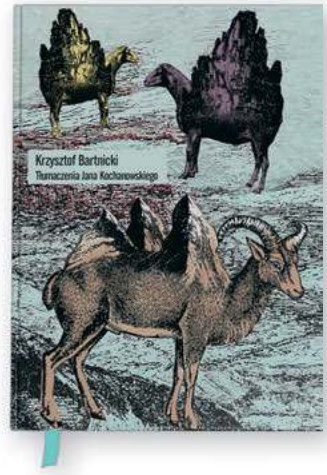
Nie istnieje „Alicja w Krainie Czarów", którą „niewiernie" przełożył Grzegorz Wasowski, nie istnieje „Czekając na Godota", które przetłumaczył z dwóch autorskich wersji Antoni Libera, ani „Tao Te King", którą na podstawie kilku amerykańskich przekładów przełożyła Ursula K. Le Guin.

A jednak za każdym razem, gdy czytamy te przekłady, chcielibyśmy wierzyć, że są one zwierciadlanym odbiciem jakichś wcześniejszych, ważniejszych, „klasyczniejszych" utworów. Że ich istnienie gwarantują i potwierdzają. Że te wcześniejsze utwory nawet jakoś bardziej i trwalej istnieją niż ich tłumaczenia.

To, co pisze i robi Bartnicki, znakomicie nam tę wiarę utrudnia.

Hip-hopowe pieśni Jana

A myślę tu o wszystkich niemal jego publikacjach wydanych po ukazaniu się w 2012 r. „Finneganów trenu", czyli polskiego przekładu ostatniej, uznawanej za nieprzekładalną powieści Jamesa Joyce'a. Mamy więc najpierw postjoyce'owskie przekłady i wariacje przekładowe Bartnickiego: „Finneganów bdyn" (2012), czyli listę wszystkich wariantów tekstu „Finnegans Wake" wraz z ich przekładami na polski; „Da Capo al Finne" (2012), czyli przekład „Finnegans Wake" na dźwięki muzyki, polegający na usunięciu z tekstu Joyce'a wszystkich liter niebędących oznaczeniami dźwięków; mamy też traktat o przekładzie, jeden z najbardziej twórczych tekstów polskiego przekładoznawstwa, czyli „Fu wojny" (2012); oraz „Finnegans ake" (2014), paramuzyczną dekompozycję prozy Joyce'a.



Krzysztof Bartnicki
TŁUMACZENIA JANA KOCHANOWSKIEGO
Ilustracje: Kaja Renkas
Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej 2025

Trudno opędzić się od myśli, że rozmnożenie tych finneganowskich wariacji było możliwe głównie dlatego, że powieść ta „nie istnieje". Po nich Bartnicki wypuścił w świat hip-hopowe wersje pieśni Jana Kochanowskiego „Garutko sobotniej ropy" (2023), antologię przekładów (być może nieistniejących) tekstów autorów śląskich „Sad zapięty" (2023), powieść Harry Josephine Giles „Port hwjezdny Topjo" (2024) przełożoną na szereg polskich i okołopolskich języków, a wreszcie tom „Tłumaczenia Jana Kochanowskiego" (2025) – wszystkie cztery to autorskie książki Bartnickiego (tak, łącznie z „Topjo"), będące jednocześnie przekładami, a raczej literackimi redefinicjami gatunku zwanego niefrasobliwie przekładem.

Do pełnej prezentacji należałoby dodać jeszcze dwa wielkiego kalibru utwory Bartnickiego, czyli „Myśliwice, Myśliwice" (2021), powieść bez precedensu, której jednak do nawet bardzo radykalnie rozumianej translacji jest daleko, oraz powstały jeszcze przed „Finneganów trenem", anonsowany jako przekład, a dla niepoznaki nazwany „powieścią", „Prospekt emisyjny" (2010), w którym „autor wystawia na sprzedaż samego siebie".

Spopolszczenie

„Garutko sobotniej ropy" uchodzi za przekład „Pieśni świętojańskiej o Sobótce" Kochanowskiego, choć sam przekładowca lojalnie uprzedza o czekających nas kłopotach: umieszcza swoje nazwisko w górnej partii okładki, gdzie zazwyczaj – tak bardzo zazwyczaj, że niemal zawsze – pojawiają się nazwiska autorów. Na okładce pod dziwnym i nie do końca wytłumaczalnym tytułem Bartnicki dodał wyjaśnienie, że jego „Garutko" to „Jana Kochanowskiego Pieśni świętojańskiej o Sobótce (1586) spopolszczenie w sześć par prawie tekstów". Neologizm, który Bartnicki ukuł na tę okazję, tyleż wyjaśnia, co mąci.

W „spopolszczeniu" słychać, zanim zaczniemy cokolwiek rozbierać na części pierwsze, inicjalne powtórzenie, jakby ktoś się zaciął, po-po-pował i nie mógł wyjść poza język. Ale słychać tu też pop, wystrzał, jaki widzimy na słynnym płótnie Roya Lichtensteina przedstawiającym komiksową eksplozję, na którym

artysta, jakby nie do końca wierząc synestezyjnym zdolnościom widzów, napisał: „POP!". U Bartnickiego też coś wybucha, jakiś translatorski pop, a może pop-prostu pop-corn w papierowych stożkach, połykany podczas lektury jak na filmowych seansach w kinie.

Spolszczenie, słowo już ujarzmione, nie przydałoby się w transgresyjnej robocie, jaką wykonuje Bartnicki. Dlatego mamy tu spopolszczenie, czyli coś, co poza spolszczenie wykracza, wykraczając tym samym i poza polszczyznę, a nawet (Bartnicki z Opola pochodzi) poza opolszczyznę. Ale nie tylko: wychodzimy tu daleko poza to, czym jest „Pieśń świętojańska o Sobótce".

Jeśli ktoś, o święta naiwności, chciałby w tekście Bartnickiego widzieć propedeutyczne uwspółcześnienie renesansowej poezji w stylu, w jakim uwspółcześnił niedawno „Odprawę posłów greckich" Antoni Libera, srodze się rozczaruje. To nie jest Kochanowski uproszczony, ani klarowniejszy. Ale zaraz – Kochanowski? Może Pokochanowski? Wracamy do pogłoski zacytowanej wyżej, jakoby Bartnicki przekładał nieistniejące teksty. Jego „Garutko" jest i zarazem nie jest przekładem Kochanowskiego. Wiem, to logicznie niemożliwe, ale gdy mamy mówić o przekładzie, nie raz przyjdzie nam łamać prawo wyłączonego środka.

Wsi, jesteś zdrowom

W Bartnickim widzę przedstawiciela najbardziej radykalnej dziś refleksji nad przekładem, do którego literacko-translatorskiej twórczości zastosowałbym parafrazę znanych słów Hofmannsthala: najcudowniejsze przykłady pracy translatorskiej to przekłady tekstów nieistniejących, dokonane tak, że teksty te – oryginały – zaczynają istnieć z wyczuwalną podczas lektury koniecznością. To przekłady, które nie kopiują, tylko powołują do życia. Żadna to nowość, ale zawsze cieszy.

W 1984 r. angielski poeta Christopher Reid opublikował tom wierszy „Katerina Brac" z takim oto komentarzem na tylnej stronie okładki: „Dokonany przez Christophera Reida wybór wierszy Kateriny Brac dowodzi, że Reid jest świadomy wyjątkowej odpowiedzialności spoczywającej na tłumaczu, a także owego paradoksalnego prawa, na mocy którego poeta, czy poetka, staje się z konieczności wytworem swojego tłumacza".

Katerina, środkowoeuropejska poetka, była oczywiście wymyśloną przez Reida postacią, a jego wiersze nie były przekładami, bo oryginały nie istniały. Ale spójrzmy na to z innej strony: wiersze Reida były jednak przekładami – z tym że to, co przekładały, było pewnym zestereotypizowanym wzorcem współczesnej poezji z Europy Wschodniej. Co ciekawsze, nie samej poezji polskiej, rosyjskiej czy czeskiej, ale tej poezji angielskojęzycznych przekładów.

Gdy parę lat później Jo Shapcott opublikowała swoje wersje – przekłady? – francuskojęzycznych wierszy niemieckojęzycznego poety Rilkego, jej wydawca napisał, że „wiersze Shapcott spierają się z oryginałami, przekraczając nieustannie granicę między przekładem a oryginałem. Rilke i Shapcott występują tu wespół, dzieląc przybraną tożsamość obcego języka". To kolejny przykład literackiej transgresji, który unaocznia, jak bardzo względne są pojęcia tekstu źródłowego i tekstu wtórnego, autora i tłumacza, obcości i swojskości, i jak wątpliwe może być ich przeciwstawianie.

Umykające definicjom książki przekładowe, czy paraprzekładowe Bartnickiego dają się ująć w tej perspektywie. Czytając jego wersję „Sobótki", ze spopolszczonym tytułem nawiązującym do „Gorączki sobotniej nocy", szlagieru z epoki disco, zadawałem sobie nieraz pytanie, gdzie tu jest – i jak bardzo tu jest – Kochanowski. Przyjrzyjmy się „Pieśni XII", najbardziej może znanej:

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Który głos twej chwale zdoła?
Kto twe czasy, kto pożytki
Może wspomnieć za raz wszytki?

W spopolszczeniu Bartnickiego ten początkowy fragment wygląda tak:

Jesteś zdrowom zdrowom zdrowom
wsi, jesteś zdrowom zdrowom
zdrowom (x 5)
wesołom, spokojnom i zdrowom
Ty jesteś zdrowo zdrowo z dala
od sodom, sodom
Nad rzekom krowy brodzom igrają
z wodom chłodnom
Tu kozły dziatwę bodom i leśne
fauny psocom
I wieśne sady rodzom, ptak lotny
dodom, ło

Ta część „Pieśni" spopolszczona została pod rytmy i rymy hip-hopowego utworu zespołu Futuryje „Jesteś kłodą" – to one przejmują nad wierszem władztwo. „Pieśń" Kochanowskiego jako oryginał wiersza staje się niemal nierozpoznawalna. Kochanowski jest tu pre-tekstem, który ustawia podstawowe wybory Bartnickiego: dla tłumacza najważniejsze wydaje się to, że pieśń powstała na cześć pogańskiego święta zwanego Nocą Kupały, o którym Aleksander Nawarecki pisze, że było „archaicznym obrzędem i sakralną orgią, trwającą aż do rana, do utraty tchu, niekiedy na śmierć i życie". Przywołana przez Kochanowskiego w „Pieśni" orgiastyczność, raczej niż horacjańska sielankowość, w spopolszczeniu Bartnickiego znajduje współczesny nam wyraz w równie ekstatycznym hip-hopie.

Na stronie sąsiedniej „Pieśni XII" Bartnicki spisał listę źródeł, z których ponoć zaczerpnął cytaty, albo w których fragmenty jego wersji się pojawiają. Każda z jego dwunastu pieśni ma taką listę; w „Pieśni XII", na przykład, mamy dosłuchać się takich oto źródeł: Adam Mickiewicz: „Pan Tadeusz" (1834); Martin Denny: „Quiet Village" (1959); Urszula Sipińska: „Chcę wyjechać na wieś" (1981); The Kinks: „Village Green" (1968); Krystyna Prońko: „Jesteś lekiem na całe zło" (1983); Judas Priest: „Painkiller" (1990); Kuba Więcek Trio x Paulina Przybysz: „Wsi spokojna" (2021).

Czytelnicy i szachiści

Przytoczyłem zaledwie część tych pseudoprzypisów. Przyznajmy, to wielopiętrowa mieszanka, referencyjna kołomyja, eksplozyjny miszmasz, entropia. Taka lista źródeł niczego nie wyjaśnia ani nie podpowiada, niczego nie porządkuje; efekt jej jest wprost przeciwny: to taneczne rozwirowanie, które bełta nam w głowie. A jeśli w tym zamęcie jest jakaś metoda, to chyba tylko ta, która sensowność szukania źródeł podważa.

Poszukiwanie oryginałów traci sens w sytuacji, gdy wszystko jest zapożyczeniem, albo inaczej: gdy wszystko jest translacją, skądś jest zaczerpnięte, ma niejeden precedens. W ujęciu Bartnickiego: „Nie istnieje nic, co nie tłumaczyło lub nie miało potencjału tłumaczyć się na coś. Czyli wszystko jest tłumaczeniem". Źródło niewiele (i nie zawsze) wyjaśnia – to tak jak z rozkładem figur na szachownicy: ↦

↦ dla szachisty nie jest ważne, jak doszło do określonej sytuacji. Ważna jest sama sytuacja i to, co po niej nastąpi.

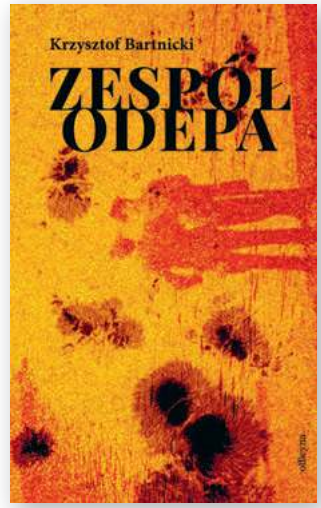
Pamiętam, oczywiście, jak zwodnicze bywa myślenie przez analogię. To, co sprawdza się w grze w szachy, nie musi sprawdzić się w czytaniu tekstów. I często się nie sprawdza, bo mamy różnych czytelników. Nie wiem, czy niczego tu nie nadinterpretowuję, ale Bartnicki widziałby chyba swojego modelowego czytelnika jako szachistę, czytanie zaś, a pisanie tym bardziej, jako grę w szachy. Nie proponuję zniesienia historii w naszych relacjach z literaturą ani wyprowadzenia pojęcia źródła całkowicie z pola rozważań, podsuwam tylko inną, wykorzystywaną przez Bartnickiego, możliwość: to gra.

Żadna lista źródeł nie będzie wolna od kłującej w oczy arbitralności. Szukanie źródeł jakiegoś tekstu doprowadza do tego, że rozlewa się on po innych tekstach, zagarniając coraz to większy obszar językowego i literackiego powinowactwa. Bartnicki widzi w tym prawidłowość, która rzuca światło na istotę przekładu, a zwłaszcza na relację między przekładem a oryginałem, stanowiącą przez lata relację jedyną, a dla wielu nadal najważniejszą.

Jeśli w „Garutku sobotniej ropy" Bartnicki swobodnie poczyna sobie z Kochanowskim, dokonując transmutacji jego „Pieśni", a konkretnie przefiltrowania jej przez kulturę hip-hopu, to nie czyni tego bez racji – także historycznych. Kochanowski, jako inicjator polskiej literatury, jej punkt zerowy, a jednocześnie swobodny jeździec przekładu literackiego, sam się o to prosi.

Mickiewicz i Drupi

Poeta z Czarnolasu powraca do Bartnickiego, który swoją najnowszą książkę zatytułował „Tłumaczenia Jana Kochanowskiego". Nie dlatego, że znajdziemy w niej nowe przekłady renesansowych wierszy w wykonaniu Bartnickiego, ale że wiersze te to wyłącznie dokonane przez poetę przekłady. Tłumaczenia Bartnickiego są więc tłumaczeniami tłumaczeń Kochanowskiego, te ostatnie są przy tym o tyle problematyczne, że często nie mają jednego tekstu źródłowego, który by leżał u ich podstaw: „Szachy" na przykład są przekładem (dodajmy od razu, że niewiernym) poematu Marco Vidy „Scacchia ludus" i kilku innych tekstów, w tym



Krzysztof Bartnicki
ZESPÓŁ ODEPA
Officyna 2025

także, co ważniejsze, niezidentyfikowanego utworu, z którego Kochanowski dowiedział się o pewnym problemie szachowym nieobecnym u Vidy, a istotnym w „Szachach".

Utwór „Muza" z kolei „opisuje się jako naśladownictwo Horacego, a może Teokryta, albo satyry Juwenalisa, albo elegii Propercjusza, czy jako tekst bez pojedynczego modelu". Tak więc: u Kochanowskiego Horacy, Teokryt, Juwenalis, Propercjusz pracują na rzecz jednego przekładu; u Bartnickiego podobną robotę wykonują Kochanowski i Futuryje, a z nimi Mickiewicz, Sipińska, Judas Priest czy Drupi. Przekładowy charakter poezji Kochanowskiego wyznacza równie przekładowy charakter utworów Bartnickiego.

Dlatego Bartnicki mówi o sobie, że jest tu „drugim tłumaczem", a nie – jak przyjęło się nazywać tłumacza – „drugim autorem"; dlatego też pozwala sobie na niewierność po to, by być wiernym Kochanowskiemu, który jako tłumacz odznaczał się imponującą niewiernością. Przekładowość jest wpisana w tę literaturę, wraz z nią żyje, dociera do naszych czasów, wzbudzając fale dalszej przekładowości.

Transliteratura

W niedawnym autokomentarzu dotyczącym swojej pracy Bartnicki pisał o „przekładzie krzyżowym", który, proponując uważny namysł nad tym, co dzieje się „w międzytekście", zajął miejsce tłumaczenia będącego „odruchowym transferem od-do". Ten przekład krzyżowy wyobrażam sobie na podobieństwo sklepień krzyżowo-żebrowych w późnogotyckich katedrach, dzięki którym budowle te mogły wznosić się wyżej niż dopuszczała to inżynieryjna wyobraźnia dotychczasowych architektów, a ściany nie musiały zamieniać budowli w przysadzisty bunkier, zamiast tego nasycając ją światłem i nadając jej koronkową lekkość.

Krzyżowość proponowanego przez Bartnickiego przekładu również prowadzi do ażurowej lekkości sieci przęseł i wiązań łączących tekst wyjściowy z tekstem przekładu. Bartnicki nie tyle optuje za rozszczelnieniem między nimi związku, ile dostrzega nieuchronność takiego rozszczelnienia, jeśli tylko tłumaczeniu towarzyszyć będzie – zamiast zautomatyzowanych odruchów – uważność.

Konkluzja moich wywodów może być tylko jedna: z przekładu w jego najrozmaitszych postaciach uczynił Bartnicki osobny gatunek literacki. Przypomina w tym, nie bez powodu, szczególnie mu bliskiego autora „Trenów", tego pierwszego arcytłumacza, mistrza spolszczeń i przekładu krzyżowego.

Nie wiem, jak nazwać takie utwory Bartnickiego jak „Garutko sobotniej ropy", „Sad zapięty" czy „Tłumaczenia Jana Kochanowskiego". Trudno bez mnogich zastrzeżeń zaliczyć je do przekładów, a jednocześnie widać jak na dłoni, że bez przekładu żaden z nich by nie zaistniał. Przekład je opisuje i opasuje. Przekład je przenika i przenicowuje. Ku refleksji nad przekładem wszystkie one nieuchronnie suną i nas z sobą prowadzą. To osobna, autorska, przecierająca wiele szlaków literatura, udowadniająca, że przekład ma moc stwórczą.

Dlatego do wymienionych trzech tytułów dodałbym na zakończenie „Port hwjezdny Topjo", bo i tu ważniejsze niż przekład napisanej po orkadyjsku, szkocku i angielsku powieści jest stworzenie przez Bartnickiego nowego języka. Dokonał on tego z zasobów językowych połabskich, rugijskich, kaszubskich, słowińskich, pruskich, gockich i wielu innych. Proponuję tę transgresyjną literaturę, z ducha translacji wyrosłą i na naszych oczach się rozwijającą, nazwać transliteraturą.

© JERZY JARNIEWICZ

Zawodnik

BOGDAN SZYMANIK, WYDAWCA:

Gdy wracam z pracy, to mówię do psa: idziemy rzucać do kosza. On siada i kibicuje. Trzeba oddychać świeżym powietrzem, bez tego nie ma myślenia.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Kiedy Pan odkrył dla siebie Bieszczady?

BOGDAN SZYMANIK: W stanie wojennym. To była ucieczka z centrali komunizmu.

Czyli Warszawy.

Ale na tę decyzję miał wpływ także pobyt mój i żony w Stanach Zjednoczonych. Byliśmy tam od kwietnia 1980 roku, spędziliśmy prawie cały karnawał Solidarności. Z Basią, która była w piątym miesiącu ciąży, do Polski wróciliśmy we wrześniu roku 1981. Przyjaciele stukali się w głowę, mówili: „Człowieku, ty oszalałeś! Gdybyś został, dziecko miałoby obywatelstwo amerykańskie".

Co Pan robił w Stanach?

Próbowałem zadbać o rodzinę, zapewniając jej poziom życia wyższy niż ten, który proponowała komuna. Byłem housekeeperem, kelnerowałem w luksusowej restauracji, jeździłem taksówką po bogatych przedmieściach Chicago. Stałem przy zlewozmywaku. Mówiło się wtedy, że to popularna praca wśród docentów z Polski.

To dobrze pokazuje, że PRL nie miał litości dla inteligencji.

Poniżające były wynagrodzenia dla wykształconych Polaków. Ja świetnie czułem się w Ameryce. Czerpałem radość z jazdy samochodem ze stanu do stanu, słuchałem muzyki country. Tak się złożyło, że ponownie byłem w Stanach, gdy po raz drugi Reagana wybierano na prezydenta, a ja tego polityka bardzo ceniłem. Każde swoje wystąpienie zaczynał od dobrego dowcipu. Słyszała pani, jak Rosjanin kupował samochód?

Proszę opowiedzieć.

Przychodzi klient do dilera samochodów w Moskwie. Wypełnił wszystkie papiery, zapłacił, diler mówi: „Świetnie, to oczekujemy pana 16 listopada za 10 lat". Klient pyta: „Przed południem czy po południu?". Diler: „A to ma znaczenie?". Klient: „Po popołudniu mam hydraulika".

Reaganowska Ameryka to był ciekawy kraj, różniący się bardzo od dzisiejszych Stanów.

Pan mówi o swobodach obywatelskich?

Taka sytuacja: wjechaliśmy autem w dość niebezpieczną okolicę i zabłądziliśmy. Kręcimy się, nie możemy znaleźć drogi. W pewnym momencie zatrzymuje się przy nas policja, czujemy trwogę jako ludzie zza żelaznej kurtyny i nielegalni emigranci. A policjanci pytają, gdzie mieszkamy. Podaliśmy adres i oni nas popilotowali na miejsce. Wtedy dotarło do mnie, że policjant ma chronić obywatela, a nie penetrować mu życiorys.

Co jeszcze w Ameryce Pan zaobserwował?

Że pewnych rzeczy ludzie z Zachodu nigdy nie pojmą, oni mają zupełnie inne doświadczenie, a w związku z tym i wyobraźnię. Zaprzyjaźnieni byliśmy z Francisem, z pochodzenia Włochem, urodzonym i mieszkającym w Stanach. Dużo opowiadałem mu o Polsce, komunizmie. Jaki to system, jak działa, jak ogranicza wolność itd. Miałem wrażenie, że z tego, co mówię, Francis dość dużo rozumie.

I kiedyś siedzę w fotelu ze „Zniewolonym umysłem", przychodzi Francis, pyta: „Co czytasz?". Ja na to, że książkę Miłosza. On: „Miłosza czytałem w »Chicago Tribune«, on dostał Nobla, prawda? Czytasz go po angielsku?". Ja: „Ta książka nie została w Polsce wydana". On: „Jak to? Noblista nie został wydany? Przecież ludzie by kupili". Ja: „Francis, człowieku, przecież opowiadałem ci, jak działa komunizm". On: „Dobra, ale przecież ludzie by kupili. Dlaczego to nie jest wydane po polsku?". Uznał, że to sytuacja niemożliwa, że zwyczajnie z niego żartuję i wyszedł.

Na usta ciśnie się to pytanie: dlaczego wrócił Pan do Polski?

Do rodziny, ludzi, języka? Nigdy tej decyzji nie żałowałem. Choć sam powrót był szokujący. Dla bezpieczeństwa żony i dziecka płynęliśmy Batorym i kiedy dobiliśmy do Gdyni, zastała nas ciemność. W Stanach wszędzie świeciły latarnie i neony, a tutaj ani jednej żarówki.

A 13 grudnia pod naszym domem na Żoliborzu zaparkował skot. Wie pani, co to znaczy dla człowieka, który był w Ameryce półtora roku, ten bojowy wóz pod oknem? Wtedy, po kilku latach przerwy, wróciłem do palenia. I wtedy także podjęliśmy z żoną decyzję, że uciekamy z Warszawy. Rozważaliśmy Mazury lub Bieszczady.

Jeziora kontra góry?

Mazury znaliśmy, ale odstraszały nas uciążliwe komary. Wygrały Bieszczady, bo nigdy tam nie byłem. Po roku poszukiwań znalazłem dom w Olszanicy, właściwie to przedmieścia Bieszczad. Bo początkowo myślałem, by jechać głębiej, żyłem legendą bieszczadzką Stachury i Wojaczka. Taki rodzimy dziki Zachód, swoboda, połoniny niczym prerie. Ale zwyciężył rozsądek. Kto pamięta zimy w Bieszczadach, ten wie, o czym mówię. Nieprzejezdne drogi, zwały śniegu, zwykłe pługi nie dawały rady.

Bieszczady na początku lat 80. to też burość i raz na kilka godzin spóźniony autobus.

Ale wolałem to niż ówczesny warszawski szpan. Z jednej strony bieda, z drugiej kompleksy leczone demonstracją wyższości nad prowincją. W Bieszczadach ludzie byli bardziej serdeczni, przyjaźni.

Bliżej siebie.

A kiedy zacząłem tam żyć, wciąż był obowiązek pracy. Więc zrobiłem się taksówkarzem, pierwszym w historii wioski. Chciałem mieć dodatkowe paliwo, a to była jedyna ku temu okazja. Oprócz tego potrzebowałem w dowodzie osobistym pieczątki potwierdzającej, że jestem ↦

↦ gdzieś zatrudniony. Pracowałem też przy zrywce drewna w lesie i była to romantyczna część wyjazdu w Bieszczady.

Bieszczady po roku 1989?

Jednak dynamiczny rozwój, chociaż mniej ciszy, więcej aut i ludzi. A po pierwszej turze wyborów 4 czerwca byłem przewodniczącym Obwodowej Komisji w Olszanicy. Raz zebrałem członków, by omówić szczegóły zbliżającej się drugiej tury, ale do pokoju, gdzie obradowaliśmy, wszedł ówczesny pierwszy sekretarz partii. Spytałem: „A pan tu co?". Odpowiedział buńczucznie: „Przecież jestem pierwszym sekretarzem PZPR!". I stała się rzecz niesłychana, wyszedł. Poczuł niechęć, zdał sobie sprawę, że nie ma już innej drogi. W ludziach był entuzjazm, że kończy się partia. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej niewiele osób ośmieliłoby się na konfrontację z komunistami.

To też czas, kiedy ludzie śmielej rozkręcali prywatne interesy. Już w 1988 roku weszła w życie ustawa Wilczka, pierwiosnek kapitalizmu.

A ja w roku 1989 dowiedziałem się, że w Lesku nie ma gdzie sprzedawać tygodnika „Solidarność" i „Gazety Wyborczej", bo Ruch nie chciał ich tu dystrybuować. Szybko założyłem firmę, kupiłem kiosk, w którym sprzedawałem gazety. Musiałem błyskawicznie wymyślić nazwę i jedyne, na co wpadłem, to połączenie pierwszej sylaby imienia i głoski mojego nazwiska. Tak powstał BOSZ.

To się nazywa strzał w dziesiątkę.

Gazety do tego kiosku dowożone były autobusem relacji Warszawa–Ustrzyki Dolne. Zdarzało się, że za naszymi pracowniczkami niosącymi gazety jeździła jeszcze „suka" milicyjna. W tym czasie po książki i prasę ustawiały się gigantyczne kolejki – ludzie byli spragnieni niezależnych źródeł wiadomości, a ja zacząłem otwierać na Podkarpaciu kolejne księgarnie.

Ja zaglądałam do tej w Lesku i Ustrzykach Dolnych.

Po pięciu latach pomyślałem: skoro tkwię w tych książkach, to powinienem zrobić coś więcej. Wiedziałem, że na rynku wydawniczym brakowało albumów na wysokim poziomie. Polscy wydawcy coś tam wypuszczali, ale to była fatalna jakość. Przypominało to oglądanie meczu na telewizorze marki Rubin: koszulka „biegła" za zawodnikiem. W albumach było podobnie: koszulka nie była na postaci. Rzecz jasna to nie była wina drukarzy, tylko oni nie mieli maszyn, no bo skąd? To wtedy wydałem pierwszy album, oczywiście o „Bieszczadach".

A sam druk?

Nawiązałem kontakty z przedstawicielami najlepszych drukarni w Europie i na świecie. Wybrałem te w Słowenii i Hongkongu. Dla Warszawy ja byłem z prowincji, a na świecie byłem z prowincjonalnej Polski. Nie miało znaczenia, czy jestem z Warszawy czy z Olszanicy. Natomiast przyjechałem z kraju postkomunistycznego i w związku z tym musiałem ich przekonać, że moje wymagania jakościowe są wyższe niż londyńczyka. Z czasem zacząłem też wydawać inne książki. Jednak naszą specjalnością stały się albumy o sztuce, od wielu lat drukowane już w większości w Polsce. Nasze drukarnie zdążyły dogonić świat.

Samych albumów z malarstwem Zdzisława Beksińskiego wydał Pan koło dwudziestu.

Z Beksińskim poznaliśmy się w połowie lat 90. Cztery albumy wydaliśmy jeszcze za jego życia. Beksiński, jakby na wspak swojej mrocznej twórczości, był szalenie ciepły, delikatny i dowcipny. I z dystansem do siebie, życzliwy ludziom. Nigdy złego słowa nie powiedział o innym artyście. A to naprawdę rzadkie, bo w tym środowisku jest mnóstwo rywalizacji, a bywa, że i zawiści.

Pamiętam, jak pracowaliśmy nad drugim albumem. W jego pracowni spotkali się Władek Pluta, projektant książki, Wiesław Ochman, śpiewak operowy i przyjaciel Beksińskiego, Wiesław Banach, dyrektor Muzeum Historycznego, największy znawca twórczości Beksińskiego oraz ja, jego wydawca. To już działo się po śmierci pani Zofii.

Wiedzieliśmy, że u Beksińskiego nie dostaniemy ani kawy, ani herbaty, ani niczego innego. Nikt na to nie liczył. A nagle Beksiński wyszedł na moment do kuchni, wraca z piwem i pyta, kto ma ochotę. Więc zaskoczenie. Potem jeszcze doniósł coca-colę, orzeszki i paluszki. Ochman skomentował: „Zdzisiu, jak ja bym wiedział, że ty robisz bankiet, to ja bym się inaczej ubrał".

Jak się z Beksińskim pracowało?

Świetnie. W pracy właściwie najbardziej neutralny z nas wszystkich. Głównie martwił się, że ja ryzykuję, że mogę stracić.

Jak było?

Beksińskiego sprzedało się w sumie kilkaset tysięcy. Proszę spojrzeć na ten wielki w płóciennej obwolucie. Właśnie robimy czwarte wydanie, a to przecież nie tylko sporo waży, ale i kosztuje.

Promowanie polskiej sztuki jest Pana misją?

To moja *idée fixe*. Nasi artyści są niedocenieni ze względu na zły marketing na międzynarodowym rynku. I wciąż nie możemy zmienić wizerunku, a mamy dość lichą ogólnie opinię w świecie. Kiedy czterdzieści lat temu byłem pierwszy raz w Stanach, to ona nie była najlepsza. Kiedy zaczęła się Solidarność, zauważalnie się poprawiła. Jan Paweł II i Lech Wałęsa swoje zrobili, a my tego wszystkiego nadal nie potrafimy wykorzystać.

Proszę o przykład.

Kilkanaście lat temu Ministerstwo Spraw Zagranicznych, wiedząc, że eksportuję książki do Stanów Zjednoczonych, zwróciło się do mnie z prośbą o wzięcie do dystrybucji wydanego przez nich dwutomowego albumu o Polsce. A ja ten album oceniłem krytycznie, powiedziałem, że wszystko było zrobione źle: projekt, zdjęcia, łamanie, druk, papier. Proszę teraz sobie wyobrazić, że ten album dostaje w prezencie od naszego prezydenta premier Francji, przegląda i myśli: „Skoro dobrze książki nie potrafią zrobić, no to kim oni są?".

Tak szeroko Pan myśli?

W 2001 roku planowałem wydać album o Nowym Jorku. Jerzy Habdas na ten użytek fotografował Nowy Jork. Kiedy 11 września terroryści uderzyli w wieże, on akurat znajdował się na moście Brooklińskim i zrobił parę zdjęć. A myśmy proces produkcji przyspieszyli, dodaliśmy zdjęcia z zamachu, wstęp napisał Janusz Głowacki i dwa miesiące po 11 września wyjechał z drukarni album o Nowym Jorku. Kilka jego egzemplarzy zostało oprawionych w skórę. Numer jeden dostał prezydent Bush, numer dwa Giuliani, numer trzy Christopher Hill, ambasador Stanów w Polsce, który



JAROSŁAW BRZEZIŃSKI / WYDAWNICTWO BOSZ

zresztą w swojej rezydencji zrobił wspaniałą promocję.

Robi wrażenie.

Proszę zobaczyć, jak nasi politycy schrzanili w 2018 roku obchody stulecia odzyskania niepodległości. Przecież to wydarzenie nie tylko lokalne, ale ściśle powiązane z zatrzymaniem nawały sowieckiej na Europę. I nie wygrać takiej rocznicy? Nie zaprosić do Polski prezydentów z całego świata? Zorganizować wielką uroczystość, nawiązać współpracę? Zainwestować w reprezentacyjny album, na który nie pokusiło się żadne ministerstwo? To BOSZ wówczas wydał album „Polska 100 lat". A opowiadanie przez niektórych polityków o patriotyzmie jest funta kłaków warte. Oni niczego nie potrafią. Niewielu by się znalazło, których bym przyjął do pracy. W polityce dominują ludzie bez żadnych dokonań.

Ameryki to Pan teraz nie odkrył.

Był czas, że nie byłem w stanie znieść tego, jak rozmawiają politycy, że zeszli na poziom dysputy, najdelikatniej mówiąc, rynsztokowy. Bicie piany, przerywanie sobie w pół zdania, manipulowanie wypowiedziami, kłamstwa. A ponieważ kiedyś wydałem książkę o *savoir vivre*, to wysłałem ją do szefów wszystkich klubów parlamentarnych, do tego dołączyłem list z prośbą o przekazanie elementarnej wiedzy o dobrym wychowaniu ich członkom. Podkreśliłem, że moją intencją jest podniesienie poziomu wymiany myśli politycznej.

Ktoś na list odpowiedział?

Nikt.

Pan jednak ma coś z Don Kichota.

Niewątpliwie jest w tym trochę szaleństwa. Niemałym też wyzwaniem dla wydawnictw specjalizujących się w albumach jest pozyskiwanie materiałów pokazujących dzieła artysty. Z jednej strony jest ustawa o domenie publicznej, która mówi, że jeśli minęło 70 lat od śmierci twórcy, można korzystać swobodnie ze zbioru. A mimo tego, niektóre muzea, m.in. Narodowe w Poznaniu, Łodzi, Wrocławiu, bronią tych plików niczym niepodległości. Wbrew ustawie żądają dodatkowych opłat za udostępnianie materiałów.

Co się robi w takiej sytuacji?

Jeśli Muzeum w Poznaniu mówi, że chciałoby za obrazy, załóżmy Chełmońskiego, po ileś tam złotych, to kalkulujemy to i jak wychodzi, że są to zbyt duże ↦

BOGDAN SZYMANIK (ur. 1948) jest współzałożycielem wydawnictwa BOSZ, specjalizującego się w edycji wielojęzycznych albumów o sztuce i dziedzictwie kulturowym, których znakiem rozpoznawczym jest wysoka jakość edytorska. Wydał 1000 tytułów w łącznym nakładzie 3,7 mln egzemplarzy. Wiele z nich otrzymało nagrody i wyróżnienia w prestiżowych konkursach książkowych, takich jak: Gourmand World Cookbook Awards (Francja), Najpiękniejsza Książka Roku w konkursie PTWK (Polska) czy Książka Roku w konkursie o „Pióro Fredry" (Polska). W roku 2011 i 2021 albumy wydawnictwa BOSZ dwukrotnie zostały uhonorowane Godłem „Teraz Polska". BOSZ otrzymało także prestiżowy tytuł Wydawca Roku 2024, przyznany w ramach Nagród Magazynu Literackiego KSIĄŻKI.

Na zdjęciu: podczas obchodów 30-lecia wydawnictwa BOSZ, październik 2024 r.

↦ koszty, ograniczamy liczbę obrazów, bierzemy do albumu te dwa najważniejsze. Co *de facto* jest ze szkodą dla Muzeum, którego pierwszym obowiązkiem jest promowanie zbiorów.

Ale są też Muzea Narodowe, takie jak te w Warszawie i Krakowie czy Narodowe Archiwum Cyfrowe, które swoje zbiory udostępniają bez żadnych problemów. Trzeba pamiętać o tym, że albumy o sztuce to nie są kryminały, one nie sprzedają się w oszałamiających nakładach, dlatego tak bardzo pilnujemy budżetu.

A spadkobiercy artystów?

Są tacy, którzy cieszą się, że pokazujemy sztukę dziadka czy ciotki. Np. w sprawie Zofii Stryjeńskiej spotkałem się na lotnisku z panem Sokołowskim, mężem wnuczki Stryjeńskiej, i zawarliśmy kontrakt w kawiarni. Czy Marisa Łempicka, prawnuczka Tamary, z którą spotkałem się w Vail w stanie Kolorado, gdzie uzgodniliśmy zasady współpracy przy wydawaniu albumów jej prababki. Dobra współpraca przerodziła się w miłą znajomość, co roku jeździmy razem na nartach. A w tym roku nasze albumy o Tamarze Łempickiej były na trzech wystawach: w San Francisco, Houston, a od października są w muzeum na Florydzie.

Ze spadkobiercami zawsze jest tak łatwo?

Są i tacy, z którymi nie sposób się porozumieć. Jest świetny materiał o ich mężach, matkach, ojcach, a oni nie pozwalają na jego wykorzystanie z niepojętych dla nikogo powodów. Dlatego nie będzie książek o wielu tak „chronionych" artystach. Spadkobiercy powinni sobie uświadomić, że twórczość ich bliskich, jeśli nie jest przypominana, to przestaje istnieć w świadomości społecznej.

Co Pana dopinguje do pracy?

Walka z siermiężnością, bylejakością i kompleksami zaszczepionymi jeszcze przez komunę. Mamy ich mnóstwo.

W Pana rodzinie są tradycje wydawnicze?

Nie. Sam mam wykształcenie techniczne, ukończyłem chemię na Politechnice Gdańskiej. Jedynie moja babcia, Jadwiga Łońska z domu Piwkowska, zacna dama, pracowała w bibliotece na Lubelszczyźnie. A przed wojną przyjaźniła się z krewniaczką cara, były razem w jakichś fundacjach. Potem została zesłana z trójką dzieci na Sybir, gdzie świetnie opanowała rosyjski. Oprócz mojej mamy babcia miała dwóch synów, którzy byli AK-owcami i zostali zgładzeni na zamku w Lublinie. Do lat 60. ona jednak wierzyła, że żyją i wrócą do domu. Czekała na nich. Aż pewnego razu trafiła na książkę, w której było czarno na białym, że Bolesław i Jan Łońscy zostali zamordowani przez gestapo w zamku lubelskim. Z babcią jako gówniarz za mało rozmawiałem, teraz mam o to do siebie żal.

A tę energię do działania skąd Pan czerpie?

Z pasji. I ze sportu. W ogóle to byłem nietypowym dzieckiem. Bo z jednej strony dobry uczeń, z drugiej sportowiec. W moich szkolnych czasach takie połączenie było raczej rzadkością. A ja bawiłem się we wszystkie dyscypliny: siatkówka, koszykówka, lekka atletyka, piłka nożna...

Dziś też?

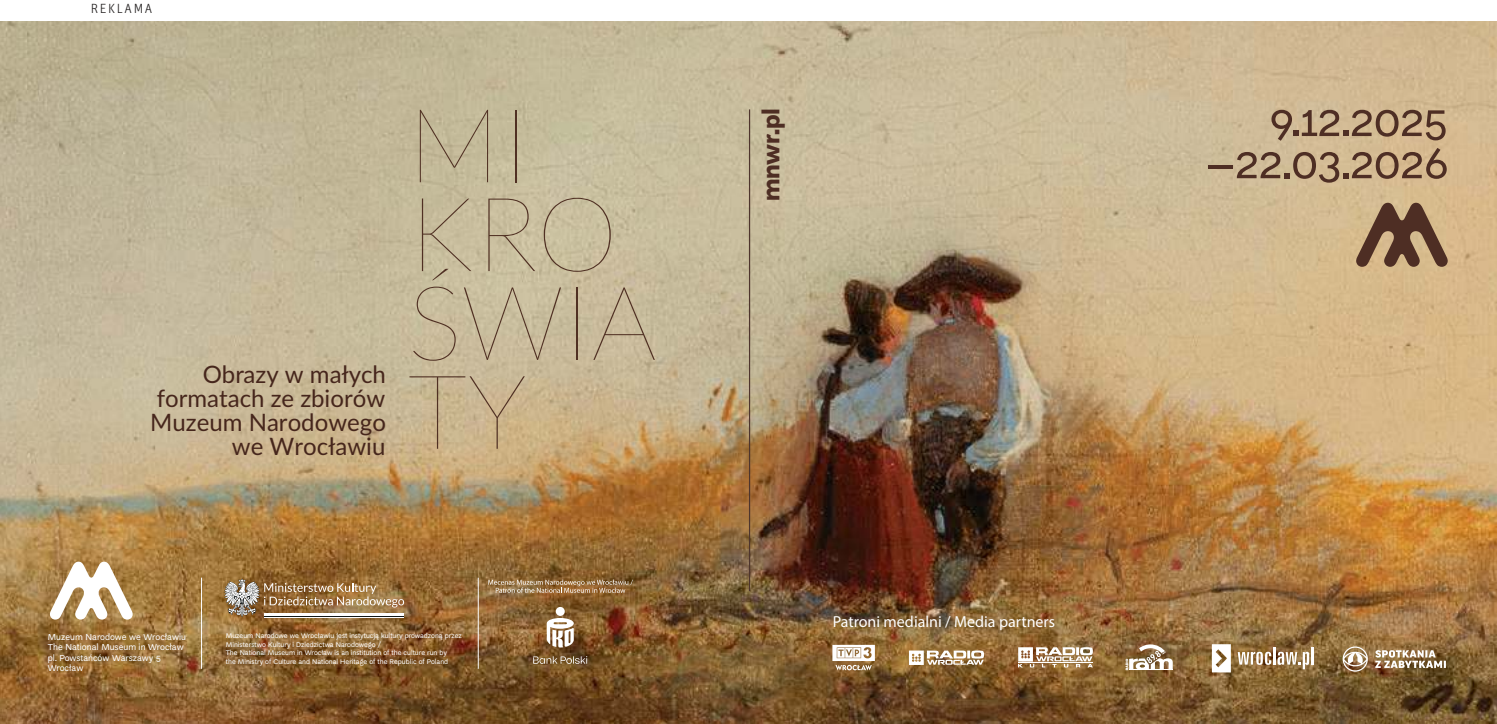
Dzisiaj uwielbiam jazdę na nartach, nie ma góry, z której bym nie zjechał. Jeszcze nie byłem w Japonii, gdzie podobno jest bardzo interesujący śnieg. I codziennie rano jestem na korcie tenisowym. Teraz o szóstej już jest za zimno. W powszednie dni gram godzinę, w sobotę i w niedzielę trochę dłużej. Moim partnerem do gry jest taki jak ja drugi wariat.

A w domu, na podwórku, mam małe boisko do koszykówki. Gdy wracam po pracy, to mówię do psa: idziemy rzucać do kosza, on siada i kibicuje. Za mało czasu poświęcam golfowi, który jest sportem wspaniałym, ale zbyt absorbującym czasowo. No i godzina wysiłku na korcie to jak cztery godziny golfa. Jeżdżę też na łyżwach, rolkach i rowerze.

Więc ta energia do działania, o którą Pani pyta, bierze się też z mojej dobrej kondycji. Trzeba mieć siłę fizyczną, oddychać świeżym powietrzem, by była także kreatywność. Jak się nie ma dotlenionego mózgu, to i myślenia nie ma.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

REKLAMA





MELCHIOR MORDĘGA

Pomarańczowa kropka

Publikowane poniżej opowiadanie zwyciężyło w konkursie organizowanym przez „Tygodnik Powszechny” i wydawnictwo Czarne.

Palce Nikodema wyglądały jak kawałki drobiu w hipermarketowej zamrażarce. I to zdecydowanie nie te najlepsze. Kiedy jednak uderzał nimi w klawisze fortepianu, człowiek spodziewał się, że części mięsa złożą się z powrotem w całość, a ptak nie będzie miał innego wyboru, jak tylko wyjść z lodówki i posłuchać. Nikodem grał jednak dla pustych ścian swojego pokoju.

Mięśnie jego dłoni napinały się i rozluźniały niczym fala, która rozbija się o skałę i powraca do głębin. Nikodem na przemian zwalniał i przyspieszał, czasem płynąc razem z nią, czasem próbując ją nadgonić. Kiedy z zamkniętymi oczami myślał o sekwencji, którą mózg musiał przekuć na ruch palców, niebo za oknem powoli zasnuwało się gęstwiną szarych chmur.

Deszcz najpierw nieśmiało, a później coraz intensywniej zaczął pukać w szyby. Zanim jednak najmniejsza kropla zdążyła wprosić się do środka, Nikodem poderwał się ze stołka i zatrzasnął okno, mocno zakręcając uchwyt. Tak czy inaczej, powinien był już wstać i przygotować się do pracy.

Szmatką przetarł zawilgotniałe lustro w łazience. Patrząca na niego twarz nie wywoływała żadnych emocji. Na linii żuchwy pojawiło się kilka pryszczy. Przyjemność sprawiał mu fakt, że w przeciwieństwie do wielu kolegów z pracy wciąż miał na głowie czarną, gęstą czuprynę. Parę razy przeczesał ją grzebieniem, by się upewnić, że nie ma tam żadnego siwego włosa.

Wklepał krem, który kupował w sklepie spożywczym razem z tuńczykiem w puszce i makaronem. Z przykrytej warstwą kurzu półki przyglądały się temu kolorowe fiolki z olejkami i serum, których używała jego była narzeczona.

Maja zaczynała dzień od schłodzonego, jadeitowego masażera do twarzy i wielu pachnących specyfików. Ale mogła sobie na to pozwolić, ponieważ nic nie robiła. To znaczy, coś tam robiła, poprawił się w myślach Nikodem. Jeśli coś udało się Mai zrobić, to na pewno odcisnąć w głowie Nikodema parę swoich racji.

Gdyby ludzi znakowano jak bydło, ciało Nikodema byłoby poorane bliznami po tych wszystkich słownych sporach. Kiedy trwały, wydawało mu się, że je wygrywał, ale po czasie rozdrapywał je w myślach, próbując się upewnić, czy nie powiedziała mu jednak czegoś mądrego. Wklepywania w twarz paru różnych olejków wciąż nie uznawał jednak za mądre. Chwycił jedną fiolkę i przymknął oczy, gdy owionął go zapach pomarańczy. Schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Dziś może mu się przydać.

Tuż przed wyjściem pochwycił płaszcz przeciwdeszczowy i parasol. Rozłożył go jeszcze na klatce schodowej, zanim wyszedł z budynku, tak żeby nie dotknęła go ani jedna kropla.

Najpierw ich usłyszał.

– Dobra panowie, po jednym i idziemy do fontanny.

Popchnął drzwi i przywitały go te same trzy krabie twarze, które widywał przed swoim budynkiem codziennie.

– Dzień dobry, szefie.

Najstarszy, przedstawiciel grupy, wstał i uścisnął mu dłoń. Była lepka i ciepła.

– Dzień dobry – odparł Nikodem.

– Jak tam w wielkim świecie? – zapytał, wygładzając ręką spraną wojskową kurtkę, jakby chciał przywrócić jej dawną formę.

– Nie najgorzej.

– Jakby się jednak zrobiło gorzej, zapraszamy do nas. Mamy co nieco. Pokaż, młody, co mamy – machnął ręką w stronę najmłodszego.

Najmłodszy, jak na rozkaz, odchylił swoją znoszoną kurtkę, ukazując dwie butelki z brązowym płynem ściśnięte przy piersi.

– Noś przy sercu to, co najdroższe – zarechotał środkowy, z szarą brodą zaplecioną w warkocz.

– Będę miał w pamięci.

– A jakby co było potrzeba, szefie, to niech szef do nas wali śmiało – zawołał najmłodszy, kiedy Nikodem już się oddalił.

– Cicho, młody, ty nie jesteś od gadania, tylko od przechowywania.

– Ale czasem może, kurde, też chcę coś powiedzieć.

– Jak mnie zmiecie z planszy, to awansujesz do mówienia.

Nikodem odetchnął dopiero, gdy wszedł w park prowadzący do stacji kolejowej. Przy chlupiącej fontannie bawiły się dzieci w kaloszach. Wielki czarny spaniel rozdziawiał paszczę i próbował połykać strumienie. Mężczyzna w białym kasku przejechał koło Nikodema na rowerze i gdyby nie jego nieustanna czujność, prawie zmoczyłby spodnie od garnituru.

Dobrze, że nie pozwalał sobie cieszyć się żadną chwilą – to trzymało go przy życiu. Dworzec przypominał mrowie ożywionych kurtek w kolorze zgniłych

↦

DESIGNED BY FREEPIK X2

↦ liści. Policzki Nikodema opadały i wznosiły się w rytm uderzeń kół pociągu. Kiedy wreszcie stanął przed wieżowcem, w którym pracował, przestało padać. Złożył parasol i spojrzał w górę. Stalowo-szklana konstrukcja nie miała końca, czubek znikał za zasłoną chmur.

Dwupoziomowa winda zabrała go na trzydzieste siódme piętro. Tam odwiesił płaszcz i parasol, po czym usiadł do biurka.

– Cześć – rzucił w przestrzeń, nie oczekując odpowiedzi.

Białe światło z monitora wyostrzało jego rysy jeszcze bardziej, o ile to w ogóle było możliwe.

– Szef prosił, żebyś do niego wstąpił – wychwycił głos znad ramienia.

Zanim zdążył się odwrócić, właściciel głosu usiadł z powrotem przed swoim monitorem, stając się nieodróżnialną częścią komputerowej ławicy.

Biuro szefa znajdowało się na końcu korytarza, na najwyższym piętrze. Nikodem był tam tylko dwa razy – gdy go zatrudniono i z okazji dziesiątej rocznicy podjęcia pracy. Na co dzień szef podejmował w jednej z sal konferencyjnych na niższych piętrach, jego gabinet zostawiany był na sprawy poważne. Nikodem zakładał, że dziś jest dzień spraw poważnych – zbliżał się koniec roku, a z nim jego dwudziesta rocznica w firmie.

Po kurtuazyjnym puknięciu i szybkim „proszę" wszedł do środka.



– Nikodemie, świetnie cię widzieć – powiedział mężczyzna za biurkiem, przypominający Nikodemowi osobę, którą widział dziś rano w lustrze.

Siedział sam w szklanym pudełku, a gęste chmury pod nim zatopiły całe miasto. Jeśli Bóg przyjmował gdzieś petentów, tak Nikodem wyobrażał sobie jego gabinet. Na ścianie za biurkiem wisiało dwadzieścia portretów i wszystkie wyglądały jak różne ujęcia tej samej osoby siedzącej właśnie w fotelu przed Nikodemem.

Wiedział, że na piętrach niżej jego wciąż rotujący koledzy z departamentu żartowali, że ich szef jest nieśmiertelny i że wymieniają ich tak samo, jak dzieciom podmienia się rybkę w akwarium. Może tak właśnie było.

– Jesteś na dobrej drodze, żeby kiedyś też tam zawisnąć – uśmiechnął się szef. – Proszę, usiądź – wskazał mu pojedyncze drewniane krzesło bez poduszki.

– Nikodemie – odchrząknął – pamiętasz, co odpowiedziałeś na pytanie: „Od kiedy chciałeś wykonywać ten zawód" w ostatniej rundzie rekrutacyjnej?

– Chyba nie.

– Nie winię cię, to było w końcu... – spojrzał na plik kartek na biurku – prawie dwadzieścia lat temu! Ale ja pamiętam twoją odpowiedź doskonale. Wyróżniłeś się, bo nie siliłeś się na historię o zainteresowaniach na studiach, powiedziałeś, że chciałeś to robić, zanim zostałeś poczęty – szef klasnął w dłonie. – Czy może być lepsza odpowiedź? Od razu wiedzieliśmy, że jesteś właściwym kandydatem. A później... później było tylko lepiej, pasmo doskonałych wyborów: zerwanie z wieloletnią narzeczoną, rezygnacja z dzieci i zwierząt, pionierskie podejście do przyjemności poza pracą, czyli dopóki zadanie nie jest skończone, nie ma przyjemności. Fenomenalna organizacja fali zwolnień, stanowcze odejście od pracy zdalnej, kary finansowe za wyjście z pracy pięć minut przed siedemnastą i wyjątkowa czujność na zbyt częste zmiany zielonej kropki na pomarańczową w ciągu dnia. Rezygnacja z weekendów i wieczorów, bo nie myślisz o sobie, tylko o zespole. A nawet jeśli myślisz o sobie, jesteś za to sowicie wynagradzany.



Zrobił krótką pauzę, nie spuszczając z Nikodema wzroku.

– Po co, można by spytać – uniósł rękę w powietrze w geście objawienia. – Dla samej idei! Bo możesz. Bo nie wymyśliłeś dla siebie nic lepszego. Nie ma co ukrywać, Nikodemie, jesteś idealnym pracownikiem.

Znów ten sam, wyczekujący uśmiech.

– I dlatego to, co zaraz powiem, nie będzie dla ciebie zaskoczeniem. Dziś chcemy zabrać cię do Źródła.

Oczy szefa rozbłysły w pełni. Taki zaszczyt wymagał odpowiedniej wdzięczności. Nikodem pozwolił sobie na wystudiowane podniesienie koniuszków ust. Z trudem próbował rozbudzić w sobie entuzjazm. Odpiął guzik marynarki i wziął głęboki wdech. Kiedy pomarańczowy zapach dotknął jego nozdrzy, policzki nabrały koloru, a oczy lekko ożyły.

– Jestem zaszczycony i ogromnie podekscytowany.

– Nie przedłużajmy więc. Eugeniusz zabierze cię na dół. Pilnuj tylko, żeby się z tobą nie zasiedział – zaśmiał się szef. – To jest miejsce tylko dla wybranych.

Eugeniusz – młody, chuderlawy chłopak z wypłowiałą rudą czupryną – pojawił się znikąd. Musiał siedzieć cały ten czas gdzieś w rogu i notować. Teraz poprowadził Nikodema do windy. Przyłożył kartę do czytnika. Na wyświetlaczu, pod wszystkimi cyframi pięter, pojawiła się nowa litera: Z. Winda ekspresowo zjechała na sam dół, wywracając Nikodemowi żołądek do góry nogami.

Zwolniła dopiero, gdy minęli poziom -10 parkingu. Piętro Z znajdowało się tuż pod nim. Maszyna zwalniała i drżała tak, jakby musiała przebijać się przez ostatnią warstwę Ziemi. Kiedy drzwi się otworzyły, ukazała im się zardzewiała krata.

– A, jeszcze to – odezwał się Eugeniusz.

Z kieszeni spodni wyciągnął koło z kluczami. Z każdym kolejnym wypróbowywanym kluczem jego twarz coraz bardziej czerwieniała. W końcu mały, złoty kluczyk okazał się właściwy.

– To ja pana zostawiam. Wrócę za piętnaście minut.

– Ale co ja mam tu robić? – zapytał Nikodem, zapierając się stopami w windzie, jakby bał się, że Eugeniusz wypchnie go w ciemność.

– Nie wiem. Inni zwykle chwilę spacerują. A jeśli boi się pan ciemności, niektórzy po prostu siedzą tu przy kracie i czekają.

Nikodem zrobił krok poza windę. Spojrzał w duże, zielone oczy Eugeniusza. Wydawały się przerażone, choć to nie on miał tu zostać w ciemności, jego czekało przecież światło i ciepło wyższych pięter. Drzwi windy i usta Nikodema powoli się zamknęły. Czuł bicie swojego serca bez dotykania klatki piersiowej. Wystawił ręce przed siebie, jakby miał zaraz zagrać pierwszy takt swojego ulubionego utworu. Znajomy gest pozwolił mu się trochę uspokoić.

Mrok wyostrzył jego inne zmysły. Słyszał, jak krople wody spływają z sufitu. Miał wrażenie, że słyszy każdą

z osobna, ich drogę wzdłuż cegieł, z sykiem, wprost do płytkich kałuż wokół.

Na piętrze Z pachniało wilgocią i ziemią. Można się było tego spodziewać, tak głęboko pod powierzchnią. Liczył jednak, że nagroda po dwudziestu latach będzie miała mniej wspólnego z wilgocią, a więcej z komfortem.

Po chwili z tła wyłonił się szum. Nikodem był pewien, że to większe ujście wody. Jego oczy zaczynały rozpoznawać zarysy ścian, kąty, pęknięcia. Szedł wolno, stawiając stopy jedna za drugą, z rękami wyciągniętymi przed siebie. Uśmiechnął się na myśl, jak absurdalnie musi wyglądać. W końcu jego dłonie napotkały zimny mur. Odskoczył, po chwili jednak pogładził kamień, który zostawił mu na palcach szorstką maź. Ruszył wzdłuż ściany.

Przemknęło mu przez myśl, że powinien jakoś oznaczyć drogę, by wrócić do windy. Uznał jednak, że światło z niej wskaże mu powrót, gdy Eugeniusz po niego wróci. Szedł dalej. Szum stawał się coraz wyraźniejszy. Gdzieś niedaleko woda rozbijała się o twardą nawierzchnię. Jeden but Nikodema całkowicie zanurzył się w kałuży. Chłód przesiąkł przez skarpetkę, wślizgnął się aż do kości. Gdyby to tamten rowerzysta z parku ochlapał mu spodnie, wściekłby się i naubliżał mu z pełnym przekonaniem. Teraz wydało mu się to zupełnie nieistotne.

Jeszcze jedno zderzenie ze ścianą. Jego dłonie musiały być już całe czarne od mazi. Wodzenie nimi po murze zaprowadziło go w ślepy zaułek. Poczuł, jak lodowata panika zaciska mu się pod żebrami. Mimo to wziął głęboki oddech i po prostu zawrócił. Szedł długo w drugą stronę. Kroki odbijały się głuchym echem, a każdy z nich brzmiał tak samo. Próbował skupić się tylko na szumie wody. Gdy w końcu doszedł do końca ściany i wychylił się za róg, zobaczył dziurę, a za nią łunę światła. Ostrożnie, ale bez wahania, ruszył w jej kierunku.

Przecisnął się przez szczelinę. Światło pulsowało w rytm wody fontanny, wirującej wokół ciemnej dziury w ziemi. Miało nieuchwytny kolor, balansujący między kryształem a mlekiem. Woda co chwilę wzbijała się w powietrze i opadała rytmicznym deszczem. Nikodem podszedł bliżej. Pod światło chciał sprawdzić, jak bardzo brudne ma ręce, ale nie znalazł na nich nic. Dla pewności kucnął i obmył dłonie w wodzie spływającej do czarnej dziury pośrodku fontanny. Po chwili zapragnął opłukać też stopy. Zdjął skarpetki, każdą odłożył starannie do odpowiedniego buta.

Powoli, zaczynając od koniuszków palców, wszedł do fontanny. Kiedy jego stopy przykryła woda, zrobił krok dalej. Pozwolił, by wzbita w górę woda opadała mu na czubek głowy, po włosach, spływała po czole, przez skos nosa, łuk kupidyna, aż w końcu, rozchylając mu wargi, weszła do ust.

I wybuchła smakiem pomarańczy. ©

Opowiadanie „Pomarańczowa kropka” zwyciężyło w trzeciej edycji minifestiwalu literackiego poświęconego krótkiej formie. Jurorzy – reprezentanci „Tygodnika Powszechnego” i wydawnictwa Czarne – wybrali zwycięski tekst spośród czterystu nadesłanych propozycji.

Laureatem ubiegłorocznego konkursu został Marcin Balcerzak, a laureatem pierwszej edycji Patryk Zalaszewski. Za debiutancki zbiór opowiadań „Luneta z rybiej głowy” ten ostatni był nominowany w tym roku do Nagrody Conrada.

TYGODNIK POWSZECHNY

czarne

MELCHIOR MORDĘGA
– pisarz z Warszawy. Zajmuje się krótką prozą i pracuje nad kolejnymi tekstami. „Pomarańczowa kropka” jest jego debiutem w druku.



DESIGNED BY FREEPIK X3

REKLAMA



PSYCHE

CZEŚĆ PRACY

Kończę ten tekst w piątek, czyli w dzień pracujący. Jeszcze – bo w styczniu ruszy pilotaż, który ma sprawdzić, czy zmęczonym Polakom można skrócić czas pracy. A to prowadzi do pytania: jakie jest dziś jej miejsce w naszym życiu?

MAREK RABIJ

Spór zwolenników i przeciwników tzw. czterodniowego tygodnia pracy zmienił się w jeszcze jedną odsłonę polsko-polskiej wojny, w której strony tak bardzo pragną mieć rację, że w gruncie rzeczy nie obchodzi ich, co myślą oponenci. Dwa obozy, impregnowane na niewygodne dla siebie informacje, a do tego regularnie obrzucające się mało wyszukanymi epitetami – doprawdy, czego chcieć więcej, by omijać ten temat szerokim łukiem? A przynajmniej nie traktować go poważnie?

Pod koniec ubiegłego roku – gdy z Ministerstwa Pracy, Rodziny i Polityki Społecznej zaczęły wydostawać się pierwsze szczegóły ogólnopolskiego pilotażu skrócenia czasu pracy – firma rekrutacyjna Manpower przeprowadziła badanie stosunku Polaków do tego pomysłu. Co piąty ankietowany zadeklarował, że nie zamierza sobie tym zawracać głowy, bo za jego zawodowego życia pomysł nie nabierze realnych kształtów.

Tym razem ministerstwo zaskoczyło jednak sceptyków i dotrzymało obietnicy. W pierwszym ogólnopolskim teście skróconego czasu pracy, który ruszy 1 stycznia, udział weźmie około 5 tysięcy pracowników z 90 firm i instytucji wyłonionych w konkursie z grona 2 tysięcy chętnych.

Problem w tym, że zaskoczeni poczuli się też orędownicy idei skrócenia czasu pracy. Niepowtarzalnej okazji, jaką stanowi rządowy pilotaż, chyba nie dało się bowiem zmarnować jeszcze bardziej.

To się już dzieje

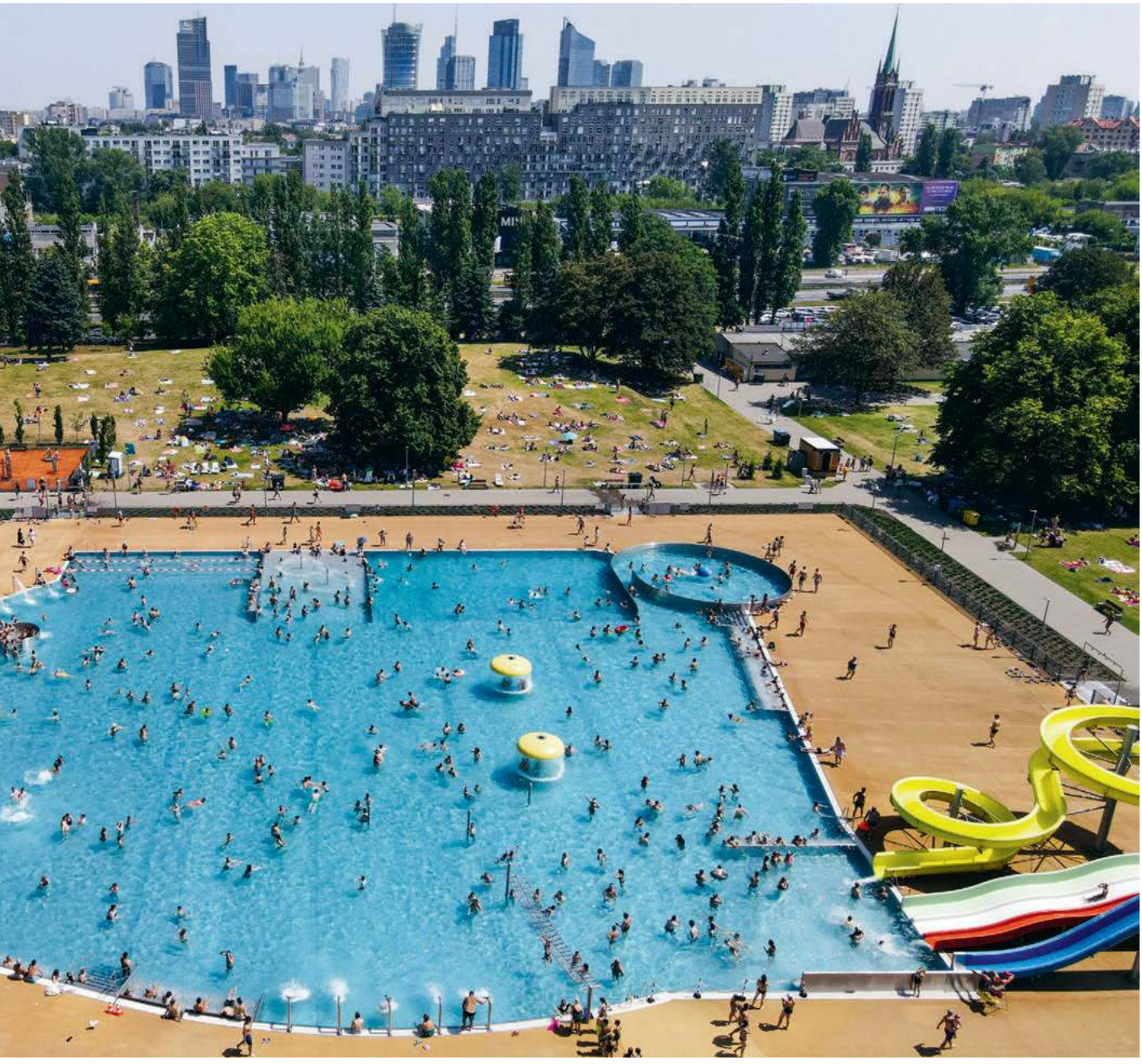
Szefowa resortu pracy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk z urzędowym entuzjazmem podkreśla, że to pod jej kierownictwem Polska rozpocznie największe takie badanie z przeprowadzonych dotychczas w Europie. „To się już dzieje" – chwali się polityczka Lewicy na swoich kontach społecznościowych. Istotnie, spośród poprzednich prób, zorganizowanych między innymi w Wielkiej Brytanii, Szwecji, Islandii, Portugalii i w Niemczech, porównywalną skalę miała jedynie brytyjska. Uczestniczyło w niej łącznie 3,3 tys. osób z 61 firm.



Park Wodny Moczydło w Warszawie, piątek, 1 lipca 2022 r.

Polski pilotaż można uznać za ewenement z jeszcze innego powodu, bo pierwszych obserwacji dostarczył już przed startem, udowadniając, że wielki biznes w Polsce nie pali się do majstrowania przy czasie pracy. Do rządowego testu nie przystąpiła żadna spółka z listy WIG20, czyli grupy najwyżej wycenianych podmiotów z warszawskiej giełdy. Wśród uczestników ze świecą szukać także firm powszechnie rozpoznawanych przez konsumentów.

Do programu weszły ostatecznie tylko dwa podmioty komercyjne zatrudniające ponad 250 osób. Na liście mamy za to wyraźną nadreprezentację instytucji komunalnych, jak spółki wodociągowe i domy kultury; jest nawet jeden ośrodek pomocy społecznej. Nie brak również urzędów gminy, bibliotek oraz urzędów pracy, co ideologicznych przeciwników eksperymentowania z polską produktywnością naprowadziło od razu na ironiczne komentarze, że za niemal 50 mln zł – bo tyle rząd



ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

przeznaczył na pilotaż – państwo polskie sprawdzi, czy nie runie pod ciężarem bibliotek czynnych dzień krócej.

Z punktu widzenia właścicieli dużych firm wejście do programu mogło jednak wydać się grą niewartą świeczki. Pierwszą i zarazem największą niewiadomą był trudny do przewidzenia wpływ eksperymentu na wydajność dużej organizacji. Ministerstwo domaga się, ażeby w teście brała udział co najmniej połowa personelu uczestnika pilotażu, a jednocześnie ogranicza maksymalną wysokość dotacji osłonowej do miliona złotych na jeden podmiot.

W jego trakcie badani muszą też zobowiązać się do utrzymania zatrudnienia na poziomie minimum 90 proc. stanu z dnia wejścia do programu. Część wymogów skrojono zresztą tak, jakby partycypację w pilotażu resort pracy traktował jak frymuśną nagrodę dla uczestników. Sporo zainteresowanych odpadło już na etapie lektury regulaminu, w którym wyczytali, że co najmniej 75 proc. pracowników podmiotu biorącego udział w pilotażu musi być zatrudnionych na umowę o pracę.

Trudno więc pozbyć się wrażenia, że kontrolowane przez Lewicę MRPiPS przeforsowało pilotaż na przekór realiom polskiego rynku pracy – i na złość koalicjantom o mniej prosocjalnej orientacji. Wręcz symboliczna wydaje się bierność resortu aktywów państwowych, którym rządzi Wojciech Balczun, jeden z członków starej gwardii Donalda Tuska. Ministerstwo, które ma udziały w większości najzamożniejszych polskich firm, nie kiwnęło palcem, aby nakłonić ich zarządy do choćby symbolicznego zaangażowania w rządowy projekt, np. poprzez zgłoszenie którejś z pomniejszych spółek-córek.

Zmęczenie i nuda

Pilotaż podzielił więc rząd jeszcze przed startem, tak jak sam pomysł skrócenia czasu pracy dzieli Polaków niemal po połowie. ↦

↦ We wspominanym wyżej badaniu firmy Manpower 65 proc. ankietowanych było do niego nastawionych pozytywnie (z czego tylko 36 proc. stanowili gorący zwolennicy). Reszta deklarowała dystans lub wręcz niechęć, najczęściej wynikającą z obaw, że krótszy czas pracy – bez względu na to, co obiecuje rząd – doprowadzi także do spadku ich zarobków. Sceptycy podkreślali też, że nie mają pewności, czy w pozostałych dniach nie będą harować przez to jeszcze ciężej.

Niepewność. To słowo wytrych do zrozumienia rodzimego rynku pracy. Od lat przewija się w kolejnych polskich badaniach stosunku do zatrudnienia. Rządziło nimi niepodzielnie 20 lat temu, kiedy bezrobocie sięgało 20 proc. Władza i dziś, choć jego wskaźniki w Polsce są najniższe w całej UE. Mniej boimy się samej utraty pracy. Za to coraz częściej targają nami wątpliwości, jakie miejsce przyporządkować jej w życiu.

W tegorocznym badaniu SW Research 80 proc. ankietowanych przyznało, że to, co robi w celach zarobkowych, nijak ich nie porusza ani nie inspiruje. 77 proc. badanych nie widzi też sensu swojej pracy – ani dla siebie, ani dla społeczeństwa. Aż 40 proc. po pięciodniowym maratonie obowiązków zawodowych nie ma siły na nic poza odpoczynkiem. A jednocześnie – to już wyniki badania CBOS sprzed dwóch lat – dla 83 proc. z nas to właśnie praca jest nadal tą sferą codzienności, która definiuje nas najlepiej i stanowi o naszej wartości!

Jakbyśmy, kierowani atawistyczną pamięcią zbiorową, bali się stracić z pola widzenia jeden z ostatnich stałych punktów odniesienia. Przez stulecia pracy nadawano wymiar etyczny i religijny, ale w gruncie rzeczy niepotrzebna była jej akredytacja przy żadnym systemie wartości. Kto nie pracuje, ten nie je – głosiło popularne powiedzenie, wyczerpując temat z brutalną precyzją.

Przyznaję, że na samą wzmiankę o skracaniu czasu pracy także mój wewnętrzny Milton Friedman staje dziś okoniem. W pierwszym odruchu myśli zaczynam kalkulować, dlaczego właściwie mamy kończyć pracę po 35 godzinach, jeśli uda się nam w tym czasie wypracować tyle samo, ile wcześniej przez 40? Czy nie godniej i sprawiedliwiej byłoby równie rzetelnie przepracować pozostałe trzysta minut, dla dobra własnego i interesu ogółu?

Tylko właściwie czemu koncepcja pięciodniowego tygodnia pracy wydaje mi się równie naturalna, jak weekend złożony z wolnej soboty i niedzieli? Mnie, urodzonemu w 1974 r., któremu w zakamarkach dziecięcej pamięci brzęczą jeszcze resztki wspomnień o lekcjach odbywających się czasem w soboty.

Z(a)róbmy sobie wolne

Darujmy sobie jednak historyczne wycieczki dla uzmysłowienia, że wolna sobota w Polsce ma równie krótką metrykę jak NSZZ „Solidarność", a urlop wypoczynkowy Europa odkryła mniej więcej w tym samym czasie, co witaminy. Osadzanie dyskusji o krótszym tygodniu pracy wyłącznie w kontekście tzw. zdobyczy socjalnych oddala nas tylko od meritum sprawy. Osią tej debaty powinno być raczej pytanie, czy Polska jest już – jak przekonuje ministerstwo pracy – krajem gospodarczo na tyle rozwiniętym, by się do takiej zmiany szykować i badać jej konsekwencje. Bo dalszy wzrost PKB i poziomu życia – czy się to komuś podoba, czy nie – i tak doprowadzi do skrócenia polskiego tygodnia pracy.

Tegoroczne dane Eurostatu pokazują, że tylko na przestrzeni dekady od 2014 r. średni czas pracy w krajach UE uległ skróceniu z 37 do 36 godzin. Statystycznie najbardziej zapracowaną nacją Starego Kontynentu są Grecy, ze średnią 39,8 godzin tygodniowo w przeliczeniu na jednego zatrudnionego w pełnym wymiarze pracownika. Oczko niżej plasują się Bułgaria i Polska (po 39 godzin tygodniowo). Stawkę zamyka w Europie Holandia ze średnim czasem pracy w wymiarze zaledwie 32 godzin tygodniowo.

A jako że dane z „Eurokołchozu" dla części polskiej opinii publicznej dowodzą dziś jedynie bankructwa idei europejskiego państwa opiekuńczego, warto w tym miejscu dorzucić także garść statystyk zza Atlantyku. Otóż przeciętny pracownik w USA zatrudniony w sektorze pozarolniczym we wrześniu tego roku pracował 34,2 godziny tygodniowo, o 18 minut krócej niż przed dekadą. „Gdzie się podziali pracownicy?" – pytały dramatycznie dwa lata temu Katharine Abraham i Lea Rendell w głośnym artykule podsumowującym ich badania nad *esprit de corps* amerykańskiej klasy pracującej. Ekonomistkom wyszło, że coraz więcej pracowników w USA nie dostrzega w dłuższej pracy szans na poprawę sytuacji bytowej; co najwyżej okazję do tymczasowego podreperowania budżetu.

Z tego samego punktu wystartowała publicystka Delphine Strauss, gdy na łamach „Financial Times" zaapelowała niedawno do europejskich liderów opinii, aby przestali demonizować krótszy czas pracy. Za tymi statystykami kryją się bowiem nie tylko znudzone zetki, którym nie chce się siedzieć w biurach. Na efekt w postaci coraz krótszego tygodnia pracy składają się także pracownicy, którzy próbując podążać za zmianami cywilizacyjnymi, rezygnują z nadgodzin dla kolejnych studiów czy kursów wieczorowych.

To również osoby, które są na zwolnieniu lekarskich i choć chwilowo są bezproduktywne, mogą dzięki temu dłużej pozostać na rynku pracy. Zatrudnieni na pół czy ćwierć etatu, którzy z różnych powodów nie mogą podjąć pracy w pełnym wymiarze godzinowym. Kobiety, które wzięły urlop macierzyński, bo urodziły przyszłych podatników, pracowników i konsumentów. Mniej godzin w robocie nie musi od razu oznaczać problemów. Może być dowodem dojrzałości i elastyczności rynku pracy.

Nie długo, lecz mądrze

Rzecz w tym, że wzięty na chłodno, krótszy tydzień pracy przestaje być antagonizującym konstruktem ideowym, a w Polsce mamy sporą rzeszę osób zainteresowanych właśnie tym, żeby o zatrudnieniu nie rozmawiać językiem faktów i liczb. Taka dyskusja prędzej czy później doprowadziłaby ich bowiem do punktu, w którym musieliby przyznać, że nasz model rozwoju gospodarczego, oparty na relatywnie taniej pracy, robi już bokami.

Zabranie mu ośmiu godzin – czy to w formie wolnego piątku lub poniedziałku, czy to poprzez skrócenie dniówki o godzinę – istotnie pogłębi tę zadyszkę. Tylko czy na pewno o taką produktywność nam chodzi w połowie trzeciej dekady XXI w., po wchłonięciu 390 mld dolarów bezpośrednich inwestycji zagranicznych?

Gdyby faktycznie była to prosta funkcja liczby godzin spędzanych w robocie, 18 mln Holendrów ze swoim 32-godzinnym tygodniem pracy nie zbudowałoby gospodarki wartej ponad bi-

lion dolarów. Ich miejsce zajmowaliby raczej Bhutańczycy, Grecy lub mieszkańcy Kostaryki, którzy w pocie czoła nadal pracują grubo po ponad 40 godzin tygodniowo.

Na przyszłość

Polska bez wątpienia nie jest jeszcze tam, gdzie Holandia, i szkoda, że zwolennicy skracania czasu pracy tu i teraz nie słyszą tego argumentu. Nie wypracowała oryginalnego *know-how*, dostatecznie silnej pozycji na wielu rynkach. Koryfeuszom polskiego wolnego rynku zwyczajnie brak też czasem odwagi, żeby oszczędności życia postawić na coś, co może przynieść gigantyczne zyski, ale jest obarczone dużym ryzykiem niepowodzenia.

Polski biznes, jak podał niedawno NBP, trzyma w bankach już niemal 2 bln zł, ale raczej woli kupować za nie bezpieczne obligacje Skarbu Państwa, niż stawiać nowe fabryki i przejmować konkurencję. Każdy przedsiębiorca ma oczywiście prawo do własnej oceny ryzyka, ale umówmy się, dobiegające z tamtej strony napomnienia dla ministerstwa, które rzekomo niebezpiecznie bawi się polskim etosem pracy, brzmią w tym kontekście dość groteskowo.

Pilotaż skróconego czasu pracy na pewno można było przygotować lepiej. Odchudzić polityczną otulinę projektu, który ministra Dziemianowicz-Bąk sprzedaje publicznie niemal jak remedium na wszystkie problemy polskiego życia społecznego. Zabrakło też wyraźnego sygnału, że Polska rusza z odważnym eksperymentem, ale raczej z myślą o wdrożeniu jego efektów najwcześniej za kilka, kilkanaście lat.

Jednego politycznie Lewicy odmówić jednak nie można: rozpoczynając eksperyment, Polska włącza się w globalną dyskusję o przyszłości pracy. Zwłaszcza pracy w europejskim wydaniu, czyli regulowanej i powiązanej ze świadczeniami socjalnymi. Bo ta jej odmiana, nazwijmy rzecz po imieniu, jest dziś na cenzurowanym.

Skopiować Chiny

Z polskiego podwóreczka, na którym wciąż panują cieplarniane warunki z realnym bezrobociem rzędu 3 proc. i wciąż szybkim wzrostem gospodarki, globalne szyderstwa z europejskiego modelu rozwojowego słychać jakby słabiej. Głębiej rezonują już w pogrążonych w stagnacji Włoszech czy w Niemczech. Przekaz jest prosty, bo tylko prostota sprawdza się w polityce robionej na X i TikToku: trzeba uwolnić przedsiębiorczość od eurobiurokracji, bo jedynie deregulacje pozwolą Europie dotrzymać kroku Chinom.

O tym, że punktem odniesienia dla Starego Kontynentu jest tu akurat państwo o gospodarce restrykcyjnie regulowanej przez państwo, europejscy „zdroworozsądkowi" wolą nie wspominać. Jak i o tym, że model chiński w pakiecie niesie ze sobą m.in. 44-godzinny tydzień pracy. Łatwiej więc kpić z europejskich norm, sprowadzając je do absurdów w rodzaju przepisów o kształcie banana. Regulacje, które bronią konsumenta w nierównym starciu z przedsiębiorcą, przedstawiać jako balast, a nie ramy, w obrębie których możliwa jest przecież uczciwa wolnorynkowa rozgrywka. Rozmowa o krótszym czasie pracy w ogóle nie mieści się w tak zdefiniowanym kanonie gospodarczego „zdrowego rozsądku", bo przecież azjatyckie tygrysy swój sukces zawdzięczają ścieżce dokładnie w przeciwnym kierunku.

Aż 77 proc. z nas nie widzi sensu swojej pracy.
A 40 proc. po pięciodniowym maratonie obowiązków zawodowych nie ma siły na nic poza odpoczynkiem.

A szkoda, bo rozmowa o skróceniu czasu pracy jest także rozmową o priorytetach. Przede wszystkim o tym, czy państwo i społeczeństwo skoncentrowane wyłącznie na wzroście produktywności mogą się rozwijać także w innych sferach.

Ślepa uliczka

Dla Polski interesujące mogą być zwłaszcza doświadczenia Korei Południowej, owego azjatyckiego tygrysa, który pracy nadał rangę nieomal religijną. Koreańczycy od lat otwierają kolejne zestawienia nacji pracujących najdłużej i najefektywniej. W 2018 r. rząd zdecydował się nawet na ograniczenie dopuszczalnego wymiaru nadgodzin z 18 do 12 tygodniowo, argumentując to troską o równowagę pomiędzy pracą a życiem prywatnym (dwa lata temu próbowano znowu podnieść go do 19 tygodniowo, ale projekt spotkał się z jednoznaczną dezaprobatą społeczeństwa).

W rezultacie ostatnie dekady przyniosły Korei awans do elitarnego grona najlepiej rozwiniętych państw globu i jednocześnie katastrofę demograficzną. Na jedną Koreankę z południa w wieku reprodukcyjnym przypadało w roku 2024 – 0,75 dziecka. W stołecznym Seulu, który tylko ze swoim PKB otarłby się o członkostwo w elitarnym klubie G20, jedna kobieta rodziła w ubiegłym roku statystycznie zaledwie 0,56 dziecka.

O istnieniu ścisłego związku między koreańskim stylem życia, który szczelnie wypełnia praca, a gotowością do posiadania potomstwa regularnie mówią tamtejszym decydentom kolejne badania, ale państwo wciąż nie potrafi znaleźć wyjścia z tej ślepej uliczki. Jedno nie ulega wątpliwości: jeśli bieżące wskaźniki dzietności koreańskiego społeczeństwa się nie zmienią, w połowie tego stulecia liczba mieszkańców kraju spadnie poniżej 25 mln osób. Obecnie mieszka tam niemal 51 mln osób.

Skrócony tydzień pracy sam w sobie nie jest oczywiście rozwiązaniem kryzysu demograficznego w krajach wysoko rozwiniętych. Do tej pory takie decyzje wymuszała na państwach sytuacja odwrotna, czyli wysokie bezrobocie. Prognozy demograficzne dla Polski sugerują tymczasem, że jeszcze przez kilka lat na krajowym rynku pracy powinniśmy mieć do czynienia z brakiem pracowników, zwłaszcza w niskopłatnych, niewymagających kwalifikacji profesjach.

W tym równaniu są też oczywiście dwie wielkie niewiadome. Trudno dziś przewidzieć, dokąd zapędzą polską pracę geopolityczne wichry, które właśnie przestawiają cegły w ułożonej już na stałe, zdawałoby się, świątyni globalizacji. Nie wiadomo również, co zrobi z nią kolejna faza rewolucji przemysłowej spod znaku AI, która tym razem, w odróżnieniu od poprzednich, nie zawita do nas z opóźnieniem. Może się okazać, że dzisiejsi przeciwnicy krótszego czasu pracy za kilka lat będą się go wręcz domagać.

©℗ MAREK RABIJ

PAWEŁ

Bravo:
Gwiazdkami się nie najesz



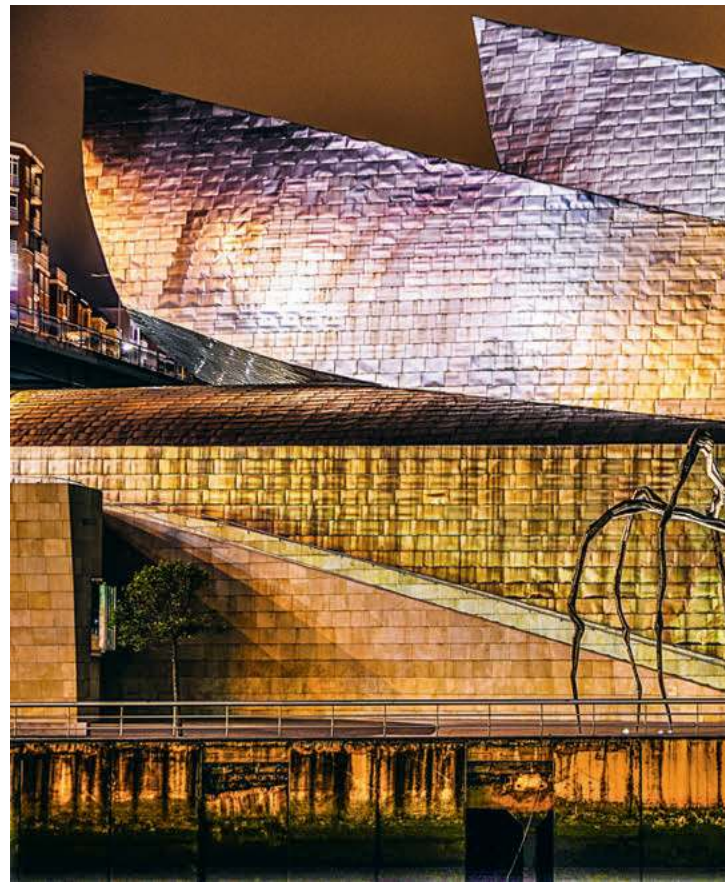
Frank Owen Goldberg zmienił swoje nazwisko mniej więcej wtedy, kiedy zaczynał studiować na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, w latach 40. zeszłego wieku. Żeby uniknąć, jak sam potem opowiadał, gdy stał się już sławny, przejawów antysemityzmu. I dobrze, bo dzięki temu można go nie lubić bez popadania w paranoję, że to z powodu tego, kim był, a nie co tworzył. Pomyślałem, że to dobry mostek, po którym możemy uciec od ponurych dosyć rozważań z poprzedniej naszej kolacji, wokół drzew oliwnych rosnących na Zachodnim Brzegu Jordanu. Mostek co prawda ozdobiony czarną wstążką, bo przecież wspominamy go z racji śmierci.

Ach, zapomniałem powiedzieć, o kim mowa. Ale może się już domyślacie, jeśli przez weekend mieliście okazję zajrzeć do zakątków internetu wolnych od politycznego teatru grozy i poczytaliście wspomnienia o Franku Gehrym. Pierwszym z serii „gwiazdorskich architektów". Ale może to nie całkiem jego wina, że zapoczątkował to fatalne zjawisko, prowadzące do marnowania wielkich sum publicznego grosza na projekty, które mają służyć pompowaniu ego zamawiających je włodarzy.

Trzeba przy tym pamiętać, że najbardziej pod tym względem brzemienne w skutki dzieło – do tego stopnia, że powstał nawet termin „efekt Bilbao" – czyli muzeum Guggenheima w tym baskijskim mieście, kiedy powstawało w latach 90., mogło zupełnie szczerze, zgodnie z deklaracjami autora, być gestem wywracania zastanych wzorców „świątynnej" prezentacji sztuki. Faktycznie, wciąga z poziomu ulicy zwykłych ludzi do zabawy i przeżycia, co było wówczas gestem zgoła buntowniczym.

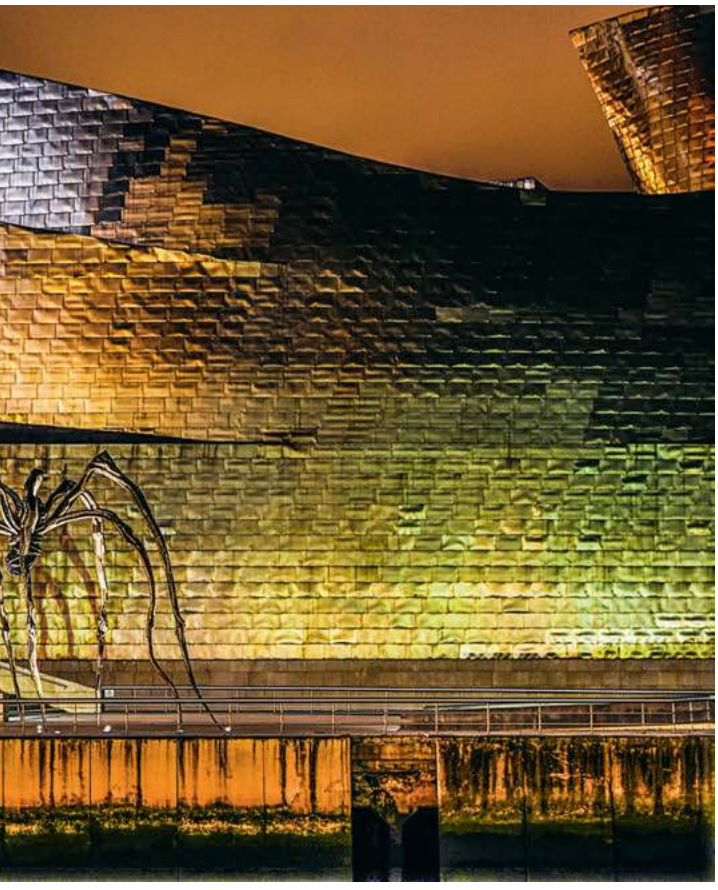
Znacznie wcześniej, jeszcze w latach 60., Gehry projektował niesforne wizualnie, wyrywające się ze statecznych pionów i poziomów domy mieszkalne. „Nie mógłbym mieszkać w takim domu, gdzie zaraz po wejściu trzeba otrzepać ubrania i równiutko powiesić je na wieszaku" – komentował. Dobrze go rozumiem, choć jako wytrawny specjalista od życiowego bałaganu potrafię rozbujać entropię również w budynkach spełniających wszystkie wymogi zapiętego pod szyję modernizmu.

Sztywne kołnierzyki i odprasowany w kancik uśmiech to nie jest zdecydowanie mój żywioł. Balony najbardziej podobają mi się przekłute. Dlatego resztkę wolnego czasu w weekend, jaki został mi po obejrzeniu zdjęć budowli zmarłego wyginacza blachy, przeznaczyłem na coś, czego obiecałem sobie już nigdy nie zrobić. Pamiętacie, jak kiedyś się dla was poświęciłem i obejrzałem kilkanaście występów najpopularniejszego recenzenta ulicznej i „ludowej" gastronomii na polskim YouTubie? Możecie być spokojni: Książulo nadal nadaje. Zawsze produkując niezborną słowną sieczkę – no bo ile minut można oceniać kebaba albo chińczyka? Podstawowe parametry ocenne są w tych przypadkach proste, jest kilka punktów do odhaczenia, da się to załatwić w dwóch akapitach albo dwóch minutach.



Ale zanurzyłem się znów w odmęty, bo tym razem Książulo poszedł do najbardziej prestiżowej restauracji w Polsce, a w każdym razie jedynej w grupie tych, które mają pretensje do wybitności, oznaczonej aż dwiema gwiazdkami Michelina. Zwie się ten przybytek, jak dobrze wiecie, Bottiglieria 1881. Rzadko kiedy słyszę, by ktoś poprawnie wymówił i zaakcentował to trudne dla polskiego aparatu gębowego włoskie słowo. Oznacza skład butelek, ale rozumiem, że nazwać po naszemu byłoby za prosto. Książulo i jego dwóch kompanów nie ma z tym żadnego problemu i wiadomo, że im wybaczam, bo nie umawiamy się przecież z takimi kolegami na lekcje dobrych manier.

Nie umiem zgadnąć, czemu do tego zderzenia dwóch światów doszło. Dwa miliony subskrybentów Książula wybaczą, że poszedł zjeść za tysiąc złotych od łebka. A nawet będą miały pożytek, gdy zajrzą za mlecznomatowe drzwi, odgradzające ten zaklęty rewir od krakowskiej ulicy. Ale po co taka heca restauracji, która raczej nie ma problemu z zapełnieniem sali? Kierownictwo musiało się wszak zgodzić i umówić, to jest przecież wjazd na kwadrat kilku ludzi z kamerą, którzy głośno gadają, a nie dyskretny posiłek tajemni-



UWE KAZMAIER / DE&W

Muzeum Guggenheima zaprojektowane przez Franka Gehry'ego w Bilbao

czego inspektora zapisującego coś tam w notesiku. No, mniejsza o to. Książulo (na tę okazję odziany w koszulę) i koledzy zachowują się przewidywalnie – skonsternowani wycyzelowaną aż do groteski otoczką, jaką tworzy się w takim miejscu wokół jedzenia, a zwłaszcza pełnymi zawijasów i obcych słów prezentacjami potraw. „Książkę o jednym daniu można napisać. Pamiętacie coś z tego?" – pyta nasz recenzent, gdy kelner odchodzi od stolika.

Oczywiście że nie. Mam dokładnie takie samo wspomnienie ze swoich bytności w podobnych miejscach: nadmiar słów i znaczeń. Niuanse, pianki, redukcje i kropelki? „W takich pierdołach czuć, w jakim miejscu jesteśmy i za co płacimy". Dokładnie. Czasem kryje się w tym geniusz, czasem tylko nuda. Nie każdy z takich pomysłów jest wart zapamiętania, ale kilka zawsze budzi podziw i tu nasi youtuberzy też dali się paroma potrawami zachwycić. Jeśli kto ciekaw, niech od razu przeskoczy do ostatnich dziesięciu minut podsumowania. Szczegóły menu zaraz zapomnę, ale pozostanę Książulowi wdzięczny za jedną, powtórzoną kilka razy przy lepszych daniach uwagę: „Czemu tego jest tak mało? Nie jestem w stanie się nacieszyć". Nie rozumiał (albo udawał), że w fine diningu to jest naczelna reguła: mało w brzuchu, dużo w głowie. Ale niestety, w bardzo wielu dziedzinach przyjemności, zupełnie prostych i wcale nie *fine*, mógłbym to za nim powtórzyć.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Bardzo maślane purée ziemniaczane

W Bottiglierii 1881 smakował Książulowi między innymi żurek – choć na pewno nie był to taki żurek, jaki można znaleźć w poczciwej „kuchni domowej". Maciupeńka jego porcja w filiżance pokryta została pianką z ziemniaka... No cóż, w zimie wolę zamieniać ziemniaki na coś konkretnego. Od pewnego czasu testuję nową wersję ziemniaczanego purée, bardzo, ale to bardzo „sytą". Wymaga trochę uwagi i skupienia, ale naprawdę doładowuje baterie. I w sumie nie jest cięższa od standardowej, bo zawiera wprawdzie dużo masła, ale za to nie dodaje się mleka.

SKŁADNIKI:
1 kg ziemniaków o dużej zawartości skrobi (typ C)
200 g masła ▪ sól ▪ pieprz

Obieramy ziemniaki, kroimy na małe kawałki, opłukujemy starannie. Dajemy do dużego rondla (tak żeby utworzyły jedną, maksymalnie dwie warstwy), zalewamy ok. 300 ml wody albo taką ilością, żeby nie przykryła całkiem ziemniaków, solimy, dodajemy masło w kawałkach. Zagotowujemy na średnim ogniu, po czym przykrywamy, zmniejszamy ogień, gotujemy, co jakiś czas mieszając, aż się zaczną rozpadać. Odkrywamy, na małym ogniu dalej odparowujemy, aż zostanie tylko minimalna ilość płynu. Ucieramy na gładką masę stosownym narzędziem – nigdy nie poznałem jego nazwy, nie jest to tłuczek, tylko taki wihajster z drutu. Możemy teraz doprawić pieprzem albo gałką muszkatołową i jeśli wyjdzie nam za gęste, dodać też nieco gorącej wody.
Dobrze jest podać na stół w mocno nagrzanym naczyniu, bo najlepiej takie purée smakuje bardzo gorące. Daje się też przechować w lodówce i ożywić na drugi dzień po dodaniu niewielkiej ilości gorącej wody i zamieszaniu w garnku na małym ogniu. ©℗



GNUBLIN / ADOBE STOCK

TOMASZ

Stawiszyński: *Niech żyją książki zapomniane!*



Pewien człowiek opowiedział mi kiedyś o doświadczeniu, które zaważyło na całym jego stosunku do literatury. Otóż pracował przed laty w ogromnej bibliotece i któregoś dnia w poszukiwaniu niezwykle cennego woluminu zszedł po krętych schodach do z rzadka uczęszczanej przez pracowników piwnicy. Jego oczom ukazały się długie rzędy regałów szczelnie wypełnionych książkami, których od niepamiętnych czasów nikt nie wypożyczał. Tytuły i nazwiska autorów nic mu nie mówiły. Cmentarzysko zapomnianych tekstów, przez kogoś kiedyś z zaangażowaniem pisanych, drukowanych, sprzedawanych, a teraz kompletnie niepotrzebnych, skazanych na osobliwe półtrwanie w tym zakurzonym, podziemnym limbo.

Przyznam, że i na mnie, pilnym czytelniku Borgesa, dla którego biblioteka była wszak modelem wszechrzeczy, zrobiła ta opowieść wrażenie. Nie tyle jednak jako ilustracja nieubłaganych praw wytwarzania się i tasowania kulturowych hierarchii, które jedne dzieła wpisują w kanony, inne zaś odsyłają do owych piwnic, ile raczej przypomnienie, że w cieniu oczywistych, wielkich, pierwszoplanowych idei i figur, skrywają się te zapoznane i strącone na marginesy. Jeśli gdzieś czytane i omawiane, to co najwyżej na specjalistycznych seminariach, wydobywane z czeluści przez dociekliwych doktorantów czy profesorów. Z rzadka tylko – owszem, zdarza się i tak – zyskujące niespodziewanie nowe życie po latach hibernacji, jak to było choćby z powieścią „Stoner" Johna Williamsa, która, kiedy się pierwszy raz ukazała w 1965 r., nie wzbudziła żadnego zainteresowania, a sensacją stała się dopiero w latach 2000.

Dlaczego? Nie wiadomo, podobnie jak nie wiadomo, dlaczego zachodzi proces odwrotny – niektóre idee czy teksty wywołują wielki aplauz w momencie publikacji, a potem zanikają. Proszę przestudiować choćby listę laureatów Literackiej Nagrody Nobla i sprawdzić, ilu spośród nich znajduje się w takich podziemiach. No właśnie – doraźna popularność, rozpoznawalność nie są żadnym kryterium. Jasne, mają znaczenie, nie przeczę, a o wartości kanonów i potrzebie ich znajomości też nie ma co dyskutować. Kto chce rozumieć rzeczywistość, w której przyszło mu żyć, musi poznać jej źródła, nie ma innego sposobu. Rzecz w tym jednak, że niektóre źródła bywają ukryte, choć niewykluczone, że oddziałują na nas w stopniu co najmniej tak samo potężnym jak te, które płyną na powierzchni.

Dlatego właśnie warto pozapuszczać się w zapomniane rewiry, zejść do piwnic, przyzwyczaić oczy do panującego w nich mroku, poszukać włącznika albo uruchomić latarkę w smartfonie. A także – co jest, przyznaję, jedną z moich ulubionych strategii – potraktować pojawiające się w czytanych akurat książkach nieznane tytuły i nazwiska niczym tajemne znaki, kierujące w jakąś teraz najwidoczniej dla nas istotną i ważną stronę. Daje to czasem, sami się przekonacie, zaskakujące skutki. Nie tylko w postaci niezwykłych lekturowych odkryć, których byśmy nie poczynili, gdybyśmy zignorowali kierujący nas ku nim omen, ale także – a może przede wszystkim – w postaci intensywnego, choć przecież niemożliwego do „udowodnienia" poczucia, że niektóre książki pojawiają się w naszym życiu dokładnie w tym momencie, w którym pojawić się powinny. Nie wiem, czym to wytłumaczyć – czy wyłącznie plastycznością ludzkiego umysłu, poszukującego odruchowo sensownych struktur i połączeń w czym tylko się da? Czy może jednak realnością tej szczególnej, nieuchwytnej dla szkiełka i oka sfery – jak ją nazwać: mitu, sensu, logosu? – z której także utkana jest rzeczywistość? A narzędziami, środkami czy też portalami umożliwiającymi nawiązanie z nią świadomego kontaktu są m.in. książki?

Tego się naturalnie nie da rozstrzygnąć, niemniej wielokrotnie miewałem wrażenie, że jakaś książka trafia do mnie nieprzypadkowo. Zbyt trafnie wpasowuje się w aktualną potrzebę albo otwiera na nowe w sytuacji, kiedy jakieś używane dotąd drzwi z hukiem się zatrzasnęły. Wracając po latach do tych tekstów, odkrywam, że wpłynęły na mnie mocniej, niż sobie uświadamiałem. Że myślę, mówię i piszę tak, a nie inaczej, tylko dlatego, że do mnie w odpowiedniej chwili przyszły i ustawiły perspektywę. Przypadek? Czy aby na pewno?

Zwłaszcza przy okazji świąt, bo to czas prezentów, nie ma zaś, jak wiadomo, lepszego prezentu niż książka, zachęcam więc do podążania za pojawiającymi się w naszym polu nazwiskami i tytułami. Im mniej znajomymi, tym lepiej, im bardziej niszowymi, tym bardziej wartymi uwagi. Zachęcam do poszukiwania w piwnicach i archiwach, w antykwariatach i bibliografiach starych dzieł, których autorzy nie mogą poszczycić się imponującym wynikiem w Google'u. Dla człowieka, o którym wspominałem na początku, widok przepastnego bibliotecznego archiwum był głęboko przygnębiający, ale przecież można potraktować go zupełnie inaczej. Np. jako kopalnię, z której, przy odpowiednim wysiłku, da się wydobyć drogocenny kruszec. Niech żyją książki dawno zapomniane, niech żyją nisze, osobliwości, rzeczy niewidzialne dla kanonów i głównych nurtów! Tym bardziej że zwrot w stronę, w którą od dawna nikt nie patrzył, może przynieść zaskakujące pożytki, zwłaszcza w czasach, w których dookoła robi się coraz bardziej niepewnie i niezrozumiale. ©

OD REDAKCJI: A jakie są Państwa „książki zapomniane", wracające w idealnym momencie po to, by zmienić sposób myślenia? Zapraszamy do podzielenia się swoimi odkryciami w naszych mediach społecznościowych i pod adresem: **redakcja@tygodnikpowszechny.pl**

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

TEATR POLONIA



My Way
reż. Krystyna Janda
31 grudnia 2025, godz. 21:00

Bilety online: www.teatrpolonia.pl i www.ochteatr.com.pl

Telefon do kasy: 22 622 21 32 i 22 589 52 00

SYLWESTER 2025

TEATR POLONIA

OCH TEATR

BILET POD CHOINKĘ?



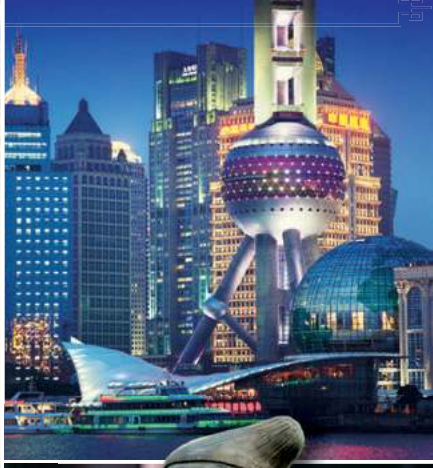
Zapraszamy do zakupu otwartych biletów na stronie www.sklep.fundacjakj.pl lub w kasach teatrów.

www.teatrpolonia.pl www.ochteatr.com.pl

REKLAMA

Albatros travel







4,8/5

Klasyczne Chiny i rejs po rzece Jangcy

Zobacz wspaniałe zabytki Pekinu, Wielki Mur Chiński, Terakotową Armię w Xi'an, nowoczesny Szanghaj i popłyń w rejs po rzece Jangcy.

Zapraszamy w podróż po najciekawszych miejscach w Chinach: Pekinie z Zakazanym Miastem, Wielkim Murem i Placem Tian'anmen oraz Xi'an z Armią Terakotową, najstarszym meczetem i Wielką Pagodą Dzikich Gęsi. Następnie popłyniemy w czterodniowy rejs po Jangcy przez Trzy Przełomy. Na koniec odwiedzimy nowoczesny Szanghaj, będzie czas na zakupy i wizytę w Muzeum Szanghajskim. Opcjonalnie: pakiet trzech spektakli z kolacjami.

14 dni
Wyloty z Warszawy
07/05, 11/06, 17/09, 15/10 2026

od **13.998,-**





2 posiłki dziennie

Sławna Wenecja i nieznane Veneto

U stóp Dolomitów leży włoski region Veneto (Wenecja Euganejska) z miastami takimi jak Padwa, Vicenza oraz oczywiście Wenecja – nazywana także Królową Lagun.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Wenecji. Spacer po Jesolo. **Dz. 2** Zwiedzanie Wenecji. Przepłynięcie łodzią na Plac św. Marka, spacer po mieście. **Dz. 3** Padwa i Vicenza. **Dz. 4** Kolorowa wyspa Burano, wyspa szklarzy Murano i Wenecja. **Dz. 5** Czas wolny. **Dz. 6** Bassano del Grappa – Włoska grappa. Most Ponte Vecchio. Prosecco w Valdobbiadene. **Dz. 7** Jesolo – Wenecja. Powrót do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy 16/04, 28/04, 04/05 2026 | od 4.998,-



5/5

4 degustacje wina w cenie

Smaki Francji – Szampania i Burgundia

Wspaniała wyprawa szlakiem francuskich winnic, wybornej kuchni i historycznych miast przez Burgundię i Szampanię.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Paryża. Spacer po Reims i wspólna kolacja w restauracji. **Dz. 2** Wizyta w Épernay i Hautvillers. **Dz. 3** Reims – Troyes – Beaune. Z Szampanii do Burgundii. Zwiedzanie Troyes. **Dz. 4** Gastronomiczna wędrówka po Dijon i winnicach Côte d'Or z degustacją wina. **Dz. 5** Burgundia i urocze miasto Beaune. Spacer po średniowiecznym Beaune. **Dz. 6** Wizyta w miasteczku Chablis i degustacja wina, Auxerre i powrót do domu z Paryża.

6 dni | Wyloty z Warszawy 29/04, 03/06 2026 | od 6.398,-

REKLAMA

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP05**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe